

ALISTAIR MACLEAN THE GOLDEN GATE

'TREMENDOUS ACTION'
SUNDAY TELEGRAPH



MACLEAN ALISTAIR

Zlote wrota

ALISTAIR MACLEAN

PRZEŁOŻYŁ JERZY ŻEBROWSKI

Tytuł oryginału angielskiego

THE GOLDEN GATE

WYDAWNICTWO

MINISTERSTWA

OBRONY

NARODOWEJ

Warszawa 1990

ISBN 83-11-07714-2

**Tłumacz dedykuje polską edycję "Złotych
Wrót" pamięci płk. Stanisława Jeżyńskiego,
miłośnika twórczości MacLeana, kierowni-
ka Redakcji Literatury Pięknej Wydawni-
ctwa MON, zmarłego tragicznie w dniu,
w którym niniejszy przekład miał trafić do
Jego rąk.**

ROZDZIAŁ I

Akcja wymagała igraszy saperskiej precyzji. Musiała dorównać, jeśli nie skali, to dbałości o najdrobniejszy szczegół, operacji lądowania aliantów podczas wojny w Europie. Tak właśnie się stało. Wszystko należało przygotować w pełnej konspiracji i tajemnicy. Dopilnowano tego. Niezbędne było skoordynowanie działań do ułamka sekundy. I to osiągnięto. Wszystkich ludzi należało wielokrotnie wypróbować i szkolić tak długo, dopóki nie grali swych ról bezbłędnie i automatycznie. Tak właśnie ich przeszkolono. Trzeba było uwzględnić każdą ewentualność, każde możliwe odchylenie od planu. Zadbano i o to. Wiara w powodzenie akcji, niezależnie od trudności i nieoczekiwanych zdarzeń, musiała być absolutna. I była.

Szef grupy, Peter Branson, wprost emanował pewnością siebie. Miał trzydzieści osiem lat, metr osiemdziesiąt wzrostu, był dobrze zbudowanym brunetem o miłej powierzchowności, z grymasem wiecznego uśmiechu na ustach i jasnoniebieskimi oczami, które od lat już nie potrafiły się śmiać. Miał na sobie mundur policyjny, ale policjantem nie był. Podobnie jak żaden z jedenastu mężczyzn, zebranych w opuszczonym garażu dla ciężarówek niedaleko brzegów jeziora Merced, w pół drogi między Dały City na południu a San Francisco na pół-nocy, chociaż trzech z nich nosiło takie same mundury jak Branson.

Jedyny stojący tam pojazd sprawiał smętne wrażenie, jakby znajdował się nie na swoim miejscu w tej bądź co bądź zwykłej, po-zbawionej wrót szopie. Był to autobus, choć zgodnie z ogólnie przyjętymi kryteriami trudno by go określić tym mianem. Górną część bogato lśniącego kolosa, jeśli nie liczyć skrzyżowanych wsporników z nierdzewnej stali, zbudowano w całości z lekko przyciemnionego

szkła. Pojazd nie miał normalnych siedzeń. Znajdowało się w nim

około trzydziestu foteli obrotowych, przytwierdzonych do podłogi, ale

porozstawianych z pozoru bezładnie. W ich szerokich bocznych opar-

ciach umieszczono wysuwane blaty, jakie służą do podawania posił-

ków w samolotach. Z tyłu pojazdu była toaleta i doskonale zaopa-

trzony barek. Za barkiem znajdował się pomost obserwacyjny, które-

go podłogę chwilowo usunięto, odsłaniając przepastny bagażnik. Był

wypełniony niemal w całości, ale nie bagażem. Ogromne wnętrze,:

szerokie na ponad dwa metry i tak samo długie, mieściło między

innymi: dwie prądnice elektryczne na benzynę, dwa reflektory dwudziestocalowe i wiele mniejszych, dwie sztuki bardzo "dziwnie wyglądającej broni w kształcie pocisku na trójnogu, pistolety maszynowe, dużą nie oznakowaną drewnianą skrzynię, cztery mniejsze skrzynki, także z drewna, ale impregnowanego, oraz rozmaite inne przedmioty, spośród których szczególnie rzucały się w oczy duże zwoje lin. Ludzie Bransona wciąż jeszcze ładowali.

Autobus, jeden z sześciu w ogóle wyprodukowanych, kosztował Bransona dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, ale biorąc pod uwagę cel, do którego zamierzał go wykorzystać, uważał to za drobną inwestycję. Firmie w Detroit oznajmił, że kupuje pojazd na życzenie milionera, który pragnie uniknąć rozgłosu, a przy tym jest ekscentrykiem i chce mieć autobus pomalowany na żółto. Rzeczywiście, kiedy go dostarczono, był żółty. Teraz lśnił nieskazitelną bielą.

Dwa z pozostałych pięciu autobusów zakupili najprawdziwsi ekstrawertyczni milionerzy, którzy zamierzali je wykorzystywać podczas swych luksusowych wakacyjnych wojaży. Oba pojazdy miały tylne rampy, gdzie mieściły się mini-samochody. Oba, najprawdopodobniej, pozostawać będą przez jakieś pięćdziesiąt tygodni w roku w specjalnie zbudowanych garażach.

Dalsze trzy autobusy zakupił rząd.

Jeszcze nie świtało.

Trzy białe autobusy stały w garażu w śródmieściu San Francisco.

-Duże przesuwane drzwi były zamknięte, i zaryglowane. Na leżaku

w rogu spał spokojnie mężczyzna w cywilu, bezwładnymi dłońmi przytrzymując na kolanach karabin z odciętą lufą. Drzemał, kiedy zjawili się dwóch intruzów i teraz trwał w błogiej nieświadomości, że oto zapadł w jeszcze głębszy sen, wdychającbezwiednie gaz z rozpylacza. Obudzi się za godzinę, równie nieświadomy tego, co się wydarzyło, i z całą pewnością nie przyzna się zwierzchnikom, że jego czujność została nieco uśpiona.

Wszystkie trzy autobusy, przynajmniej zewnątrz, nie różniły się od zakupionego przez Bransona, chociaż środkowy miał dwie szczególne cechy, z których jedna tylko była widoczna. Ważył o dwie tony więcej niż pozostałe, bo szkło kuloodporne jest o wiele cięższe niż zwykle, a w owych autobusach z szybami panoramicznymi stosowano ogromne szklane tafle. Przy tym jego wnętrze stanowiło zaiste ilustrację marzenia sybaryty. Czegóż zresztą innego można się spodziewać w pojeździe przeznaczonym do osobistego użytku głowy państwa?

Autobus prezydenta wyposażono w dwie duże, stojące naprzeciw siebie sofy, tak głębokie, miękkie i wygodne, że człowiek z nadwagą, któremu nie brakowało przezorności, powinien był pomyśleć dwa razy, nim zagłębił się w jednej z nich, bo powrót do pozycji pionowej musiał wymagać ogromnej siły woli albo użycia dźwigu. Znajdowały się tam też cztery fotele o podobnej, zdradliwie kuszącej konstrukcji. I to było wszystko, jeśli chodzi o miejsca do siedzenia. Były tam również przemyślnie ukryte kurki z lodowato zimną wodą, parę porostawianych miedzianych stolików do kawy i lśniące, połączane wazo-

ny, które czekały na codzienną dostawę świeżych kwiatów. Dalej znajdowała się toaleta i bar, którego pojemne chłodziarki w tych szczególnych i niezwykłych okolicznościach wypełniono głównie sokami owocowymi i napojami bezalkoholowymi, co stanowiło ukłon w stronę honorowych gości prezydenta, którzy byli Arabami i muzułmanami.

Jeszcze dalej, w oszklonej kabinie zajmującej całą szerokość autobusu, mieściło się centrum łączności – labirynt zminiaturyzowanych systemów elektronicznych – stale obsługiwane, gdy tylko prezydent był na miejscu. Podobno instalacja ta kosztowała więcej niż sam pojazd. Oprócz systemu radiotelefonów, za pomocą których można było skontaktować się z dowolnym miejscem na Ziemi, znajdował się tam rząd różnokolorowych guzików w szklanej obudowie, dającej się otworzyć tylko za pomocą specjalnego klucza. Guzików tych było pięć. Naciskając pierwszy uzyskiwało się natychmiastowe połączenie z Białym Domem w Waszyngtonie- Drugi łączył z Pentagonem, trzeci –z dowództwem strategicznych sił powietrznych, czwarty z Moskwą, a piąty z Londynem. Prezydent nie tylko musiał być w stałym kontakcie ze swymi siłami zbrojnymi, ale chronicznie cierpiał na "chorobę telefoniczną", i to do tego stopnia, że miał wewnętrzną linię prowadzącą z miejsca, gdzie zwykle siedział w autobusie, do kabiny łączności z tyłu.

Intruzów interesował jednak nie ten autobus, lecz stojący na lewo od niego. Weszli przednimi drzwiami i natychmiast odsunęli metalową

pokrywę obok siedzenia kierowcy. Jeden z mężczyzn poświecił w dół latarką. Najwyraźniej od razu znalazł to, czego szukał, bo wyciągnął rękę ku górze i odebrał od swego towarzysza coś, co wyglądało jak polietylenowa torba z kitem, do której był przymocowany metalowy cylinder o długości siedmiu centymetrów i średnicy najwyżej trzech. Przymocował to wszystko dokładnie przyklepcem do metalowego wspornika. Wyglądało na to, że wie, co robi. I rzeczywiście. Szczupły, trupio blady Reston był znanym specjalistą od materiałów wybuchowych.

Mężczyźni przeszli na tył autobusu i udali się za bar. Reston wszedł na stółek, odsunął drzwiczki górnej szafki i obejrzał butelki z alkoholem. Co, jak co, ale pragnienie nie mogło dokuczać ludziom prezydenta. W stojakach tkwiły pionowo dwa rzędy butelek. W pierwszych dziesięciu od lewej, ustawionych po pięć w szeregu, był bourbon i szkocka. Reston pochylił się, przejrzał zawartości butelek stojących pod szafką i stwierdził, że te na dole odpowiadały dokładnie tym w środku i były równie pełne. Wydawało się nieprawdopodobne, żeby w najbliższym czasie ktokolwiek zainteresował się wnętrzem szafki.

Reston wyjął z okrągłych otworów pierwszych dziesięć butelek i podał je swemu towarzyszowi. Ten postawił pięć na kontuarze, a pozostałe włożył do brezentowej torby, najwyraźniej przyniesionej w tym celu. Następnie wręczył Restonowi dziwnie wyglądający przyrząd, który składał się z trzech części: niewielkiego cylindra, podobnego do tego, -jaki założyli z przodu pojazdu, urządzenia w kształcie

ula o wysokości najwyżej pięciu centymetrów i takiejże średnicy oraz czegoś, co bardzo przypominało wyglądem gaśnicę samochodową, z tą istotną różnicą, że głowicę sporządzono z plastiku. Dwa ostatnie przedmioty były przymocowane drutami do cylindra.

"Ul" miał u dołu gumową przyssawkę, ale Reston, najwyraźniej nie wykazując zbytniego zaufania do przyssawek, wyjął tubkę szybko-schnącego kleju i posmarował obficie podstawę urządzenia. Potem docisnął je mocno do tylnej ścianki szafki, umocował przyklepcem do dużego i małego cylindra, a całość do wewnętrznego rzędu okrągłych otworów, w których tkwiły butelki. Pięć butelek stojących z przodu wróciło na swoje miejsca. Urządzenie było całkowicie niewidoczne. Zasunął drzwiczki, odstawił stół i razem ze swym towarzyszem wysiadł z autobusu. Strażnik wciąż spokojnie spał. Obaj mężczyźni wyszli tymi samymi bocznymi drzwiami, przez które wcześniej wchodzili, po czym zamknęli je na klucz. Reston wyjął krótkofalówkę.

–P1? – zapytał.

Wzmocniony głos popłynął czysto z głośnika zainstalowanego w tablicy rozdzielczej autobusu, który stał w garażu na północ od Daly City. Branson włączył aparat.

–Słucham.

–W porządku.

–Dobrze.

W głosie Bransona nie było podniecenia. Nic dziwnego. Po sześciu tygodniach intensywnych przygotowań byłby raczej zaskoczony, gdy-

by coś się nie udało.

–Wracaj z Maćkiem do mieszkania. Czekaście.

Johnson i Bradley byli zaskakująco podobni do siebie. Obaj przystojni, niewiele po trzydziestce, o prawie identycznych sylwetkach i blond włosach. Byli również uderzająco podobni, zarówno budową, jak i karnacją, do dwóch zbudzonych właśnie ze snu mężczyzn, którzy leżeli na łóżkach w pokoju hotelowym i patrzyli na przybyłych ze zrozumiałą mieszaniną zdziwienia i oburzenia. Jeden z nich odezwał się:

–Kim, u diabła, jesteście i co tu, do cholery, robicie?!

–Niech pan będzie łaskaw zmienić ton i uważać na dobór słów

–odparł Johnson – jak przystoi oficerowi morskich sił powietrznych.

Nieważne, kim jesteśmy. A jesteśmytu, bo potrzebujemy nowych ubrań.

Spojrzał-na trzymaną w dłoni berettę, wskazującym palcem lewej ręki dotykając tłumika.

–Nie muszę chyba mówić panom, co to jest.

Nie musiał im mówić. Johnson i Bradley byli zawodowcami pracującymi na zimno i ze spokojem. Ich mrozące krew w żyłach opanowanie nie zachęcało do dyskusji i powstrzymywało nawet myśl o jakimkolwiek działaniu. Johnson stał, na pozór niedbale trzymając broń przy boku, gdy tymczasem Bradley otworzył przyniesioną torbę podróżną, wyciągnął długi sznur i związał obu mężczyzn z szybkością i sprawnością wskazującą na długoletnie doświadczenie lub intensywn-

ną praktykę w tym względzie. Gdy skończył, Johnson otworzył szafę,

wyjął z niej dwa mundury, podał jeden Bradleyowi i powiedział:

–Sprawdź, jak leżą.

Nie tylko mundury, ale także czapki pasowały niemal idealnie.

Johnson zdziwiłby się, gdyby było inaczej. Branson, drobiazgowy planista, rzadko, cokolwiek przeoczył.

, Bradley przejrzał się w dużym lustrze i stwierdził ze smutkiem:

–Powinienem być pozostać po drugiej stronie barykady. Mundur

-porucznika morskich sił powietrznych USA doskonale na mnie leży.

Ty zresztą też nieźle wyglądasz.

Jeden ze związanych mężczyzn odezwał się:

–Po co wam te mundury?

–Zawsze uważałem, że piloci helikopterów marynarki są inteligentni.

Mężczyzna wpatrywał się w niego.

–Boże, nie chcecie chyba powiedzieć...

–Zgadza się. I z pewnością obaj lataliśmy na śmigłowcach Sikorsky'ego o wiele częściej niż którykolwiek z was.

–Ale po co mundury? Dlaczego kradniecie nam mundury? Przecież można bez problemu je uszyć! Dlaczego...

–Oszczędzamy. Jasne, że moglibyśmy je uszyć. Ale nie możemy zrobić na zamówienie wszystkich dokumentów, które przy sobie nosicie. Legitymacje, koncesje, cały ten kram. – Obmacał kieszenie munduru. – Nie ma tego tutaj. Więc gdzie?

Drugi ze związanych mężczyzn odparł:

–Idźcie do diabła!

Wyraz jego twarzy wskazywał, że naprawdę im tego życzy,

Johnson był opanowany.

–Teraz jest martwy sezon dla bohaterów. No więc gdzie?

Mężczyzna odpowiedział:

–Nie tutaj. Marynarka uważa te dokumenty za tajne. Trzeba je

deponować w sejfie kierownika hotelu.

Johnson westchnął.

–Mój Boże! Po co tak utrudniać? Wczoraj wieczorem siedziała

w fotelu koło recepcji pewna młoda dama. Rudowłosa. Śliczna. Może

sobie przypominać?

Związani mężczyźni wymienili błyskawiczne spojrzenia. Było jasne,

że sobie przypominają.

–Ta pani zeznałaby w sądzie pod przysięgą, że żaden z was niczego

nie zdeponował. – Uśmiechał się chłodno. – Wolałaby pewnie trzymać

się jak najdalej od sądu, ale jeśli mówi, że depozytu nie było, to nie

było. Bądźmy rozsądni. Możecie zrobić trzy rzeczy. Powiedzieć nam

od razu. Dać się zakneblować i zacząć mówić po krótkiej perswazji.

A jeśli i to nie przyniesie rezultatu, będziemy szukać. A panowie

popatrzą. Oczywiście, jeśli będą przytomni.

–Zamierzacie nas zabić? –

–A po cóż by? – zdziwienie Bradleya było najzupełniej szczerze.

–Możemy was zidentyfikować.

–Nigdy więcej nas nie zobaczycie.

–Możemy rozpoznać dziewczynę.

–Ale nie wtedy, gdy zdejmie rudą perukę.

Poszperał w torbie i wyciągnął kombinerki. Wyglądał na zrezygnowanego.

–Szkoda czasu. Zalep im usta.

Związani mężczyźni spojrzeli na siebie. Jeden pokręcił głową przecząco, drugi westchnął. Potem pierwszy uśmiechnął się, niemal ze skruchą:

–Chyba nie ma sensu się stawiać, a ja nie chciałbym, żeby mój wygląd na tym ucierpiał. Pod materacami. W nogach łóżka.

Dokumenty faktycznie były pod materacami. Johnson i Bradley zajrzeli do obu portfeli, popatrzyli na siebie, skinęli głowami i wyciągnąwszy z każdego wcale okazałą sumkę w banknotach dolarowych, położyli pieniądze na nocnych szafkach koło łóżek. Jeden z mężczyzn stwierdził:

–Jesteście parą stukniętych oszustów.

–Może niedługo będą wam bardziej potrzebne niż nam – odparł Johnson.

Wyciągnął pieniądze z dopiero co zdjętej marynarki i przełożył je do munduru. Bradley uczynił to samo.

–Możecie zabrać nasze garnitury. Trudno wyobrazić sobie amerykańskich oficerów ganiających po mieście w pasiastych gaciach. A teraz, niestety, musimy panów zakneblować.

Sięgnął do torby. Jeden z mężczyzn, z wyrazem podejrzliwości i przestachu w oczach, próbował bezskutecznie usiąść na łóżku. – Powiedział pan, że...

–Zrozumcie, gdybyśmy chcieli was zabić, nawet na korytarzu nikt by niczego nie usłyszał. Broń z tłumikiem nie robi hałasu. Myślicie, że chcemy usłyszeć wasze wrzaski, gdy tylko wyjdziemy za próg? Zresztą to zakłóciłoby spokój sąsiadom.

Gdy mężczyźni zostali zakneblowani, Johnson stwierdził:

–No i, rzecz jasna, nie życzymy sobie, żebyście skakali i miotali się po pokoju, stukali w podłogę czy ściany. Niestety, nie możemy wam przez parę najbliższych godzin pozwolić na żadne hałasy. Przykro mi.

Pochylił się, wyjął z torby coś, co wyglądało na pojemnik z aero-zolem i rozpylił mgiełkę gazu w twarze obu związanych mężczyzn. Potem opuścili pokój, zostawiając na drzwiach wywieszkę "nie prze-szkadzać". Johnson dwukrotnie przekręcił klucz, wyjął kombinerki, zacisnął je na kluczu z całej siły i uciął go, pozostawiając koniec zaklinowany w zamku.

Na dole podeszli do recepcjonisty, wesołego chłopaka, który radoś-nie ich powitał.

Johnson zapytał:

–Nie miał pan dyżuru wczoraj wieczorem?

–Nie, sir. Moi szefowie pewnie by w to nie uwierzyli, ale nawet recepcjonista potrzebuje od czasu do czasu trochę snu. – Popatrzył na nich z zainteresowaniem. – Przepraszam za śmiałość, ale czy to nie panowie właśnie macie się dziś opiekować prezydentem? Johnson uśmiechnął się.

–Nie jestem pewien, czy prezydent zgodziłby się z tym określeniem. Ale rzeczywiście. To nie tajemnica. Zamawialiśmy wczoraj budzenie. Ashbridge i Martjnez. Czy to odnotowano?

–Tak, sir. – Recepcjonista wykreślił dwa nazwiska.

–Aha. Zostawiliśmy w pokoju parę rzeczy, które – że tak powiem

–są własnością marynarki. W zasadzie nie powinniśmy tego robić. Zechce pan zadbać, by nikt się tam nie kręcił do naszego powrotu? Jakies trzy godziny.

–Może pan na mnie polegać, sir. – Recepcjonista zrobił notatkę.

–Wywieszka "nie przeszkadzać"...

–To już załatwione.

Wyszli na ulicę i zatrzymali się przy pierwszym automacie telefonicznym. Johnson wszedł do środka z torbą, sięgnął do jej wnętrza i wyjął krótkofalówkę. Natychmiast uzyskał połączenie z Bransonem, który czekał cierpliwie w rozsypującym się garażu na północ od Daly City.

–P 1? – odezwał się.

–Słucham.

–W porządku.

–Dobrze. Wchodźcie do akcji.

Właśnie wschodziło słońce, gdy sześciu mężczyzn wyłoniło się z chaty położonej wśród wzgórz w pobliżu Sausalito w okręgu Marin, na północ od San Francisco. Tworzyli trudną do określenia i niezbyt pociągającą grupę. Czterech miało na sobie robocze kombinezony, – dwóch spłowiałe płaszcze przeciwdeszczowe wyglądające tak, jakby podwędzono je jakiemuś mało czujnemu strachowi na wróble. Wcisnęli się do sfatygowanego, półciężarowego chevroleta i skierowali w stronę miasta. Przed nimi rozciągał się niezwykle widok. Na południu most Złote Wrota i poszczerbiona sylwetkami wieżowców –jak na Manhattanie – linia horyzontu San Francisco. W kierunku południowo-wschodnim, na północ od przystani rybackiej, na tle wyspy Treasure i mostu do Oakland, widocznych po drugiej stronie zatoki, leżała – w nieco sztucznym blasku wczesnych promieni słońca –niesławna wyspa Alcatraz. Na wschodzie było widać wyspę Angel, największą w zatoce, a na północnym wschodzie Belvedere, Tiburon i,

dalej jeszcze, rozległe wody zatoki San Pablo, rozplywającej się w nicość. Niewiele jest na świecie piękniejszych i bardziej efektownych widoków niż ten z Sausalito. Skoro mówią, że trzeba serca z kamienia, by taki widok człowieka nie poruszył, szóstka mężczyzn w chęvrolecie najwyraźniej nosiła w piersiach spory kamieniołom.

Dotarli do głównej ulicy, minęli ustawione nienagannie rzędy jachtów i nader chaotyczny labirynt przystani, aż wreszcie kierowca skręcił w boczną uliczkę, zaparkował i wyłączył silnik. Wysiadł z wozu razem z siedzącym obok mężczyzną. Ściągnęli płaszcze, spod-których ukazały się mundury policji stanu Kalifornia. Kierowca, sierżant o imieniu Giscard, miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Był tęgi, czerwony na twarzy, małomówny, a jeśli dodać do tego chłodne, zuchwałe spojrzenie, stanowił wzór stuprocentowego, twardego gliny. W istocie spotkania z policjantami były dla Giscarda chlebem powszednim, ale starał się, o ile to możliwe, nie zawierać z nimi zbyt bliskiej znajomości, gdy tyle już razy, choć jak dotąd bez powodzenia, próbowali wsadzić go za kratki. Drugi z mężczyzn, Parker, był wysoki, szczupły i antypatyczny. Za glinę mógł go wziąć w najlepszym wypadku krótkowidz albo ktoś patrzący ze znacznej odległości. Nieustanna czujność i zgorzknienie widoczne na jego twarzy wynikały zapewne z faktu, że miał znacznie mniej szczęścia niż sierżant w unikaniu długiego ramienia sprawiedliwości.

Skręcili za róg i weszli do miejscowego komisariatu policji. Za balustradą siedziało dwóch policjantów: jeden bardzo młody, drugi

o tyle starszy, że mógłby być jego ojcem. Wyglądali na zmęczonych i przygaszonych, co było całkiem naturalne u ludzi spragnionych snu, ale okazali się uprzejmi i uczynni.

–Dzień dobry, dzień dobry – Giscard potrafił być doprawdy bardzo energiczny, jak przystało na człowieka, który wywiódł w pole połowę sił policyjnych Wybrzeża. – Sierżant Giscard. Policjant Parker.

–Wyjął z kieszeni kartkę z długą listą nazwisk. – › Zapewne panowie Mahoney i Nimitz?

–Zgadza się – Mahoney, prostolinijny chłopak, miałby niejakie trudności z ukryciem swego irlandzkiego pochodzenia. – Ale skąd pan wie?

–Wiem, bo potrafię czytać: – Niuanse salonowej konwersacji były Giscardowi obce. – Domyślam się zatem, że szef nie powiadomił panów o naszej wizycie. No cóż, to przez ten cholerny przejazd prezydenta. Sądząc z tego, co już dziś stwierdziłem, ta ostatnia kontrola wcale nie jest stratą czasu. Zdziwiłoby panów, jak wielu jest w tym stanie niepiśmiennych albo głuchych jak pień policjantów.

Nimitz zachowywał się uprzejmie.

–Gdyby zechciał nam pan powiedzieć, sierżancie, w czym zawniliśmy...

–Ależ panowie w niczym nie zawinili – spojrział na kartkę. –

Chodzi o cztery sprawy. Kiedy przychodzi dzienna zmiana? Ilu ludzi?

Gdzie są wozy patrolowe? Gdzie są cele?

–To wszystko?

–Wszystko. Macie dwie minuty. I proszę o pośpiech. Muszę skontrolować wszystkie posterunki stąd aż do Richmond, po drugiej stronie mostu.

–Godzina ósma. Ośmiu ludzi: dwa razy więcej niż zwykle. Samochody...

–Chciałbym je zobaczyć.

Nimitz wziął klucze z tablicy i poprowadził obu mężczyzn za róg bloku. Otworzył podwójne drzwi. Dwa wozy policyjne lśniły niewiarygodnym blaskiem modeli z salonu samochodowego, co mogło się zdarzyć tylko przy tak szczególnej okazji, jak przejazd prezydenta, króla i księcia przez rejon podległy komisariatowi.

–Gdzie są kluczyki?

–W stacyjkach.

Po powrocie do komisariatu Giscard wskazał głową drzwi wejściowe.

–A klucze?

–Słucham?

Giscard nie okazał zniecierpliwienia.

–Wiem, że zwykle nie zamykacie drzwi na, klucz. Ale dziś rano wszyscy mogą stąd wychodzić w dużym pośpiechu. Chce pan zostawić posterunek nie strzeżony?

–Rozumiem. – Nimitz wskazał klucze na tablicy.

–A teraz cele.

Nimitz poszedł przodem, zabierając ze sobą klucze. Cele znajdowały

się zaledwie o dwa metry dalej, ale narożnik ściany osłaniał je przed wzrokiem co wrażliwszych obywateli, którzy – jakkolwiek niechętnie – mieli okazję odwiedzać komisariat. Gdy Nimitz wszedł, Giscard wyjął broń z kabury i przytknął mu ją do pleców.

–Martwy policjant – stwierdził Giscard – nikomu się nie przyda.

Parker przyłączył się do nich po dziesięciu sekundach, popychając przed sobą rozjuszonego i oszołomionego Mahoneya.

Obydwu więźniów zakneblowano i posadzono na podłodze plecami do krat, z rękami wetkniętymi między metalowe pręty i zakutymi w kajdanki. Sądząc z ich złowrogich spojrzeń dobrze się stało, że zostali dokładnie zakneblowani. Giscard włożył klucze do kieszeni, zdjął dwa pozostałe komplety z tablicy i puszczając przodem Parkera zamknął drzwi wejściowe. Klucz również wsadził do kieszeni. Następnie obszedł budynek i otworzył garaż. Razem z Parkerem wyprowadzili samochody, a gdy Giscard zamykał drzwi – oczywiście, lokując potem klucze w kieszeni – Parker poszedł po pozostałych czterech mężczyzn z chevroleta... Kiedy się zjawili, nie byli już, co ciekawe,

odzianymi w kombinezony robotnikami, lecz wyglądali jak żywa, barwna reklama policji stanu Kalifornia.

Pojechali na północ autostradą US 101, potem skrótem na zachód do drogi numer jeden, minęli Myir Woods z wysokimi na ponad siedemdziesiąt metrów sekwojami, które pamiętały jeszcze czasy przedchrześcijańskie, aż wreszcie zatrzymali się w rezerwacie Mount Tamalpais.

Giscard wyjął krótkofalówkę, pasującą mu doskonale do munduru, i odezwał się:

–P1?

Branson dalej czekał cierpliwie w autobusie w opuszczonym garażu.

–Słucham.

–W porządku.

–Dobrze. Zostańcie.

Dziedziniec i ulica obok luksusowego karawanseraju na szczycie wzgórza Nob Hill były niemal puste," co nie mogło dziwić o tak wczesnej porze. Znajdowało się tam tylko siedmiu ludzi. Sześciu stało na stopniach schodów przed hotelem, w którym minionej nocy zgromadzono więcej żywej gotówki niż kiedykolwiek w jego długiej i znakomitej historii. Siódmy – wysoki, przystojny mężczyzna o orlim nosie i wyglądzie młodzieńczym pomimo szpakowatych włosów, ubrany w nienaganny garnitur w drobną kratkę – przechadzał się z wolna wzdłuż ulicy. Jak należało wnioskować ze spojrzeń wymienianych przez sześciu mężczyzn – dwóch przy drzwiach, dwóch policjantów i dwóch cywili, którym płaszcze dziwnie nie układały się pod lewymi pachami – jego obecność najwyraźniej coraz bardziej ich drażniła. W końcu, po krótkiej wymianie zdań, jeden z umundurowanych mężczyzn zszedł po schodach i zbliżył się do niego.

–Dzień dobry, sir. Proszę nie mieć mi tego za złe, ale zechce pan stąd odejść. Mamy tu pewne zadanie do wykonania.

–A skąd pan wie, czy i ja nie mam?

–Bardzo proszę, sir. Musi pan zrozumieć, że w hotelu są bardzo ważni goście.

–Jakbym ja sam o tym nie wiedział! Jakbym nie wiedział... – Mężczyzna westchnął, sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyjął portfel i otworzył go. Policjant spojrzał, znieruchomiał i głośno przełknął ślinę. Twarz mu wyraźnie pociemniała.

–Bardzo przepraszam, sir. Przepraszam, panie Jensen.

–Mnie również jest przykro. Z powodu nas wszystkich. Jeśli

o mnie idzie, mogą sobie zatrzymać tę przeklętą naftę. Boże, co za

cyrk! – Mówił dopóki policjant nie uspokoił się nieco, a potem znów

zaczął spacerować tam i z powrotem.

Policjant wrócił na schody. Jeden z cywilów spojrzał na niego bez specjalnego entuzjazmu.

–Jesteś fachowcem od rozpędzania tłumu, co?

–Więc może ty spróbujesz?

–Jeśli już muszę ci pokazać, jak to się robi... – powiedział znudzonym głosem. Zszedł trzy stopnie w dół, przystanął i ponownie się obejrzał.

–Machnął ci przed oczami wizytówką, tak?

–Poniekąd – policjant najwyraźniej dobrze się bawił.

–Kto to?

–Nie poznajesz zastępcy dyrektora własnej firmy?

–O Boże! – Tylko umiejętność unoszenia się w powietrzu mogła uzasadniać niewiarygodną szybkość, z jaką funkcjonariusz FBI znalazł się z powrotem na szczycie schodów.

–I co, nie zmusisz go, żeby sobie poszedł? – zapytał niewinnie policjant.

Cywil skrzywił się, a potem uśmiechnął:

–Chyba od dziś taką czarną robotę zostawię mundurowym.

Niemłody już boy hotelowy pojawił się na szczycie schodów, zawałał się przez chwilę, po czym widząc zachęcający gest Jensena, zszedł na ulicę. Gdy zbliżył się, jego zaszuszone twarz wyglądała na jeszcze bardziej pomarszczoną ze zgryzoty.

–Czy to nie cholerne ryzyko, sir? Ten facet na górze jest z FBI.

–Nie ma ryzyka. – Jensen był nieporuszony. – To FBI z Kalifornii.

Ja jestem z Waszyngtonu. To inna parafia: Wątpię, czy rozpoznałby samego naczelnego dyrektora, gdyby ten usiadł mu na kolanach. Co nowego, Willie?

–Wszyscy jedzą śniadanie w pokojach. Nikt nie śpi. Wszystko według planu.

–Informuj mnie co dziesięć minut.

–Tak jest, sir. Jezu, panie Jensen, czy pan nie za dużo ryzykuje? Tutaj roi się od szpicli, i to nie tylko w budynku. Te okna na przeciwko: przynajmniej z kilkunastu wystają karabiny, a za każdym jest snajper.

–Wiem o tym, Willie. Jestem w oku cyklonu. Absolutnie bezpieczny.

–Jeżeli pana złapią...

–Nie złapią. A gdyby nawet, to ty jesteś czysty.

–Czysty! Wszyscy widzą, że z panem, rozmawiam.

–A cóż w tym złego? Jestem z FBI. Tak ci powiedziałem i nie masz powodu w to wątpić. Tych sześciu ludzi na górze również tak uważa. Tak czy inaczej, Willie, zawsze możesz powołać się na piątą poprawkę do Konstytucji.

Wille odszedł. Na oczach sześciu obserwatorów Jensen wyjął krótkofalówkę i powiedział:

–P1?

–Słucham. – Branson był jak zawsze opanowany.

–Według planu.

–Dobrze. P 1 wchodzi do akcji. Co dziesięć minut. W porządku?

–Oczywiście. Jak się czuje mój brat-bliźniak?

Branson spojrział w tył autobusu. Związany i zakneblowany czło-

wiek, który leżał w przejściu między fotelami, był zaskakująco podobny do Jensena.

–Będzie żył.

ROZDZIAŁ II

Van Effen zwolnił wjeżdżając na drogę numer 280, potem skierował autobus na północny wschód, wzdłuż autostrady Southern Freeway.

Van Effen był niskim, krępyim mężczyzną o krótko przystrzyżonych blond włosach i głowie, mającej kształt prawie idealnego sześcianu.

Uszy przylegały mu do czaszki, jakby je przyklejono, a nos z pewnością miał kiedyś do czynienia z jakimś ciężkim przedmiotem. Uśmiechał się zwykle tępo, jakby uważając, że to najwłaściwszy sposób radzenia sobie z rozlicznymi niebezpieczeństwami, jakie czyhały w niespokojnym świecie wokół niego. Rozmarzone, jasnoniebieskie oczy, które trudno byłoby posądzać o choćby odrobinę przenikliwości, pogłębiały jedynie wrażenie, że był to człowiek przygniatany niemożliwymi do rozwikłania zawiłościami życia. Van Effen był jednak niezwykle inteligentny. Błyskotliwa inteligencja pozwalała mu radzić sobie z najrozmaitszymi problemami tego świata. Choć z Peterem Bransonem znali się dopiero od dwóch lat, bez wątpienia jako jego zastępcą był niezastąpiony.

Obaj mężczyźni siedzieli z przodu autobusu, ubrani na razie w długie białe płaszcze, co nadawało im prawdziwie profesjonalny wygląd szoferów. Departament Stanu z dezaprobatą patrzył na kierowców z kolumny prezydenckiej, którzy woleli niechlujne kurtki i podwinięte rękawy. Branson zwykle sam prowadził, i to nieźle, ale – pomijając fakt, że nie pochodził z San Francisco, a Van Effen tam się urodził

–tego ranka chciał skoncentrować całą uwagę na tej części tablicy rozdzielczej, która wyglądała jak skrzyżowanie zminiaturyzowanego pulpitu Boeinga z klawiaturą organów Hammonda. System łączności w autobusie prezydenta był zdecydowanie lepszy, ale Branson miał tu wszystko, czego potrzebował. Kilka urządzeń było nawet technicznie doskonalszych niż w autobusie prezydenckim, choć trudno przypuszczać, by sam prezydent uznał to za udoskonalenie.

Branson odwrócił się do człowieka siedzącego za nim. Yonnie, ciemnowłosy, śniady i niewiarygodnie owłosiony, był podobny bardziej do niedźwiedzia niż ludzkiej istoty, kiedy z rzadka udało się go namówić, by zdjął koszulę i poszedł pod prysznic. Sprawiał trudne do określenia wrażenie byłego boksera, który zainkasował nie o jeden, lecz o kilkaset ciosów za dużo. W przeciwieństwie do wielu towarzyszy Bransona, Yonniego, który był z nim od czasu, kiedy ten trzynastu lat temu zaczął prowadzić dość szczególny tryb życia, trudno było zaliczyć do intelektualnej elity, ale jego cierpliwość, niezmiennie dobry humor i absolutna lojalność wobec Bransona były poza dyskusją.

–Masz tablice, Yonnie? – zapytał Branson.

–Tablice? – Yonnie zmarszczył ledwie widoczną powierzchnię czoła między czupryną a brwiami, co było zwykle oznaką maksymalnej koncentracji, po czym uśmiechnął się radośnie. – Tak, tak, mam je!

–Sięgnął pod fotel i wyjął dwie spięte tablice z numerami rejestracyjnymi. Autobus Bransona zewnętrznie nie różnił się niczym od żadnego z trzech pojazdów z kolumny prezydenckiej, prócz tego, że miał

rejestrację kalifornijską, podczas gdy na tamtych figurowały numery z Waszyngtonu. Tablice, które trzymał w ręku Yonnie, też miały rejestrację waszyngtońską, a co ważniejsze, ich numery odpowiadały dokładnie numerom jednego z trzech autobusów czekających w garażu.

–Pamiętaj: kiedy ja wyskoczę przednimi drzwiami, ty skaczesz tylnymi i przymocowujesz najpierw tylną tablicę – powiedział Branson.

–Niech pan będzie spokojny, szefie. – Yonnie wzbudzał zaufanie. Z tablicy rozdzielczej rozległ się krótki sygnał brzęczyka. Branson pstryknął przełącznikiem. Odezwał się Jensen, ich wtyczka w Nob Hill.

–P1?

–Słucham.

–Według planu. Czterdzieści minut.

–Dziękuję.

Przełącznik wrócił do poprzedniej pozycji. Branson włączył następną.

–P4?

–Tu P4.

–Ruszajcie.

Giscard uruchomił silnik skradzionego wozu policyjnego i pojechał autostradą Panoramie Highway. Za nim ruszył drugi samochód. Nie jechali na tyle szybko, by zwracać uwagę, ale też nie ociągali się

zbyttnio i do stacji radarów na Mount Tamalpais dotarli w ciągu kilku minut. Stanowiska radarów dominowały w promieniu kilku kilometrów nad górzystą okolicą i przypominały parę gigantycznych białych piłek golfowych. Giscard i jego ludzie mieli cały obraz zakodowany w pamięci i o pomyłce nie mogło być mowy.

–Nie musimy się kryć – stwierdził Giscard. – Jesteśmy w końcu glinami^ obrońcami ludzi. Nie atakuje się przecież swoich obrońców.

Szef powiedział: żadnej strzelaniny.

–A jeżeli będę musiał użyć broni? – zapytał jeden.

–Stracisz połowę doli.

–A więc żadnej strzelaniny.

Branson skorzystał z kolejnego przełącznika.

–P 3? – Był to sygnał wywoławczy dla dwóch ludzi, którzy zastawili właśnie pułapkę w jednym z autobusów kolumny prezydenckiej.

-Tu P 3.

–Macie coś?

–Dwóch kierowców, nic więcej.

–A strażnicy?

–W porządku. Żadnych podejrzeń.

–Czekajcie.

Znowu sygnał brzęczyka, następny przełącznik.

–P5 – oznajmił głos rozmówcy. – Według planu. Trzydzieści minut.

–Dziękuję.

Branson jeszcze raz zmienił połączenie.

–P 2? – Był to kryptonim Johnsona i Bradleya.

–Słucham.

–Możecie zaczynać.

–Wchodzimy. – Głos należał do Johnsona. Obaj z Bradleyem,

ubrani nienagannie w mundury oficerów morskich sił powietrznych, poszli powoli, jakby od niechcienia, w kierunku bazy lotniczej Alame-da. Obaj nieśli gładkie, błyszczące torby lotnicze, do których przełożyli swój bagaż. Zbliżając się do wejścia przyspieszyli kroku. Kiedy mijali dwóch wartowników przy bramie, sprawiali wrażenie ludzi, którym bardzo się spieszy. Pokazali przepustki jednemu ze strażników.

–Porucznik Ashbridge, porucznik Martinez. W porządku. Jesteście panowie bardzo spóźnieni.

–Wiem o tym. Pójdziemy prosto do śmigłowców.

–Obawiam się, że to niemożliwe, sir. Komandor Eysenck prosi panów o natychmiastowe zgłoszenie się do jego biura. – Marynarz konfidencjonalnie zniżył głos. – Komandor nie wyglądał na zbyt uradowanego, sir.

–A niech go diabli! – powiedział Johnson i rzeczywiście tak myślał. – Gdzie to biuro?

–Drugie drzwi na lewo, sir.

Johnson i Bradley ruszyli tam pospiesznie, zapukali i weszli. Siedzący za biurkiem młody podoficer zacisnął usta i milcząco wskazał głową drzwi po prawej, z jego zachowania wynikało, że nie miał bynajmniej ochoty uczestniczyć w dramatycznej scenie, na którą się zanosilo. Johnson zapukał i wszedł ze spuszczoną głową, udając, że szuka czegoś w torbie. Ale te środki ostrożności okazały się zbędne. Eysenck nieprzerwanie notował coś na kartce papieru, zgodnie z dobrze znaną taktyką starszych oficerów, którzy potęgując zastraszenie młodszych oficerów niszczyli ich moralnie. Bradley zamknął drzwi. Johnson położył torbę na skraju biurka, tak że zasłaniała ona jego prawą rękę. Pojemnik z gazem również był niewidoczny.

–To miło, że panowie się zjawili – Eysenck beznamiętnie cedził słowa. Najwyraźniej

życie w Annapolis nie wywarło wpływu na jego rodzimy bostoński akcent. – Mielicie panowie ściśle rozkazy. – Podniósł głowę powoli, co zwykle w takiej sytuacji wywierało zamierzone wrażenie. – Panów wyjaśnienia...

Przerwał, szeroko otworzył oczy, wciąż jeszcze nie podejrzewając, że coś nie gra. – Panowie nie jesteście Ashbridgem i Martinezem...

–Doprawdy?

Było jasne, że Eysenck zdał sobie nagle sprawę, iż coś w tym wszystkim aż za bardzo nie gra. Wyciągnął rękę w kierunku przycisku na

biurku, ale Johnson był szybszy. Eysenck osunął się na blat biurka.

Johnson skinął na Bradleya, który otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Gdy zamykał je za sobą, widać było, że szpera w torbie Johnson stanął za biurkiem, obejrzał uważnie przyciski pod telefonem, nacisnął jeden z nich i podniósł słuchawkę.

–Wieża kontrolna?

–Słucham, sir.

–Przepuścić natychmiast porucznika Ashbridge'a i porucznika Martineza.

Bardzo przekonująco naśladował bostoński akcent Eysencka.

Branson ponownie wezwał P 3, dwóch obserwatorów garażu.

–Jak teraz?

–Wsiadają.

Trzy autobusy stojące w garażu rzeczywiście zapełniały się. Dwa z nich miały już komplety pasażerów i były gotowe do odjazdu...

Autobus z zastawioną pułapką przeznaczono głównie dla dziennikarzy, radiowców i fotoreporterów, wśród których były cztery kobiety: trzy w wieku trudnym do określenia, czwarta młoda. Ponieważ

autobus ten miał prowadzić kolumnę, na podeście z tyłu zainstalowa-
no trzy kamery, umożliwiające przez cały czas filmowanie z bliska
jadącego tuż za nim autobusu prezydenta. Wśród pasażerów było
Trzech ludzi, którzy nie rozpoznaliby maszyny do pisania ani aparatu
fotograficznego, – gdyby nawet potknęli się o któryś z tych przed-
miotów na prostej drodze, ale za to bez najmniejszych trudności
potrafiliby odróżnić waltera od colta, beretty, smitha-wessona czy
podobnego sprzętu, zwykle uważanego za zbędny z punktu widzenia
potrzeb środków masowego przekazu. Autobus, którym jechali, sta-
nowił czoło kolumny.

Był w nim wszakże człowiek, który nie tylko rozpoznałby aparat
fotograficzny (prawdę mówiąc, miał nawet jeden bardzo skompliko-
wany egzemplarz ze sobą), ale również bez żadnych trudności odróż-
niłby waltera, colta, berettę czy smitha-wessona. Każdy z tych typów
broni miał prawo nosić i nierzadko z tego korzystał. Tym razem
jednak nie był uzbrojony, uważając to za zbędne, chociaż jego koledzy
wozili wspólnie istny ruchomy[^]arsenał. Miał za to przy sobie bardzo
niezwykle urządzenie: wspaniale zminiaturyzowany, tranzystorowy
radioaparat nadawczo-odbiorczy, ukryty w podwójnym dnie aparatu
fotograficznego. Człowiek ten, nazwiskiem Revson, odznaczał się
szczególnymi uzdolnieniami, co w przeszłości wielokrotnie udowad-
niał służąc krajowi, choć kraj o tym nie wiedział.

Autobus zamykający kolumnę również się zapełniał. I w nim sie-
dzielili dziennikarze i ludzie w ogóle nie interesujący się prasą, choć

w tym przypadku proporcje uległy odwróceniu. Będący w zdecydowanej mniejszości reporterzy zdawali sobie sprawę, że z uwagi na majątek pasażerów autobus prezydenta stanie się wkrótce ni mniej, ni więcej tylko Fortem Knox na kółkach. Zastanawiali się jednak, czy rzeczywiście potrzeba było wokół tyłu agentów FBI.

W autobusie prezydenta było tylko trzech ludzi. Wszyscy stanowili jego załogę. Kierowca w białym płaszczu, z radiem nastawionym na odbiór, oczekiwał instrukcji, które miały nadejść przez głośnik umieszczony na tablicy rozdzielczej. Za barem niezwykle piękna brunetka, wyglądająca jak amalgamat reklam linii lotniczych, które nawołują "lataj z nami", próbowała sprawiać wrażenie skromnej i niepozornej, co zupełnie jej nie wychodziło. Za pulpitem łączności z tyłu siedział już radiooperator.

W autobusie Bransona zabrzmiał brzęczyk.

–P 5 – odezwał się głos. – Według planu. Dwadzieścia minut.

Po chwili sygnał rozległ się ponownie.

–P 4 – kolejny głos. – Wszystko w porządku.

–Doskonale. – Tym razem Branson pozwolił sobie na westchnienie ulgi. Przejęcie stacji radarów na Tamalpais miało podstawowe znaczenie dla jego planów. – Ekrany obserwacyjne?

–Obsadzone.

Brzęczyk odezwał się po raz trzeci!

–P 1? – W głosie Johnsona słychać było pośpiech. – Tu P2. Czy możemy już, startować?

–Nie. Jakież kłopoty?

–Chyba tak.

Siedząc za pulpitem przyrządów sterowniczych śmigłowca z wyłączonymi silnikami, Johnson obserwował człowieka, który wyłonił się z biura Eysencka i nagle zaczął biec, okrążając róg budynku. Johnson zdawał sobie sprawę, że mogło to oznaczać tylko jedno: człowiek ów zamierzał zajrzeć przez okno do pokoju Eysencka, a to z kolei znaczyło, że nie udało mu się otworzyć drzwi, które wychodząc z Bradleyem zamknęli na klucz, spoczywający teraz w jego kieszeni. Nie chodziło zresztą o to, że człowiek ten zobaczyłby za wiele, gdyż zaciągnęli nieprzytomnego Eysencka i jego podoficera do umywalni bez okien obok biura komandora. Klucz od tego pomieszczenia również znalazł się w kieszeni Johnsona.

Mężczyzna ukazał się z za rogu budynku. Tym razem nie biegł.

Przeciwnie: zatrzymał się i rozglądał wokół. Nietrudno było zgadnąć, nad czym się zastanawia. Eysenck i podoficer mogli po prostu załatwić swoje sprawy i miałby się z pyszna, gdyby niepotrzebnie podniósł alarm. Z drugiej strony, jeśliby coś się zdarzyło, a on nie zamelduje o swoich podejrzeniach, będzie miał do czynienia z przełożonymi. Zawrócił i skierował się w stronę biura dowództwa, najwyraźniej z zamiarem zadania tam paru ostrożnych pytań. Kiedy był w pół drogi do biura, stało się jasne, że pytania nie będą nazbyt ostrożne. Ruszył nagle biegiem.

Johnson nadał przez* radio:

–Mamy poważne kłopoty.

–Zostańcie jak najdłużej. Startować tylko w ostateczności. Miejsce spotkania bez zmian.

W autobusie o kryptonimie P 1 Van Effen spojrzął na Bransona.

–Coś nie gra?

–Tak. Johnson i Bradley mają kłopoty, chcą startować. Wyobrażasz sobie, co się stanie, jeśli będą krążyć przez dziesięć minut, czekając na nas. Dwa śmigłowce porwane akurat wtedy, gdy w mieście jest prezydent i połowa nafty -Bliskiego Wschodu? Wszyscy będą zdenerwowani jak cholera. Nie będą ryzykować. Wybuchnie panika i nic ich nie powstrzyma: zestrzelą śmigłowce. Mają w bazie phantomy w stałej gotowości bojowej.

–No cóż – Van Effen zatrzymał autobus za tylną ścianą garażu, w którym stała kolumna prezydencka. – Nie jest dobrze, ale może nie najgorzej. Jeśli będą musieli wystartować przed czasem, zawsze może im pan kazać, żeby lecieli nad kolumną prezydencką. Dowódca eskadry musiałby być niespełna rozumu, gdyby rozkazał pilotom otworzyć ogień lub odpalić raketę do śmigłowca krążącego nad autobusem prezydenta. Ślepy traf – i nie ma prezydenta, nie ma arabskich potentatów naftowych, szefa sztabu albo burmistrza Morrisona. Śmigłowiec mógłby nawet rozbić się na dachu autobusu prezydenta. Nic przyjemnego być kontradmirałem wylanym z pracy bez emerytury. Oczywiście zakładając, że udałoby mu się uniknąć sądu wojkowego.

–O tym nie pomyślałem. – Branson sprawiał wrażenie człowieka tylko częściowo przekonanego. – Zakładasz, że dowódca naszego lotnictwa jest tak samo rozsądny jak ty, że będzie rozumował podobnie. A skąd mamy wiedzieć, że nie nadaje się do psychiatrii? Przyznaję, że to wysoce nieprawdopodobne. Tak czy inaczej, muszę się z tobą zgodzić. Nie mamy innego wyjścia niż kontynuować akcję.

Zabrzmiał sygnał brzęczyka. Branson pstryknął odpowiednim przełącznikiem.

–P 1?

–Słucham.

–Tu P 3. – Był to Reston, człowiek z garażu. – Pierwszy autobus właśnie wyjechał.

–Dajcie znać, kiedy ruszy autobus prezydenta.

Branson dał znak Van Effenowi, który zapuścił silnik i skręciwszy powoli podjechał do bocznej ściany garażu.

Brzęczyk odezwał się jeszcze raz.

–P 5. Według planu. Dziesięć minut.

–Dobrze. Idźcie do garażu.

I znów sygnał brzęczyka. Ponownie Reston.

–Autobus prezydenta właśnie rusza – powiedział.

–W porządku. – Branson po raz kolejny zmienił połączenie.

–Autobus z końca kolumny?

–Słucham.

–Zaczekajcie parę minut. Mamy tu korek. Jakiś dureń stanął

z wielką ciężarówką w poprzek ulicy. To pewnie przypadek, ale nie będziemy ryzykować. Bez paniki, niech nikt nie rusza się z miejsca. Wracamy do garażu na parę minut, póki nie ustalą nowej trasy.

W porządku?

–W porządku.

Van Effen podjechał powoli do wylotu garażu. Ustawił swój pojazd tak, by tylko jego przednia część była widoczna dla siedzących w autobusie z końca kolumny, który wciąż jeszcze stał zaparkowany w tym samym miejscu. Następnie wraz z Bransonem bez pośpiechu wysiedli i weszli do garażu. Yonnie, nie zauważony przez ludzi wewnątrz, wyskoczył tylnymi drzwiami i zaczął przymocowywać nową tablicę rejestracyjną do poprzedniej.

Ludzie siedzący w autobusie patrzyli na podchodzących mężczyzn w białych płaszczach z zainteresowaniem, ale bez cienia podejrzliwości. Nie kończące się, "denerwujące opóźnienia były dla nich chlebem powszednim. Branson podszedł do przednich drzwi od strony kierowcy, podczas gdy Van Effen, przechadzając się pozornie bez celu, zbliżył się ku tyłowi pojazdu. Gdyby- nawet mężczyźni w autobusie mieli jakieś powody do niepokoju, wszelkie obawy rozproszyłby widok dwóch postaci w niebieskich kombinezonach, kręcących się przy głównych drzwiach. Nie mogli wiedzieć, że ci dwaj ludzie to Reston i jego przyjaciel.

Branson otworzył przednie drzwi po lewej stronie i wszedł po dwóch stopniach do góry.

–Przepraszamy za kłopot – powiedział do kierowcy. – To się

zdarza. Ustalają nową bezpieczną trasę do Nob Hill.

Kierowca wyglądał na zdziwionego, ale nic ponadto.

–Gdzie Ernie?

–Jaki Ernie?

–Kierowca pierwszego autobusu.

–Ach, więc tak ma na imię! Niestety zachorował.

–Zachorował? – W głosie kierowcy zabrzmiała nuta podejrzliwości.

– Zaledwie dwie minuty temu...

Kierowca obrócił się na fotelu, gdy z tyłu autobusu dały się słyszeć dwie niewielkie eksplozje, a raczej odgłosy przypominające plusk kamienia rzuconego w wodę, którym towarzyszył brzęk tłuczonego szkła i syk uchodzącego pod ciśnieniem powietrza. Tył pojazdu przesłaniała już skłębiona i gęstniejąca coraz bardziej chmura szarego dymu. Nie było widać zamkniętych tylnych drzwi i Van Effena,, który podpierał je, by mieć pewność, że się nie otworzą. Wszyscy ludzie w autobusie – a ściślej biorąc ci, którzy pozostali widoczni – odwrócili się na swych miejscach, automatycznie sięgając po broń, choć reakcja ta była zbyteczna, bo i tak nie było do czego strzelać.

Branson wstrzymał oddech i wrzucił do wnętrza kolejno dwa granaty z gazem: jeden w prześwit między siedzeniami z przodu, drugi pod nogi kierowcy. Potem zeskoczył na podłogę garażu, zatrzasnął drzwi i przytrzymał klamkę. Był to tylko zbędny środek ostrożności, o czym wiedział, bo już pierwsze zachłyśnięcie się gazem powodowało

natychmiastową utratę przytomności. Po dziesięciu sekundach udał się w stronę przedniej części autobusu, gdzie przyłączył się do niego Van Effen: Reston i jego towarzysz zdążyli już zamknąć i zaryglować główną bramę. Teraz zdejmowali właśnie kombinezony, spod których ukazały się tradycyjne, dobrze skrojone garnitury.

–Po wszystkim? – zapytał Reston. – Już? Tak po prostu?

Branson przytaknął.

–Ale skoro jeden haust gazu może człowieka powalić, to co będzie, jak tam zostaną i nawdychają się tego świństwa? To ich przecież zabije!

Bez zbytniego pośpiechu wyszli bocznymi drzwiami, zamykając je na klucz.

–Zetknięcie z tlenem neutralizuje gaz w ciągu piętnastu sekund.

Można by tam teraz wejść i nic by się nikomu nie stało. Ale minie przynajmniej godzina, zanim któryś z nich się ocknie.

Gdy doszli do wylotu garażu, z taksówki wysiadł właśnie Harriman.

Weszli do swego autobusu, który teraz miał pełnić rolę ostatniego w kolumnie, i Van Effen ruszył w stronę Nob Hill. Branson uruchomił jeden z przełączników na pulpicie.

–P2?

–Tak.

–Co słychać?

–Spokojnie. Cholerny spokój. Nie podoba mi się to.

–Jak myślicie, co się dzieje?

–Nie wiem. Wyobrażam sobie po prostu, że ktoś prosi telefonicznie o zezwolenie, by wypuścić na nas ~parę sterowanych pocisków.

–Zezwolenie od kogo?

–Od najwyższych władz wojskowych w kraju.

–Zajmie im trochę czasu, zanim skontaktują się z Waszyngtonem.

–Cholernie niewiele czasu trzeba na kontakt z Nob Hill.

–Niech to diabli! – Przez chwilę nawet kamienny zwykle spokój

Bransona został naruszony. Rzeczywiście, przedstawiciel najwyższych

władz wojskowych kraju znajdował się w apartamencie tuż obok

prezydenta w hotelu Mark Hopkins. Generał Cartland, szef sztabu

i nadzwyczajny doradca prezydenta, faktycznie był tego dnia uczestnikiem wydarzeń.

–Czy wiecie, co się stanie, jeśli się z nim skontaktują?

–Tak. Odwołają przejazd.

Prezydent, choć jest szefem sił zbrojnych, w kwestiach dotyczących

bezpieczeństwa może być zmuszony do poddania się rozkazom swego

szefa sztabu.

–Chwileczkę. – Po krótkiej przerwie odezwał się Johnson. – Jeden

z wartowników przy bramie rozmawia przez telefon. To może coś

znaczyć, ale nie musi.

Branson uświadomił sobie nagle, że w okolicy kołnierzyka robi mu

się wilgotno. Choć zwyczaj odmawiania pacierza zarzucił jeszcze

zanim zszedł z kolan matki, tym razem modlił się, by to nic nie

znaczyło. Telefon do wartownika mógł dotyczyć czegoś zupełnie

innego. Być może i z samej rozmowy nic nie wyniknie. Gdyby stało się inaczej, wiele miesięcy przygotowań i ćwierć miliona dolarów zainwestowanych w przeprowadzenie akcji byłoby warte tyle, co zeszłoroczny śnieg.:

–P 1?

–Tak? – Branson nie bardzo zdawał sobie sprawę, że bezwiednie zaciska zęby.

–Trudno w to uwierzyć, ale wieża kontrolna zezwoliła nam na start.

Branson milczał jeszcze chwilę, jakby ktoś zdjął mu z ramion Złote Wrota. Ocieranie potu z czoła nie było w jego stylu, ale tym razem miał jedyną w swoim rodzaju okazję. Opanował się jednak.

–Darowanemu koniowi nigdy nie zagląda się w zęby – stwierdził.

–Ale czym to wyjaśnić?

–Zapewne wartownicy potwierdzili, że nasze papiery zostały sprawdzone i wszystko jest w porządku.

–Startujcie. Chciałbym sprawdzić, czy słychać was przy włączonych silnikach.

Agenci sił bezpieczeństwa, ustawieni plecami do siebie w dwóch szeregach, mniej więcej w dwumetrowym odstępie, tworzyli ochronny szpaler między hotelem a czekającym w pobliżu autobusem prezydenta. Wydawało się to zbyteczne, gdyż w promieniu stu metrów zamknięto ulice. Dostojni goście znad Zatoki Perskiej absolutnie nie czuli się z tego powodu nieswojo. Nie męczyło ich też żadne klaustro-

fobiczne uczucie uwięzienia. W ich krajach sytuacje takie były czymś powszednim. Sztuka zamachów politycznych osiągnęła tam wyżyny, o jakich w USA jeszcze nikomu się nie śniło. W razie braku jawnej ochrony nie tylko czuliby się jak obnażeni, ale sam fakt, że nie są dostatecznie ważni, by zasłużyć na maksymalną opiekę ze strony sił bezpieczeństwa, stanowiłby obrazę, jeśli nie upokorzenie.

Prezydent szedł przodem rozglądając się niemal tęsknie na boki, jakby zawiedziony, że nie ma komu pomachać ręką. Był wysoki, dość korpulentny, nienagannie ubrany w brązowy garnitur z gabardyny. Jego patrycjuszowskie oblicze przypominało nieodparcie twarz jednego z lepiej odżywionych rzymskich cesarzy, a wspaniała głowa szczyliła się włosami o barwie najczystszej srebra. Stanowiły one, jak powszechnie sądzono, powód do szczególnej dumy i radości prezydenta. Wystarczyło na niego spojrzeć, by ocenić, że już od kolebki sądzony mu był urząd szefa państwa. Było nie do pomyślenia, by ktokolwiek inny mógł do niego pretendować. Być może istniały na Kapitolu tęższe umysły, ale ta wspaniała postać nie miała sobie równych. Jako polityk był człowiekiem o nieposzlakowanej uczciwości (multimilionerowi przychodziło to, być może, łatwiej). Był inteligentny, – miał poczucie humoru. Darzono go najszczerzszymi uczuciami, jak żadnego prezydenta w poprzednim pięćdziesięcioleciu, lubiano, kochano i podziwiano. Było to niezwykle, choć możliwe do osiągnięcia. Jak zawsze miał ze sobą grubą laskę, pamiątkę z czasów, gdy musiał jej używać niemal przez dwa dni, po potknięciu się o smycz własnego

labradora. Nikt nie wątpił, że teraz nie była mu już potrzebna. Może pasowała do wyobrażenia o nim albo tworzyła wokół jego postaci jakiś rooseveltowski klimat. Tak czy inaczej, nigdy się bez niej nie pokazywał ani prywatnie, ani publicznie.

Doszedłszy do autobusu obrócił się nieco, uśmiechnął i skłonił lekko, zapraszając do środka pierwszego ze swych gości.

Honorowe miejsce należało się bez wątpienia królowi. W jego rozległym królestwie było tyle nafty, ile posiadała łącznie cała reszta świata. Był wysokim, okazałym mężczyzną, królem od brzegów oślepiająco białych szat zamiatających posadzkę aż po wierzchołek równie białego burnusa. Miał śniadą twarz, orli nos, doskonale przystrzyżoną siwą brodę i oczy o obwisłych powiekach, jak u zadumanego orła. Jako prawdopodobnie najbogatszy człowiek w historii mógłby zostać tyranem i despota, ale tak się nie stało. Za to jego autokratyczne rządy były absolutne i przestrzegał jedynie tych praw które sam ustanowił. Następny szedł książę. Jego niewielkiego szejkanatu nigdy nie stać było na króla. Choć terytorium, którym władał, stanowiło niecałe pięć procent królewskich posiadłości, wpływy miał prawie takie same. Jego szejkanat, spalony słońcem i nieurodzajny obszar najbardziej niegościnniej pustyni na świecie, pływał wprost w morzu nafty. Książę był ekstrawertykiem i aż nazbyt barwną postacią. Posiadał jednego cadillaca na każdych sześć kilometrów swego księstwa, w którym było sto sześćdziesiąt kilometrów dróg. Jak podawały wiarygodne źródła, gdy któryś samochód miał choćby najmniejszy defekt, uznawano go za

zużyty i nigdy więcej z niego nie korzystano. Dawało to zapewne niejaką satysfakcję firmie General Motors. Książę był też doskonałym pilotem, szczególnie uzdolnionym kierowcą wyścigowym i wytrwałym protektorem wielu spośród najbardziej ekskluzywnych nocnych klubów na całym świecie. Nie szczędził wysiłków, by umocnić swą reputację międzynarodowego playboya. Nie zwodziło to zresztą nikogo, bo pod tą fasadą krył się skomputeryzowany umysł utalentowanego biznesmena. Książę był średniego wzrostu, dobrze zbudowany i z pewnością za nic w świecie nie włożyłby na siebie tradycyjnego arabskiego stroju. Był najlepszym klientem "Savilla Rów", dandysem (trudno o trafniejsze określenie) od krokodylich butów ze szpicami po prawie niewidoczną linię wąsików.

Za królem i księciem szli szejkowie Iman i Kharan, ich ministrowie do spraw ropy naftowej, niezwykle do siebie podobni. Krążyły pogłoski, że mieli wspólnego dziadka, co było bardzo możliwe. Obaj nosili zachodnie stroje, obaj byli pulchni, niemal promiennie uśmiechnięci i doprawdy niezwykle bystrzy. Różniło ich jedynie to, że o ile Iman chlubił się czarną bródką, Kharan był starannie ogolony.

Następny wsiadał generał Cartland. Mimo że miał na sobie cywilne ubranie – nie rzucający się w oczy niebieski garnitur w drobne prążki – trudno było nie zgadnąć, kim jest. Nawet gdyby okrywał go tylko ręcznik kąpielowy, można by natychmiast rozpoznać w nim generała. Wyprostowana sylwetka, precyzyjne ruchy, zwięzłość wypowiedzi, chłodne spojrzenie niebieskich oczu, które o nic nie pytały dwa razy:

to wszystko czyniło go tym, kim był. Także krótko przystrzyżone, szpakowate włosy. Chociaż zainteresowanie Cartlanda naftą nie było jedynie marginesowe – bądź co bądź potrzebował paliwa dla swoich okrętów, czołgów i samolotów – nie występował w roli eksperta w tej dziedzinie. Był na miejscu głównie dlatego, że prezydent nie zgadzał się nawet przejść przez ulicę bez niego. Prezydent przyznawał otwarcie, że polega na radach Cartlanda, jego dużym doświadczeniu w różnych sprawach i zdrowym rozsądku. Wzbudzało to zresztą widoczną, acz zupełnie nieuzasadnioną zawiść Waszyngtonu. Co bardziej obiektywne głosy w stolicy przyznawały, że jako doradca prezydenta jest niezastąpiony i choć te obowiązki pozostawiały mu coraz mniej czasu na dowodzenie armią, marynarką i lotnictwem, Cartland bez wysiłku wywiązywał się z obu ról. Byłby doskonałym politykiem lub mężem stanu, gdyby nie-ciążące na nim od urodzenia przekleństwo: absolutna nieprzekupność i prawość charakteru.

Dalej wsiadał Hansen, władca imperium energetycznego w państwie prezydenta. Został niedawno mianowany na to stanowisko i, jak dotąd, mało o nim wiadano. Jego kwalifikacje były bezsporne, ale doświadczenie miał na razie niewielkie. Energii jednak najwyraźniej mu nie brakowało. Był człowiekiem wybuchowym, nerwowym, o zmiennym usposobieniu, przeraźliwie chudym, o wiecznie niespokojnych rękach i ciemnych oczach. Mówiono, że to nie lada intelekt. Było to jego najpoważniejsze – i w zasadzie pierwsze – zetknięcie z potężnymi magnatami naftowymi i z trudem znosił świadomość, że poddają

go próbie.

, Potem szedł Muir. Był bardzo czerwony na twarzy, prawie łysy, a liczba jego podbródków wahała się od dwóch do czterech, zależnie od kąta nachylenia szyi. W przeciwieństwie do większości ludzi otyłych, twarz jego miała wiecznie płaczący wyraz. Miał w sobie coś z wieśniaka, farmera, któremu się nie powiodło, bo koncentrował się bardziej na jedzeniu tego, co wyhodował, niż na produkcji. Proponowane porozumienie z krajami arabskimi mogło spowodować pewne perturbacje natury politycznej czy zakłócenie porządku, dlatego właśnie konieczna była obecność podsekretarza stanu Muira. Choć trudno w to uwierzyć, był on bez wątpienia najlepszym w kraju ekspertem do spraw Bliskiego Wschodu.

Prezydent ruchem ręki zaprosił do wejścia ostatniego z gości, ale John Morrison, odwzajemniając gest, odmówił. Prezydent podziękował, uśmiechnął się i wszedł pierwszy na stopnie autobusu. Morrison, kędzierzawy, jowialny mężczyzna, niewątpliwie Włoch z pochodzenia nie występował w roli eksperta do spraw energii. Energia interesowała go wprawdzie, ale nie na tyle, by zakłócać mu sen. Znalazł się tu trochę w roli przewodnika, trochę dlatego, że uznał za swój obowiązek przyjęcie zaproszenia od prezydenta. Choć prezydent sprawował oficjalnie rolę gospodarza wobec swoich gości, teren należał do Morrisona i tutaj on właśnie występował jako faktyczny gospodarz i władca. Był przecież burmistrzem San Francisco.

Branson, siedzący – w ostatnim autobusie, zobaczył z odległości

około pięćdziesięciu metrów zamykające się drzwi autobusu prezydenta. Włączył nadajnik.

–P2?

–Słucham – odezwał się Johnson.

–Jedziemy.

–Tak jest.

Kolumna pojazdów ruszyła, pilotowana przez wóz policyjny i motocyklistów. Za nimi jechał autobus prowadzący, potem autobus prezydenta i trzeci, zamykający kolumnę, a na końcu jeszcze jeden samochód policyjny i dwóch motocyklistów. Nie próbowano robić żadnej wycieczki po mieście. Była po temu okazja poprzedniego popołudnia, gdy tylko samolot prezydencki wylądował na międzynarodowym lotnisku. Tym razem podróżowano wyłącznie w interesach. Kolumna pojazdów przejechała ulicą California, skręciła w prawo w Van Ness, potem w lewo w Lombard, ponownie w prawo w Richardson Avenue i do Presidio. Od tego miejsca wszystkie drogi zostały rano zamknięte dla normalnego ruchu. Wjechali w Viaduct Approach, skręcając w prawo -i kierując się na północ, aż wreszcie, daleko przed nimi, ukazały się w całym majestacie Złote Wrota.

ROZDZIAŁ III

Złote Wrota są z pewnością jednym z technicznych cudów świata. Zdaniem mieszkańców San Francisco nie ma, oczywiście, niczego równie wspaniałego i spośród wszystkich mostów właśnie ten jest najbardziej okazały i elegancki zarazem. Na widok dwóch wielkich wież koloru ceglastego – albo, zależnie od natężenia światła, pomarańczowego czy brunatnożółtego – wyłaniających się z gęstych kłębow mgły, która tak często nadciąga znad Pacyfiku, człowiek odnosi wrażenie, że patrzy na coś zupełnie nierealnego. A kiedy mgła rozproszy się całkowicie, uczucie owo zmienia się w oszołomienie i niedowierzanie, że ludzie mieli dość odwagi, aby wymyślić ten epicki poemat potęgi techniki i że starczyło im umiejętności, by swe plany urzeczywistnić. I choć świadectwo wzroku jest niepodważalne, umysł z trudem przyjmuje do wiadomości, że most naprawdę istnieje. To, że w ogóle istnieje, nie jest w gruncie rzeczy zasługą ludzkości, lecz pojedynczego człowieka, niejakiego Josepha B. Straussa. To właśnie on, z typowym dla Amerykanów uporem maniaka, mimo przeszkód na pozór nie do przebycia, trudności politycznych i zapewnień kolegów-architektów, że jego marzenie jest techniczną mrzonką, po prostu nie dał za wygraną i mimo wszystko most zbudował. Oddano go do użytku w maju 1937 roku.

Aż do skonstruowania Yerrazano-Narrows Bridge w roku 1964 był to najdłuższy jednoprzęsłowy most wiszący na świecie. Jest od niego

zresztą krótszy zaledwie o jakieś osiemnaście metrów. Dwie potężne wieże, które podtrzymują most, wznoszą się prawie dwieście trzydzieści metrów ponad wodami cieśniny. Jego całkowita długość wynosi prawie trzy kilometry. Budowa kosztowała trzydzieści pięć milionów dolarów. Dziś trzeba byłoby wydać- około dwustu milionów.

Ponure karty w dziejach mostu zapisali ci Amerykanie, którzy nie mogąc uporać się z trudami życia upodobali go sobie jako miejsce żegnania się ze światem. Znanych jest przynajmniej pięćset przypadków samobójstw. Prawdopodobnie równie wiele pozostało nie wykrytych. Wiadomo o ośmiu osobach, które przeżyły. W pozostałych przypadkach szansę przeżycia wydają się wyjątkowo nikłe. Gdyby nawet ktoś przetrzymał potężne uderzenie przy upadku do wody z wysokości ponad sześćdziesięciu metrów, – fale przyływu i złowrogie prądy cieśniny z łatwością dokonałyby tego, czego nie spowodowało samo uderzenie o wodę. Owe niebezpieczne przyływy i prądy są odczuwalne już w pewnej odległości od mostu, po obu jego stronach. Niecałe pięć kilometrów na wschód, na wyspie Alcatraz, znajduje się budzące grozę więzienie-forteca. Brak dokładnych danych, ilu ludzi próbowało stamtąd uciec, ale panuje przekonanie, że tylko trzem spośród nich udało się przeżyć.

Nie ma sensu dociekać, dlaczego akurat most staje się odskocznią do wieczności. Psychiatrzy stwierdziliby, że to efektowny i przykuwający uwagę finał bezbarwnego, monotonnego życia, wegetacji w szarej anonimowości. Ale nie ma chyba niczego, godnego uwagi ani efektow-

nego w skoku w ciemność w samym środku nocy.

Kolumna pojazdów przejechała w całym majestacie pod pierwszą z wielkich wież. Siedząc w luksusowym wnętrzu autobusu prezydenta król, księżę i ich dwaj ministrowie do spraw nafty rozglądali się wokół ze starannie kontrolowanym podziwem, bo choć w ich pustynnych stronach brakowało zdecydowanie takich mostów jak Złote Wrota – i, prawdę mówiąc, nie były one potrzebne – za nic w świecie nie przyznałiby, że na Zachodzie robi się rzeczy lepsze niż na Bliskim Wschodzie. Nie zachwycali się też zbytnio scenerią, bo chociaż dwa i pół miliona kilometrów kwadratowych wędrujących piasków może mieć swój urok dla stęsknionego za domem Beduina, trudno im się równać z soczystą i żyzną zielenią farm i lasów, jakie rozciągały się przed nimi po drugiej stronie cieśniny. Cały rejon zatoki nie mógł doprawdy wyglądać piękniej niż w ten wspaniały czerwcowy poranek, gdy słońce świeciło z wysoka po prawej stronie na bezchmurnym niebie i skrzyło się w dole w błękitnozielonej wodzie. Była to idealna baśniowa sceneria dla wydarzeń tego dnia. Prezydent i Hansen, władca amerykańskiego imperium energetycznego, gorąco wierzyli, że będzie on miał również bajkowe zakończenie.

Księżę rozejrzał się po autobusie, tym razem nie kryjąc podziwu, gdyż jako typowy przedstawiciel swego pokolenia pasjonował się techniką.

–Słowo daję, panie prezydencie – powiedział urywanym oxfordzkim akcentem – potrafi pan podróżować w wielkim stylu. Chciałbym

mieć coś takiego.

–A więc dostanie pan – obiecał prezydent. – Mój kraj będzie zaszczycony mogąc ofiarować panu taki autobus. Otrzyma go pan zaraz po powrocie do ojczyzny. Wyposażony, oczywiście, wedle pańskich życzeń.

–Księżę zamawia zwykle samochody na tuziny – stwierdził oschle król. – Nie wątpię, Achmedzie, że chciałbyś na dokładkę parę sztuk czegoś takiego. – Wskazał ku górze, gdzie wisiały nad ich głowami dwa śmigłowce morskich sił powietrznych. – Trzeba przyznać, że dba pan o nas, panie prezydencie.

Prezydent uśmiechnął się skromnie. Jakże komentować coś, co jest oczywiste?

–To tylko dekoracja – stwierdził generał Cartland. – Na trasie do San Rafael zobaczy pan najwyżej swoich agentów, czekających po drugiej stronie, i jakiś pojedynczy wóz policyjny. Ale obstawę mimo wszystko mamy. Aż po San Rafael kolumna będzie pod silnie uzbrojoną eskortą dosłownie na każdym metrze trasy. Szaleńcy są wszędzie, nawet w Stanach Zjednoczonych.

–Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych – poprawił posepnie prezydent.

–A więc jesteśmy bezpieczni? – zapytał z ironiczną powagą król.

–Jak w podziemiach Fort Knox – odparł prezydent, znów uspokajająco uśmiechnięty.

Dokładnie w chwili, gdy pierwszy autobus minął linię oznaczającą

połowę mostu, nastąpiła w błyskawicznym tempie cała seria zdarzeń.

W autobusie na końcu kolumny Branson nacisnął guzik na konsoli. W dwie sekundy później w przedniej części pierwszego autobusu, niemal pod stopami kierowcy miała miejsce niewielka eksplozja.

Kierowca, choć nic mu się nie stało, był przez chwilę zdezorientowany, potem zaklął, szybko odzyskał równowagę i z całych sił nadepnął na pedał hamulca. Bez skutku.

–Wielki Boże!

Potrzebował całej następnej sekundy, aby zdać sobie sprawę, że hydrauliczne hamulce puściły. Zaciągnął do oporu ręczny hamulec i zredukował bieg do pierwszego. Autobus zaczął zwalniać.

Branson gwałtownym ruchem uniósł prawą rękę i równie raptownie znów ją opuścił, aby wspomóc lewą i z całych sił wesprzeć się o tablicę rozdzielczą. Jego ludzie z tyłu uczynili podobnie. Zginając lekko w łokciach wyprostowane ręce – czego nauczyli się podczas wielokrotnych treningów – położyli dłonie na tylnych oparciach znajdujących się przed nimi foteli. Miejsca z przodu pozostały wolne. Van Effen wrzucił luz i z całej siły nadepnął na pedał hamulca, jak gdyby chciał wbić go w podłogę.

Fakt, że nieco wcześniej ze złośliwą premedytacją uszkodził tylne światła hamulcowe swego wozu, nie polepszył sytuacji nieszczęsnego kierowcy jadącego za nim samochodu policyjnego. Kolumna posuwała się powoli, jakieś czterdzieści kilometrów na godzinę, a jadący z tyłu wóz policyjny włókł się w odległości paru metrów za autobu-

sem. Kierowca nie miał powodu podejrzewać, że coś się zdarzy, gdyż w związku z przejazdem prezydenckiej kawalkady most został zamknięty dla wszelkiego innego ruchu. Zupełnie nic nie wskazywało, że cokolwiek zakłóci spokojną i monotonną jazdę. Być może nawet pozwolił sobie rzucić okiem na zachwycający krajobraz. Tak czy inaczej, gdy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nie wszystko jest tak, jak być powinno, odległość między jego wozem a autobusem zmniejszyła się o połowę. Chwila niedowierzania kosztowała go kolejny metr, a choć jako policyjny kierowca miał niemałe doświadczenie, nie zareagował szybciej niż inni. Zanim nacisnął nogą hamulec, dystans od stojącego już autobusu wynosił niewiele ponad metr. Efekt zderzenia samochodu z twardym, nieruchomym przedmiotem przy prędkości ponad trzydziestu kilometrów na godzinę nie jest zbyt przyjemny dla jego pasażerów. Dotyczyło to także czterech siedzących w wozie funkcjonariuszy.

W momencie zderzenia Branson nacisnął następny guzik na tablicy rozdzielczej. Pierwszy autobus, wytracający prędkość tylko dzięki użyciu ręcznego hamulca, jechał teraz najwyżej piętnaście kilometrów na godzinę, gdy w szafce z alkoholami z tyłu nastąpiła kolejna niewielka eksplozja, a zaraz potem zaczął się rozlegać wyraźny syk, jak gdyby sprężone powietrze uchodziło pod bardzo wysokim ciśnieniem. W ciągu paru sekund całe wnętrze wypełniło się gęstym, szarym i smrodliwym gazem. Kierowca niemal natychmiast stracił panowanie nad pojazdem, osuwając się bezwładnie na kierownicę.

Autobus zatoczył łuk w prawo i stanął pół metra od krawędzi jezdni.

Nic by się zresztą nie stało, gdyby nawet uderzył w bariery ochronne mostu. Skonstruowano je tak, że mógł im zagrozić dopiero najazd dużego czołgu.

Autobus prezydenta nie doznał żadnego uszkodzenia. Kierowca zobaczył ostrzegawcze światła hamulcowe jadącego przed nim pojazdu, przyhamował, skręcił w lewo, by uniknąć kolizji, i zatrzymał się obok. Twarze dwunastu pasażerów wyrażały różne odcienie niezadowolenia, nie byli jednak na razie zaniepokojeni.

Ludzie z wozu patrolowego i dwaj prowadzący kolumnę motocykliści zadziwiająco późno zauważyli całe zamieszanie. Dopiero teraz dostrzegli stojący ukosem autobus i zaczęli zawracać.

W pojeździe na końcu kolumny wszystko szło jak w zegarku. Było to wynikiem bardzo wielu treningów, obejmujących rozmaite warianty. Van Effen wyskoczył drzwiami po lewej stronie, a Yonnie po prawej, niemal dokładnie w chwili, gdy zrównali się z nimi dwaj motocykliści.

–Radzę wam szybko wejść do środka – powiedział Van Effen.

–Wygląda na to, że mamy tu nieboszczyka.

Obaj policjanci postawili motocykle i wskoczyli do autobusu. Nie mógł ich teraz widzieć nikt z powracającego właśnie wozu policyjnego ani żaden z motocyklistów z czoła kolumny. Można było więc, nic nie ryzykując, szybko i skutecznie się z nimi rozprawić. Zrobiono to dość łatwo, – na co niemały wpływ miał fakt, że ich uwagę zaabsorbował

natychmiast widok skrępowanej postaci, leżącej na podłodze z tyłu między fotelami.

Z autobusu szybko wyszło siedmiu mężczyzn. Pięciu z nich dołączyło do Van Effena i Yonniego. Pobiegli w kierunku pozostałych autobusów. Dalszych dwóch ruszyło w stronę rozbitego wozu policyjnego. Dwaj ludzie otworzyli na oścież tylne drzwi autobusu i ustawili coś, co wyglądało na stosunkowo niegroźny kawałek stalowej rury na trójnogu. Branson i Jensen pozostali na miejscach. Skrępowany i leżący na podłodze sobowtór Jensena spoglądał na nich złowrogo, ale inne możliwości działania miał raczej ograniczone.

Dwaj ludzie, którzy pobiegli w stronę rozbitego wozu policyjnego, nazywali się Kowalski i Peters. Nie wyglądali na przestępców, chyba że określenie to pasuje do pary dobrze sytuowanych młodych mężczyzn, mieszkających w dzielnicy maklerów. Oprócz Yonniego żaden ze współników Bransona zupełnie nie pasował do potocznego wyobrażenia recydywisty. Co prawda obydwaj mężczyźni wielokrotnie zabijali, ale tylko w sposób legalny – o ile pojęcie legalności można dowolnie interpretować – jako członkowie specjalnego oddziału piechoty morskiej w Wietnamie. Rozczarowani do życia w cywilu odnaleźli panaceum na swe frustracje dzięki Bransonowi, który miał znakomite oko do naboru ludzi tego pokroju. Od tego czasu nikogo nie zabili. Branson dopuszczał przemoc tylko w razie konieczności. Zabijanie było środkiem ostatecznym. Sprawiając już od trzynastu lat kłopoty stróżom prawa w USA, Kanadzie i Meksyku, Branson nie

musiał dotąd uciekać się do ostateczności. Nie wiadomo, czy jego postawa wynikała ze skrupułów moralnych, było natomiast jasne, że Branson uważał zabójstwo za zły interes. Policja wkładała zdecydowanie więcej wysiłku w ściganie morderców niż złodziei.

Szyby przednich drzwi samochodu policyjnego były opuszczone.

Najwidoczniej znajdowały się w tym położeniu już w chwili zderzenia.

Czterej umundurowani ludzie wewnątrz wozu nie doznali poważniejszych obrażeń, byli jedynie trochę potłuczeni, za to wyraźnie zszokowani. Najgorzej wyglądał złamany nos mężczyzny siedzącego z przodu obok kierowcy. W zasadzie jednak byli tylko oszołomieni. W każdym razie zbyt oszołomieni, aby stawiać jakikolwiek opór, gdy odbierano im broń. Pracując w zgranym duecie Kowalski i Peters zakręcili szyby w przednich drzwiach. Peters zamknął wóz z jednej strony, a Kowalski z drugiej, wrzuciwszy najpierw do środka granat z gazem.

Cała ta akcja była niewidoczna dla powracającego patrolu i motocyklistów. Zostawiwszy samochód i motory, policjanci zbliżali się ostrożnie do pierwszego autobusu w kolumnie, gdy nadbiegli Yonnie, Van Effen i pięciu innych. Każdy z nich był jakoś uzbrojony.

–Prędzej! – krzyknął Van Effen. – Kryć się! W tamtym wozie jest dwóch stukniętych skurwysynów, jeden z bazooką, drugi ze schmeissem. Schowajcie się za autobus!

Gdyby policjanci mieli czas się zastanowić, być może zakwestionowaliby to, co powiedział Van Effen. Czasu jednak nie było, a instynkt samozachowawczy każe działać natychmiast, choćby irra-

cyjonalnie. Van Effen upewnił się szybko, czy nie mógł ich zauważyć ktoś z autobusu prezydenta. Było toniemożliwe. Nie chodziło zresztą o to, że obawiał się czegokolwiek z tamtej strony. Chciał po prostu oszczędzić sobie wysadzania zamka w drzwiach, które, z pewnością zaryglowano by przed nimi, gdyby ktoś obserwował ich poczynania.

Skinął głową na Yonniego i odszedł z jednym ze swoich ludzi na tył autobusu. Cokolwiek można by powiedzieć i cokolwiek nieżyczliwie powiedziano – o umyślowym ograniczeniu Yonniego. do tej sytuacji był wprost stworzony: sytuacji maksymalnie prostej, w której działanie dominowało nad myśleniem. Długotrwały trening dostarczył na-wet odpowiedniego na taką sytuację słownictwa.

–Podniesiemy rączki do góry, co? – powiedział.

Cała szóstka odwróciła się. Ich twarze wyrażały najpierw zaskoczenie i wściekłość, potem rezygnację. Nie pozostawało im nic prócz rezygnacji. Uznali, nie bez powodów, że nie nadeszła jeszcze od-powiednia chwila, by sięgnąć po broń, a gdy rozsądny człowiek widzi wycelowane w siebie dwa pistolety maszynowe, robi to, co mu każą, i po prostu podnosi rączki do góry. Yonnie trzymał wszystkich na muszce, podczas gdy drugi mężczyzna zabrał im pistolety. Pozostali dwaj ludzie, zobaczywszy, że Van Effen z jeszcze jednym człowiekiem wchodzi do pojazdu prezydenta, zaczęli biec z powrotem w stronę ostatniego autobusu.

W autobusie prezydenta jedyną na razie reakcją było lekkie zdumienie i irytacja. Jedna czy dwie osoby próbowały zwyczajowo podnieść się z miejsc, gdy Van Effen pojawił się w drzwiach.

–Proszę panów o zachowanie spokoju – powiedział. – To tylko niewielkie opóźnienie.

Już sam widok osoby ubranej na białe wzbudza taki respekt, że gdy zdarzy się wypadek drogowy, tłum rozstępuje się przed człowiekiem w fartuchu rzeźnika. Wszyscy więc ponownie usiedli. Van Effen wy-dobył nieprzyjemnie wyglądającą broń: dwulufową dubeltówkę kali-ber dwanaście, w której usunięto znaczną część lufy i łożyska, może po to, by łatwiej było ją przenosić, a może dla większej dokładności strzału.

–Niestety, macie panowie do czynienia z napadem, czy jak kto woli porwaniem. Nieważne zresztą, jak to nazwiemy. Proszę tylko o pozos-tanie na swoich miejscach.

–Dobry Boże! – Prezydent wpatrywał się w okrągłą twarz Van Effena, jakby ten był stworem z innej planety. Jego wzrok, niby

przyciągany niewidzialnym magnesem, powędrował w stronę króla i księcia, potem znów spojrzał niedowierzająco, z oburzeniem na Van Effena. – Czy pan oszalał? Nie

wie pan, kim jestem? Nie wie pan, że mierzy do prezydenta Stanów Zjednoczonych?

–Wiem, jest pan tym, kim jest, podobnie jak ja jestem, kim jestem, i nic na to nie poradzimy. A co do trzymania na muszce prezydentów, nasz kraj ma w tym względzie długą, choć niezbyt chlubną tradycję. Proszę nie sprawiać kłopotów.

Van Effen skierował wzrok na generała Cartlanda; obserwował go zresztą dyskretnie, odkąd wszedł do autobusu.

–Panie generale, wszyscy wiedzą, że zawsze nosi pan broń. Proszę mi ją oddać. Proszę, by nie próbował pan żadnych sztuczek. Pański kaliber dwadzieścia dwa może być dość niebezpieczny przy celnym strzale. Ale to działko zrobiłoby panu w piersi dziurę wielkości dłoni. Wiem, że nie jest pan człowiekiem, który myli odwagę z samo-bójstwem.

Cartland uśmiechnął się nieznacznie, skinął głową, wyjął niewielki, czarny, wąski pistolet automatyczny i oddał go,

–Dziękuję – powiedział Van Effen. – Niestety będziecie panowie zmuszeni pozostać na swoich miejscach, przynajmniej na razie. Może-cie tylko wierzyć mi na słowo, ale jeśli nie użyjecie przemocy, my też nie będziemy jej stosować.

Zapadło głębokie milczenie. Król, zamknąwszy oczy i skrzyżowaw-szy ręce na piersiach, zdawał się obcować z własnymi myślami, a może z Wszchemocnym. Nagle spojrzął na prezydenta i zapytał:

–Właściwie na ile bezpieczne są podziemia Fort Knox?

–Niech mi pan lepiej wierzy, Hendrix – powiedział Branson. Mówił do trzymanego w ręce mikrofonu. – Mamy prezydenta, króla i księcia. Jeśli zechce pan chwilę poczekać, sam prezydent może to panu potwierdzić. Tymczasem proszę się do nas nie zbliżać ani nie próbo-wać niczego równie głupiego czy nieroztropnego. Chcę panu coś zademonstrować. Pewnie ma pan jakieś wozy patrolowe w pobliżu wjazdu na most od południa i jest pan z nimi w kontakcie radiowym?

Hendrix nie wyglądał bynajmniej na szefa policji. Sprawiał wrażenie profesora, który zbiegł z pobliskiego uniwersytetu. Był wysokim, szczupłym, nieco przygarbionym brunetem, o zawsze starannym wy-

glądzie i tradycyjnym ubiorze. Wielu ludzi, czasowo lub na zawsze pozbawionych wolności, zaświadczyłoby dobrowolnie, choć zapewne z bluźnierstwem na ustach, że jest doprawdy niezwykle inteligentny. Żaden inny policjant w tym kraju nie działał równie błyskotliwie i skutecznie. W owej jednak chwili jego wyrafinowana inteligencja okazywała się na razie bezużyteczna. Czuł się jak ogłuszony i przypominał człowieka, który nagle ujrzał na jawie wszystkie wyśnione koszmary.

–Tak, jestem z nimi w kontakcie – odpowiedział.

–Bardzo dobrze. Niech pan zaczeka – Branson odwrócił się i dał znak dwóm ludziom w tyle autobusu, z ustawionej tam bezodrzutowej wyrzutni pocisków rozległ się nagle odgłos eksplozji. W trzy sekundy później między filarami południowej wieży pojawiła się chmura gęstego, szarego dymu. Branson odezwał się do mikrofonu. – Co pan na to?

–Jakaś eksplozja – powiedział Hendrix. Głos miał nad wyraz opanowany. – Sporo dymu, jeśli to jest dym.:

–To gaz obezwładniający. Nie powoduje trwałych uszkodzeń, ale pozbawia przytomności. Utlenia" się dopiero po jakichś dziesięciu minutach. Jeśli będziemy zmuszeni go użyć, a wiatr zawieje z północnego zachodu, z północy albo północnego wschodu... Cóż, sam pan rozumie, że na pana spadnie odpowiedzialność.

–Rozumiem.

–Konwencjonalne maski gazowe są bezużyteczne. Czy to także pan rozumie?

–Owszem.

–Mamy w zasięgu podobnej wyrzutni północny kraniec mostu. Poinformuje pan siły policyjne i jednostki wojskowe, że nie zaleca się prób wtargnięcia na most. Czy to też jest jasne?

–Tak.

–Powiedziano panu zapewne, że nad mostem krążą dwa śmigłowce morskich sił powietrznych?

–Tak. – Wyraz osaczenia zniknął z twarzy Hendrixa i jego umysł najwyraźniej znów pracował na najwyższych obrotach. – Przyznaję, że to dość zagadkowe.

–Niekoniecznie. Są w naszych rękach. Niech pan natychmiast zaalarmuje wszystkich dowódców lądowych i morskich sił powietrznych. Niech im pan powie, że jakakolwiek próba zestrzelenia tych śmigłow-

ców przez myśliwce będzie miała bardzo przykre następstwa dla

prezydenta i jego przyjaciół. Proszę im przekazać, że zostaniemy

natychmiast powiadomieni o starcie każdego samolotu. Stacje rada-

rów na Mount Tamalpais są w naszych rękach.

–Wielki Boże! – Hendrix był znów w punkcie wyjścia.

–On nie przyjdzie z pomocą. Radary są obsadzone przez wykwalifikowanych operatorów. Ostrzegam przed próbą przejęcia stacji atakiem z lądu czy powietrza. Zdajemy sobie sprawę, że gdyby taki atak nastąpił, nie potrafilibyśmy mu zapobiec. Nie przypuszczam jednak, by prezydent, król czy książę patrzyli łaskawym okiem na człowieka odpowiedzialnego za pozbawienie któregoś z nich, dajmy na to, prawego ucha. Proszę nie myśleć, że żartuję. Dostarczymy je osobiście, w hermetycznie zamkniętej, plastikowej torebce.

-Nie będzie takiej próby.

Kapitan Campbell, kędzierzawy, jowialny z natury, blondyn o rumianej twarzy, którego Hendrix uważał za swoją prawą rękę, patrzył na niego z niejakim zdziwieniem, nie ze względu na to, co właśnie powiedział, lecz dlatego, że pierwszy raz w życiu zobaczył u Hendrixa krople potu na czole. Mimowolnym gestem podniósł rękę i dotknął własnego czoła, po czym spojrzał poważnie zaniepokojony na zwilgotniałą dłoń.

–Mam nadzieję, że nie rzuca pan słów na wiatr – powiedział

Branson. – Wkrótce się z panem skontaktuję.

–Czy mogę być w pobliżu mostu? Muszę chyba uruchomić coś w rodzaju sztabu łączności, a to miejsce wydaje się najodpowiedniejsze.

–W porządku. Ale niech pan nie wchodzi na most. I proszę się postarać, żeby żaden prywatny samochód nie wjechał do Presidio.

Przemoc to ostatnia rzecz, jakiej sobie życzymy, ale jeśli do niej

dojdzie, nie chcę, by ucierpieli niewinni ludzie.

**–Jest pan bardzo troskliwy. – Głos Hendrixa zabrzmiał, być może
nie bez powodu, nieco zgryźliwie. i**

Branson uśmiechnął- się i odłożył mikrofon.

**Chmura dymu wewnątrz pierwszego autobusu roziała się, ale
skutki działania gazu pozostały widoczne. Wszyscy pasażerowie byli
nadal nieprzytomni. Dwie czy trzy osoby upadły w przejściu między**

**fotelami, najwyraźniej nie doznając przy tym żadnych obrażeń. Na ogół jednak
ludzie siedzieli skuleni na swoich miejscach albo osunęli się bezwładnie do przodu,
na oparcia foteli.**

**Yonnie i Bartlett krążyli między nimi, ale nie w charakterze aniołów stróżów.
Dwudziestosześcioletni Bartlett był najmłodszym z ludzi Bransona i wyglądał w
każdym calu na świeżo upieczzonego studenta,:**

**co zupełnie mijало się z prawdą. Przeszukiwali wszystkich w autobusie, i to bardzo
dokładnie, a ci których spotkała ta zniewaga, nie mogli nawet zaprotestować.
Dziennikarkom oszczędzono rewizji, za to ich torebki zostały skrupulatnie
sprawdzone. Fakt, że żaden z kilku | tysięcy dolarów, jakie przeszły przez ręce
Yonniego i Bartletta, nie trafił do ich kieszeni, świadczył dobitnie o wymaganiach
Bransona. – Rabunek na wielką skalę to był nie lada interes; drobne kradzieże
uważał natomiast za nędzne złodziejstwo, którego nie należy tolerować. Tak czy
inaczej, nie szukali pieniędzy, lecz broni. Branson rozumował – słusznie, jak się**

**okazało – że w wozie prasowym znajduje się kilku specjalnych agentów, których
zadaniem nie będzie bezpo- średnia ochrona prezydenta i jego gości, lecz inwigilacja
dziennikarzy.**

**Ze względu na zainteresowanie, jakie wzbudził na całym świecie przyjazd arabskich
potentatów naftowych do USA, w autobusie było przynajmniej dziesięciu
przedstawicieli prasy zagranicznej: czterech [z Europy, tyle samo z państw Zatoki
Perskiej oraz po jednym z Nigerii i Wenezueli. Kraje te były z pewnością żywotnie
zainteresowane wszelkimi transakcjami, jakie zawierały główne potęgi naftowe i
Stany Zjednoczone.**

Znaleźli trzy sztuki broni i włożyli je do kieszeni. Ich właścicieli zakuto w kajdanki i

pozostawiono na miejscach. Yonnie i Bartlett wyszli i dołączyli do człowieka, który pilnował sześciu wciąż zdezo-

rientowanych policjantów, skutyh razem w rzędzie. Inny mężczyzna * usadowił się za podobną do bazooki wyrzutnią pocisków, która strzegła północnej wieży. Wszystko było tu całkowicie pod kontrolą, podobnie jak po stronie południowej. Wszystko rozegrało się zgodnie z planami Bransona, opracowywanymi skrupulatnie i z niemałym wysiłkiem przez kilka ostatnich miesięcy. Miał wszelkie powody, by odczuwać zadowolenie.

Kiedy Branson wychodził z ostatniego autobusu, trudno było | zgadnąć, czy jest zadowolony, czy nie. Wszystko odbyło się po prostu tak, jak oczekiwał. Ludzie Bransona często stwierdzali – choć nigdy

w jego obecności – że jest niewiarygodnie pewny siebie. Z drugiej strony musieli przyznać, że ta absolutna wiara we własne siły była, jak dotąd, w pełni uzasadniona. Zrządzeniem losu dziewięciu spośród osiemnastu stałych współpracowników Bransona przebywało przez pewien czas w różnych zakładach karnych na terenie całego kraju. Miało to jednak miejsce zanim ich zwerbował. Od tej pory nikt z całej osiemnastki nie trafił nawet na salę sądową, nie mówiąc już o więziennej celi. Jeśli wziąć pod uwagę, że byli wśród nich tacy stali pensjonariusze rządu amerykańskiego, jak Parker, można to uznać za niemałe osiągnięcie.

Branson udał się w stronę autobusu prezydenta. Van Effen stał w drzwiach.

–Podjadę pierwszym autobusem trochę do przodu – odezwał się Branson. – Powiedz kierowcy, żeby jechał za mną.

Wsiadł do autobusu na czele kolumny i wspólnie z Yonniem

wywiekli z kierownicy uśpionego mężczyznę. Potem wskoczył na pusty fotel, włączył silnik, wrzucił bieg i wyprostowawszy koła przejechał jakieś pięćdziesiąt metrów, zatrzymując pojazd za pomocą ręcznego hamulca. Autobus prezydenta pojechał za nim i stanął zaledwie o metr dalej.

Wysiadłszy Branson poszedł z powrotem w kierunku południowej wieży. Gdy dotarł dokładnie na środek mostu – do miejsca, gdzie ogromne liny nośne znajdowały się najniżej – obejrzał się, a potem znów popatrzył przed siebie. Przestrzeń pięćdziesięciu metrów centralnego odcinka mostu była wolna. Tu właśnie najmniejsze było prawdopodobieństwo uszkodzenia linami wirnika śmigłowca, nawet w przypadku niezwyklej i nieprzewidzianych kaprysów wiatru. Branson odszedł na bok i pomachał ręką w kierunku dwóch terkoczących w górze maszyn. Johnson i Bradley wylądowali łatwo i bez zbędnego zamieszania. Po raz pierwszy w swej długiej i czcigodnej historii most posłużył jako lądowisko śmigłowców.

Branson wszedł do autobusu prezydenta. Wszyscy obecni instynktownie wyczuli w nim przywódcę porywaczy i człowieka odpowiedzialnego za ich aktualne położenie. Powitano go bez cienia serdeczności. Czterej potentaci naftowi i Cartland mieli kamienne twarze. Hansen, co zrozumiałe, był bardziej wystraszony i zdenerwowany niż kiedykolwiek, o czym świadczyły nieustanne, gwałtowne ruchy rąk i oczu. Muir wydawał się jak zwykle senny. Oczy miał na wpół

przymknięte, jakby właśnie zasypiał. Burmistrz Morrison, który podczas II wojny światowej zdobył tyle medali, że z trudem mieściły się nawet na jego masywnej piersi, był po prostu wściekły. Tak samo, bez wątpienia, prezydent. Wyraz życzliwej tolerancji i wyrozumiałej mądrości, który zjednywał mu serca milionów, zniknął chwilowo z jego twarzy.

Branson zaczął bez wstępów, chociaż dość uprzejmie:

–Nazywam się Branson. Dzień dobry, panie prezydencie. Wasze wysokości. Chciałbym...

–Pan by chciał? – Prezydent był wściekły jak diabli, ale potrafił zapanować nad mimiką i tonem głosu; człowiek, którego dwieście milionów ludzi nazywa prezydentem, nie może zachowywać się "jak niezrównoważona gwiazda rocka."

–Proponuję, żebyśmy...

–Proponuję, żebyśmy darowali sobie zagadki i hipokryzję pustej uprzejmości. Kim pan jest?

–Już powiedziałem. Nazywam się Branson. Nie widzę powodu, żeby zrezygnować z przestrzegania podstawowych konwenansów. Byłoby miło, gdyby początkom naszej znajomości – przyznaję, że z pańskiej strony nieco wymuszonej – towarzyszył spokój i rozsądek. Zrobi się o wiele przyjemniej, jeśli będziemy się zachowywać w sposób bardziej cywilizowany,

–Cywilizowany? – Prezydent spojrzał na niego z autentycznym zdumieniem, które wkrótce znów ustąpiło miejsca wściekłości. – kto to mówi?! Ktoś taki, jak pan? Zbir? Oszust? Chuligan? Pospolity

przestępca? Pan ośmiela się proponować, żebyśmy zachowywali się w sposób bardziej cywilizowany? i

–Nie jestem zbiem. Oszustem – tak. Nie uważam się też za chuligana ani za pospolitego przestępcę. Jestem przestępcą niezwykłym. Nie żałuję jednak, że przyjął pan taką postawę. Nie chcę przez to

powiedzieć że z czystym sumieniem będę mógł postąpić z panem bez skrupułów

tylko dlatego, że wrogo mnie pan potraktował. Ja po prostu nie mam sumienia. Wiele to upraszcza. Skoro nie muszę ścisnąć

panu ręki – oczywiście, nie mówię tego dosłownie – znacznie łatwiej osiągnę to, co sobie zaplanowałem.

–Nie sędzę, żeby miał pan okazję do jakichkolwiek uścisków dłoni, Branson. – Głos Cartlanda brzmiał niezwykle oschle. ~ Kim zatem jesteśmy? Ofiarami porwania? Zakładnikami w jakiejś przegranej sprawie, która jest panu droga?

–Jedyna droga mi sprawa to mieć panów przed sobą.

–A więc porwanie dla okupu?

–To już bliższe prawdy. Porwanie dla bardzo wysokiego okupu, mam nadzieję. – Ponownie spojrzał na prezydenta. – Doprawdy szczerze mi przykro z powodu zniewag czy niewygód, na jakie narażam pańskich zagranicznych gości.

–Niewygód! – Prezydentowi opadły ręce, przybrał swą tragiczną maskę. – Nie wie pan, jakie niepowetowane szkody pan dziś spowodował, Branson.

–Nie zdawałem sobie sprawy, że zdążyłem komuś zaszkodzić. Czy ma pan na myśli ich wysokość? Nie wiem, jaką krzywdę mogłem im wyrządzić? A może chodzi o dzisiejszą przejażdżkę do San Rafael na inspekcję miejsca budowy największej na świecie rafinerii nafty?

Niestety, trzeba będzie tę podróż nieco opóźnić. – Uśmiechnął się i skinął głową w kierunku naftowych potentatów. – Oni mają pana i Hansena w garści, prawda, panie prezydencie? Z powodu nafty.

Najpierw bezkarnie was okradają przy sprzedaży ropy i gromadzą tyle forsy, że nie mają gdzie jej pomieścić. Wpadają więc na genialny pomysł, żeby ją zainwestować w kraju, który ograbili. Proponują

zbudowanie rafinerii i zakładów petrochemicznych na Zachodnim Wybrzeżu. Mają je sami obsługiwać – oczywiście z waszą pomocą technologiczną – przerabiając własną naftę, która nic ich nie będzie kosztowała. Przewidują krociowe zyski. Poważna ich część ma być wam przekazana w postaci znacznie obniżonych cen ropy. Powszechne eldorado. Niestety, międzynarodowe finanse to nie moja specjalność. Wolę zarabiać w bardziej bezpośredni sposób. Ale jeśli pan. myśli, że pańska transakcja ucierpi z powodu obrazy, jakiej doznają w tej chwili ci arabscy dżentelmeni, musi pan być o wiele bardziej naiwny niż przystoi prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Ci panowie nie kierują się względami osobistymi. Mają stal wolframową tam, gdzie powinni mieć serca, i komputery IBM zamiast mózgów.

–Zamilkł na chwilę. – Nie jestem zbyt uprzejmy dla pańskich gości, prawda?

Król i książę Achmed przestali zachowywać się obojętnie. Ich spojrzenia, kierowane w stronę Bransona, wyrażały dobitnie określone pragnienie.

–Wygląda na to, że nie spieszy się pan specjalnie z realizacją swoich zamierzeń – odezwał się Cartland.

–Ma pan absolutną rację. Pośpiech jest już zbędny. Czas nie ma teraz istotnego znaczenia, z tym tylko wyjątkiem, że im dłużej tu zabawię, tym więcej zyskam. Wyjaśnię to później. Z kolei im dłużej panowie tu pozostaniecie, tym więcej czasu będziecie mieli, i wy, i wasi obywatele, zarówno w Stanach, jak i w Zatoce Perskiej, żeby ocenić,

^w jaką kabałę się wpakowaliście. A możecie mi wierzyć, że jesteście w niezłych tarapatach. Pomyślcie o tym.

Branson przeszedł na tył autobusu i zwrócił się do młodego blondyna w mundurze, który -obsługiwał obszerne centrum łączności.

–Jak się nazywasz?

Żołnierz, który słyszał dokładnie, co zaszło, i najwyraźniej nie był tym zachwycony, zawahał się przez moment, po czym odparł niechętnie:

–Boyann.

Branson podał mu kartkę papieru.

–Połącz mnie, proszę, z tym numerem. To rozmowa miejscowa.

–Sam się połącz.

–Powiedziałem "proszę".

–Idź do diabła!

Branson wzruszył ramionami i odwrócił się.

–Van Effen!

-Słucham?

–Sprowadź Chryslera. – Odwrócił się do Boyanna. – Jako spec od telekomunikacji Chrysler zdążył już zapomnieć o wiele więcej niż ty się dotychczas nauczyłeś. Myślisz, że nie przewidziałem spotkania z młodymi bohaterami? – Odwrócił się znów do Van Effena. – Kiedy przyprowadzisz Chryslera, zabierz tego Boyanna i niech zrzucą go z mostu.

–Tak jest.

–Chwileczkę! – Prezydent był wstrząśnięty i dało się to zauważyć.

–Nie ośmieli się pan!

–Proszę mnie tylko sprowokować, a i pana wrzucę do wody.

Wiem, że wydaje się to brutalne, ale w końcu będziecie musieli się przekonać, że mówię serio.

Muir poruszył się i po raz pierwszy odezwał. Głos miał znużony.

–Wyczuwam chyba nutę szczerości w tym, co mówi ten facet.

Możliwe, oczywiście, że po prostu przekonująco blefuje. Ale jeśli o mnie chodzi, wolałbym tego nie sprawdzać.

Prezydent rzucił podsekretarzowi stanu nieprzyjazne spojrzenie, ale wyglądało na to, że Muir już śpi. Cartland powiedział spokojnie:

–Boyann, niech pan wykona polecenie.

–Tak jest, sir. – Boyann był wyraźnie uradowany, że ktoś za niego podejmuje decyzję. Branson dał mu kartkę i spytał:

–Możesz łączyć z aparatem przy fotelu naprzeciwko miejsca prezydenta? – Boyann przytaknął. – I równocześnie z jego telefonem?

–Boyann ponownie skinął głową. Branson odszedł i usiadł na wolnym fotelu. Boyann natychmiast otrzymał połączenie. Najwyraźniej czekało na tę rozmowę.

–Tu Hendrix – odezwał się głos.

–Mówi Branson.

–Taak. Branson. Peter Branson. Boże, powinienem był się domyślać! – Nastąpiła cisza, po czym Hendrix powiedział spokojnie:

–Zawsze chciałem się z panem spotkać, Branson.

–Będzie pan miał okazję, mój drogi. I to o wiele szybciej niż pan sądzi. Chciałbym żebyśmy porozmawiali później. A teraz nie zdziwiłbym się, gdyby prezydent miał ochotę na rozmowę z panem.

Branson podniósł się z pewnym trudem odstępując aparat i miejsce Morrisonowi, który wstał z nie mniejszym wysiłkiem i skwapliwie skorzystał z propozycji.

Prezydent zachował się tak, jak zachowałby się każdy prezydent znalazłszy się pechowo w podobnym położeniu. Demonstrował kolejno niedowierzanie, oburzenie i przerażenie z powodu faktu, że nie tylko głowa państwa, ale – co ważniejsze – zagraniczni potentaci znaleźć się musieli w tak, jego zdaniem, bezprecedensowej absurdalnej sytuacji. Jak było do przewidzenia, obciążył Hendrixa całkowitą odpowiedzialnością i na koniec zażądał od niego, by spełnił swój obowiązek, likwidując niezwłocznie całe to cholerne zamieszanie.

Prezydent wiedział aż za dobrze, że ochronę organizował Waszyngton i miejscowa policja robiła dokładnie to, co jej kazano, ale jego pamięć, logiczne myślenie i poczucie sprawiedliwości uległy zaburzeniu.

Hendrix, który miał o wiele więcej czasu na rozważenie sytuacji, zachował godny podziwu spokój.

–Jakie działania mi pan proponuje, sir? – spytał.

Bezładny bełkot, jaki usłyszał w odpowiedzi, wskazywał dobitnie, że konstruktywne propozycje były w tym momencie odległe o dobrych parę lat świetlnych od umysłu prezydenta. Morrison skorzystał z chwili przerwy na linii.

–Bernard? Mówi John. – Morrison mimo woli uśmiechnął się.

–Wyborcom się to nie spodoba, Bernardzie.

–Aż stu pięćdziesięciu milionom?

Znów ten sam uśmiech.

–Owszem, skoro musimy rzecz rozpatrywać w skali kraju.

–Obawiam się, John, że wyniknie z tego problem na całe Stany.

Prawdę mówiąc, sam cholernie dobrze wiesz, że już tak jest. A z politycznego punktu widzenia ta sprawa przerasta nas obu.

–Pocieszasz mnie jak możesz, Bernardzie.

–Chciałbym, żeby mnie ktoś pocieszył. Myślisz, że nasz przyjaciel pozwoli mi porozmawiać z generałem?

–Zapytam.

Branson łaskawie się zgodził. Za jego sprawą w spojrzeniach pasażerów autobusu dawało się zauważyć coraz więcej podejrzliwości i lęku. Ten człowiek był aż nazbyt pewny siebie. Biorąc jednak pod uwagę zaistniałą sytuację, miał po temu wszelkie powody. Dysponował czymś mocniejszym niż komplet atutów: to była talia złożona z samych asów.

Hendrix odezwał się do słuchawki:

–Generał Cartland? Mówi Hendrix. Moim zdaniem, sir, będzie to w równym stopniu operacja wojskowa, co policyjna. Może nawet bardziej wojskowa, jeśli trafnie oceniam sytuację. Czy mam skontaktować się z dowództwem na Wybrzeżu?

–Z kimś wyższego szczebla.

–Z Pentagonem?

— Natychmiast.

–Jakieś działania lokalne?

–Do diabła z tym. Niech pan zaczeka, aż sytuacja się wyklaruje i dowiemy się, czego chce ten szaleniec. – Branson uśmiechnął się uprzejmie, ale jak zwykle uśmiech ani na chwilę nie zagościł w jego oczach. – Według tego-co sam twierdzi – jeśli można wierzyć choć jednemu jego słowu – czas nie gra roli. Myślę, że chce z panem rozmawiać.

Branson wziął słuchawkę od Cartlanda i rozsiadł się wygodnie w fotelu.

–Parę pytań i prośb, Hendrix. Sądzę, że w zaistniałej sytuacji mogę się spodziewać odpowiedzi i spełnienia moich żądań. Zgodzi się pan z tym?

–Słucham.

–Czy wiadomość już się rozeszła?

–Co pan, do diabła, przez to rozumie? Połowa San Francisco widzi, że sterczycie na tym cholernym moście.

-. Nie powinien pan tak o nim mówić. To mój ulubiony most. Mam na myśli rozgłos ogólnokrajowy.

-.Wiadomości rozejdą się wystarczająco szybko.

–Niech pan dopilnuje, żeby to się stało natychmiast. Środki masowego przekazu, jak się je obecnie określa, będą z pewnością zainteresowane. Jestem gotów zezwolić – nie, niezupełnie tak: nale-

gam, żeby oddał pan śmigłowiec – albo lepiej dwa śmigłowce – do dyspozycji paru z tych kilkuset reporterów, którzy chcieliby zarejestrować to historyczne wydarzenie. W rejonie zatoki jest mnóstwo odpowiednich maszyn, wojskowych i cywilnych.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym Hendrix zapytał:

–Po diabła są panu potrzebne?

–To jasne jak słońce. Chodzi o rozgłos, o jak największą widownię.

Chcę, żeby wszyscy w Ameryce, a właściwie na całym świecie, jeśli tylko dociera do nich telewizja, zobaczyli, w jakich opałach znalazł się prezydent i jego arabscy przyjaciele. Przyzna pan, że są w opałach, prawda?

Znowu milczenie.

–Wykorzysta pan, oczywiście, zdobyty rozgłos, żeby przeciągnąć opinię publiczną na swoją stronę i łatwiej osiągnąć to, do czego pan zmierza?

–A jakżeby inaczej?

–Nie chciałby pan, żebym[^] przysłał na most autobus pełen reporterów, prawda? – spytał ponuro Hendrix.

Branson uśmiechnął się do aparatu.

–Nie miałbym nic przeciwko temu, byle nie siedzieli w nim przebrani za reporterów i uzbrojeni po zęby ludzie z FBI. Nie, myślę, że to sobie darujemy. Poza tym mamy tu już cały autobus dziennikarzy.

–Co może mnie powstrzymać przed załadowaniem do tych śmig-

łowców wojska, choćby spadochroniarzy?

Branson westchnął.

–Tylko pański zdrowy rozsądek. Czyżby pan zapomniał, że mamy zakładników? Kula może osiągnąć prezydenta o wiele szybciej, niż dotarłby do niego spadochroniarz.

Branson spojrział na prezydenta, który najwyraźniej nie wykazywał ochoty, żeby być obiektem przetargu.

–Nie odważyłby się pan. To by pokrzyżowało pańskie plany. Nie miałby pan czym nas szantażować.

–Miałbym jeszcze króla i księcia. Może się pan sam przekonać. Porusza się pan po omacku i dobrze o tym wie. A może chce pan przejść do historii jako człowiek odpowiedzialny za śmierć prezydenta, króla i księcia? – Hendrix nic nie odpowiedział. Wyraźnie nie była to rola, jaką przewidywałby dla siebie. – Nie zapomniałem jednak, że zdarzają się zapaleńcy, którzy są gotowi polec dla sławy i ryzykują w ciemno, nie cofając się przed niczym. Mam więc kolejną prośbę. W tym rejonie jest całe mnóstwo jednostek wojskowych: Presidio, Fort Baker, wyspa Treasure, Fort Funston, Miley i Mason, Fort Barry, Cronkite – sam pan zresztą wie. Pełno ich wokół i do wszystkich można stąd łatwo dotrzeć szosą. Zdziwiłbym się bardzo, gdyby wspólnymi siłami nie potrafiły załatwić dwóch ruchomych, szybko-strzelnych, samobieżnych działek przeciwlotniczych, które chcę mieć na moście w ciągu godziny. Z dużą ilością amunicji, oczywiście – i niech wojsko najpierw je wypróbuje. Wie pan jak na tego typu sprzęcie ciąży czasem złośliwe fatum.

–Jest pan niespełna rozumu.

–To boski rodzaj szaleństwa. A teraz instrukcje.

–Odmawiam.

–Odmawia pan? Generale Cartland!

Cartland podźwignął się z fotela i przeszedł przez autobus. Wziął słuchawkę i powiedział spokojnie:

–Niech pan robi to, o co prosi ten szaleniec. Nie wyczuwa pan na kilometr megalomanii?

–To było bardzo nieuprzejme, generale. – Branson uśmiechnął się i przejął

słuchawkę. – Dotarło do pana, Hendrix?

–Dotarło. – Głos Hendrixa brzmiał tak, jakby go duszono.

–Teraz moja trzecia prośba. Niech pan wezwie dwa oddziały wojsk inżynieryjnych. Chcę, żeby na moście skonstruowano dwie stalowe zapory, po jednej pod każdą wieżą. Muszą być na tyle mocne, żeby zatrzymały czołg, i dość wysokie, by nikt przez nie nie przeszedł. U góry dajcie, oczywiście, drut kolczasty. Północna zaporą ma stanowić jedną całość, w południowej środkowa część niech będzie na zawiasach. Powinna być dość szeroka, żeby przejechał przez nią dżip,

i otwierać się tylko od wewnątrz, czyli z naszej strony. Zapory trzeba przyśrubować lub przyspawać do balustrady mostu i przymocować do jezdni pneumatycznymi kolcami. Wojsko wie na ten temat znacznie więcej niż ja. Będę osobiście nadzorował prace.

Hendrix oddychał z niejakim trudem. Wreszcie odezwał się:

–Po co to wszystko?

–Chodzi o tę parszywą mgłę, która stale nadciąga znad Pacyfiku.

Za często przesłania most. Nawet w tej chwili widzę, że się zbliża.

–Brzmiało to niemal tak, jakby Branson się usprawiedliwiał. – Zbyt łatwo byłoby nas podejść pod osłoną mgły.

–A po co zawiasy w południowej zaporze?

–Chyba już panu powiedziałem. Aby umożliwić przejazd dżipa. –

Trzeba będzie, na przykład, przywieźć negocjatorów, w razie potrzeby lekarza, no i dostarczyć z miasta najlepszą żywność i napoje.

–Boże! Ma pan tupet, Branson!

–Tupet? – Branson poczuł się urażony. – Humanitarny stosunek

do drugiego człowieka nazywa pan tupetem? Królowie i prezydenci

nie mają zwyczaju chodzić głodni. Nie chce pan zapewne przejść do

historii, Hendrix, jako człowiek odpowiedzialny za śmierć głodową królów i prezydentów. Niech pan pomyśli o werdykcie historii.

Hendrix milczał. Trudno powiedzieć, czy myślał o werdykcie historii, czy nie.

Branson ciągnął dalej:

–Nie możemy też zapominać o wrażliwej naturze ich królewskich gości. Zanim ustawicie zapory, chcemy tu mieć dwie latryny na kółkach. Wyposażycie je, naturalnie, najlepiej jak można, co nie oznacza, że mają być wypełnione po-dach agentami FBI. Wszystko jasne, Hendrix?

–Zanotowałem, co trzeba.

–A więc niech pan wprawia w ruch całą maszynę. Czy muszę znów wezwać generała Cartlanda?

–Wszystko będzie załatwione.

–Zaraz?

–Tak jest.

Branson położył słuchawkę na kolanie i przyglądał się jej ze zdziwieniem.

–Nie powiedział nawet, że mi się nie uda! – Ponownie podniósł słuchawkę. – Ostatnia prośba, Hendrix, ale najważniejsza. Prezydent jest chwilowo niedysponowany. Jak można rozmawiać z przywódcą pozbawionego przywódcy narodu?

–Wiceprezydent przybył już do Chicago. Jest teraz w drodze na lotnisko O'Hare.

–Wspaniale. Znakomicie. Otrzymuję pomoc, nawet się o nią nie starając. Niestety, będę jeszcze musiał prosić o współpracę innych przedstawicieli rządu. Wiem, że wiele wymagam, ale sądzę...

–Niech mi pan oszczędzi sztubackich dowcipów, Branson. – Głos Hendrixa brzmiał teraz uszczypliwie, ale było w nim znużenie. – Przypuszczam, że ma pan na myśli konkretnych ludzi?

–Tylko dwóch, to wszystko. – Branson potrafił zupełnie rozsądnym tonem wysuwać najbardziej absurdalne żądania.

–A kiedy będzie pan miał ich i wiceprezydenta, pewnie wszyscy trzech zostaną zakładnikami?

–Nie. Ma pan na to, oczywiście, tylko moje słowo, ale tak nie będzie. Traci pan wycucie sytuacji, Hendrix. Nie porywa się negocjatorów. Robiąc to trzeba by pertraktować z kolejnymi ludźmi na coraz niższych szczeblach, aż doszlibyśmy do kogoś takiego, jak pan.

–Branson czekał na reakcję, ale Hendrix widocznie nie miał nic do powiedzenia. – Potrzebuję sekretarza stanu.

–Jest w drodze.

–Czyta pan wprost w moich myślach! Skąd wraca?

–Z Los Angeles.

–Świetnie się składa. Co tam robił?

–Był na posiedzeniu Międzynarodowego Funduszu Walutowego.

–MFW? A więc to oznacza...

Branson odłożył słuchawkę,

–No, no, no! Skromny Peter Branson vis-a-vis ministra skar-

bu. Cóż to będzie za tete-a-tete! Nie sądziłem, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

–Tak – powiedział ze znużeniem Hendrix. – Minister skarbu był tam także. Lecą razem.

ROZDZIAŁ IV

Paul Revson wracał wolno, niemal niechętnie do przytomności.

Powieki miał jak z ołowiu, w głowie czuł pustkę i zdawało mu się, że trochę przygłuchł. Poza tym nie odczuwał żadnych innych objawów odurzenia gazem. Wiedział, że to musiał być gaz, ale po eksplozji pod nogami kierowcy wszystko potoczyło się tak szybko, że nie pamiętał zbyt jasno, co zaszło. Gdy odzyskał ostrość widzenia, rozejrzał się wokół. Siedząca obok niego dziewczyna o rozczochranych blond włosach opierała się bezwładnie o znajdujący się przed nią fotel. Głowę miała niewygodnie przekrzywioną. Widział, że parę osób leżało w przejściu między fotelami, jakby śpiąc. Większość pasażerów siedziała na swoich miejscach, wszyscy w bardzo niewygodnych pozycjach. Niektórzy, podobnie jak on, właśnie zaczęli się budzić.

Wyjrzał przez okno autobusu, przymrużył oczy z niedowierzaniem, po czym popatrzył raz jeszcze. Jako człowiek urodzony i wychowany w San Francisco zorientował się od razu, że stoją niemal dokładnie na środku Złotych Wrót. Uznał, że fakt ten wymaga wyjaśnienia.

Zajął się natychmiast siedzącą obok dziewczyną. Była tego warta.

Miała drobną figurę – można by sądzić, że zbyt drobną, aby taszczyć ciężką kamerę filmową, którą zawsze nosiła na ramieniu. Jej blond włosy – jak sądził Revson, naturalnego koloru – były tak jasne, że niemal platynowe. Dodawała jej urody blada cera, której jakby wcale nie chwyciło słońce. Dała mu do zrozumienia, że filmuje pokazy mody

dla jednej z dużych sieci telewizyjnych, a ponieważ oficjalna ekipa towarzysząca prezydentowi składała się wyłącznie z mężczyzn, trudno było zrozumieć, co tam właściwie robiła. Nie miało to sensu; ale prawdę mówiąc podróże prezydenta były na ogół także bezsensowne. Nazwisko miała również niedorzeczne. Przedstawiała się jako April Wednesday, czyli "Kwietniowa Środa", i potwierdzała to jej legitymacja prasowa. Revson mógł się jedynie domyślać, że jej rodzice byli tak kompletnie pozbawieni wyobraźni, iż wyłgali się datą urodzin, gdy przyszło im wybrać imię dla córki.

Chwycił ją za ramiona i ostrożnie podciągnął do góry. Blond głowa opadła w jego stronę. Nie miał pojęcia jak cucić ludzi zatrutych gazem. Czy powinien ją potrząsnąć, poklepać delikatnie, po policzku, a może po prostu pozwolić się wyspać? Nie musiał jednak rozwiązywać tego problemu. April Wednesday poruszyła się, wzdrygnęła nie wiadomo dlaczego – ubrana była co prawda tylko w cienką i wyraźnie kusą sukienkę z zielonego jedwabiu, ale temperatura w autobusie sięgała trzydziestu stopni Celsjusza – po czym otworzyła oczy i bez mrugnięcia wpatrywała się w Revsona.

W twarzy, której nie brakowało bynajmniej cech godnych uwagi, te oczy były czymś zupełnie wyjątkowym. Ogromne, jasne, zaskakujące głębią morskiej zieleni, sprawiały wrażenie niesamowicie czystych i niewinnych. Revson zastanawiał się na próżno, ile jest w tym obłudy. Młoda kobieta, robiąca filmy dla telewizji, musiała dość dawno utracić niewinność, o ile w ogóle miała co tracić.

–Co się stało? – zapytała, nie odrywając od niego wzroku.

— Domyślam się, że jakiś żartowniś odpalił ładunek z gazem. Coś o natychmiastowym działaniu. Jak się pani czuje?

–Jestem zamroczona. Jakby skacowana. Wie pan, co mam na myśli? – Revson przytaknął. – Po co ktoś miałby robić coś takiego?

–To nie jedyne pytanie. – Spojrzał na zegarek. – Dlaczego, po godzinie i dziesięciu minutach,. ciągle tkwimy na środku Żółtych Wrót?

–Co?!

–Niech się pani rozejrzy:

Rozejrzała się, zdając sobie powoli sprawę z tego, co się wokół dzieje. Nagle zesztyniała i uczepliła się jego ramienia.

–Ci dwaj ludzie po tamtej stronie. – Zniżyła głos do szeptu. – Są zakuci w kajdanki!

Revson wychylił się i spojrzał. Dwaj dobrze zbudowani, nadal śpiący mężczyźni, bez wątpienia mieli na rękach kajdanki.

–Dlaczego? – Znów usłyszał zadane szeptem pytanie.

–Skąd mam wiedzieć, dlaczego? Sam dopiero oprzytomniałem.

–No więc czemu nas nie skuli?

–A skąd mam... Po prostu mamy szczęście. – Obejrzał się i zobaczył stojący tuż za nimi autobus prezydenta. – Przepraszam, jako dobry dziennikarz jestem zdania, że pora na mały rekonesans.

–Idę z panem.

–Proszę.

Weszła w przejście między fotelami. Revson uczynił to samo, lecz zamiast pójść za nią, uniósł klapę marynarki siedzącego najbliżej mężczyzny. Pusta kabura pod pachą rzucała się w oczy. Dopiero teraz podążył za dziewczyną. Przy wejściu zauważył, że kierowca, który wciąż twardo spał, podiera drzwi po prawej stronie, w niemałej odległości od swego fotela. Było oczywiste, że nie dotarł tam o własnych siłach.

Dołączył do dziewczyny, gdy była już na moście. Potężnie zbudowany i wyjątkowo szpetny policjant – Yonnie miał twarz, która zepsułaby reputację każdej jednostce – mierzył do nich z pistoletu maszynowego. Fakt, że policjant trzyma ich na muszce, był dość osobliwy. To, że uzbrojony jest w pistolet maszynowy, zaskakiwało jeszcze bardziej. Najdziwniejszy jednak był widok sześciu stojących w szeregu, policjantów, przykutych do siebie kajdankami, patrzących spode łba i wyraźnie niezadowolonych.

April Wednesday popatrzyła na nich ze zdziwieniem, po czym spojrzała na Revsona, który stwierdził:

–Ma pani rację. To wymagałoby pewnych wyjaśnień.

–Będzie je-pan miał. – Branson włączył się nonszalancko do rozmowy, wychodząc – jak gdyby nigdy nic – zza autobusu prezydenta. – Jak się pan nazywa?

–Revson.

–Przepraszam za to wszystko. Panią także, młoda damo.

–Śmigłowce! – krzyknęła April.

–Zgadza się. Wszystko wyjaśnię, ale nie każdemu z osobna.

Porozmawiamy sobie trochę, kiedy ockną się wasi przyjaciele.

Udał się w stronę ostatniego autobusu. Szedł żwawym krokiem

i wydawał się dość zadowolony z życia. Spojrzał na chmurę mgły.

nadciągającej bardzo powoli z zachodu. Nie okazał zaniepokojenia.

Podszedł do rozbitego wozu policyjnego i zapytał stojącego obok

strażnika:

–Jak tam nasi czterej przyjaciele, Chrysler?

–Doszli do siebie. Ale nie są w zbyt szampańskim humorze. Chrysler był szczupłym, młodym brunetem o inteligentnym wyglądzie. Wystarczyłoby dać mu do ręki neseser, by sprawiał wrażenie obrotnego adwokata. Był faktycznie, jak powiedział Boyannowi Bran-son, specjalistą od telekomunikacji. Znał się też znakomicie na sejfach i straszeniu ludzi bronią.

–Wyobrażam sobie. Niech zostaną w wozie. To prostsze niż wyciągać ich i zakuwać w kajdanki. Kiedy ockną się ci czterej faceci z FBI w pierwszym autobusie – zakładam, że są z FBI, skoro byli uzbrojeni – weź dwóch chłopców i odprowadźcie ich w stronę południowej wieży, razem z tamtymi sześcioma gliniarzami na przedzie, tymi czterema tutaj i dwoma z naszego autobusu. To w sumie szesnastu ludzi, a każdy z nich stanowi potencjalne zagrożenie, jeśli tu zostaną. W pół drogi do wieży zdejmiecie im kajdanki. To bardzo

pożyteczna rzecz – nigdy nie wiadomo, kiedy znowu mogą się przydać. Potem niech zjedą z mostu o własnych siłach. Jasne?

–Zrobi się. – Chrysler wskazał ręką na zachód, w kierunku

nadciągającego powoli kłębowiska chmur. – Jak się panu podoba ta mgła, panie Branson?

, – Mógłbym się bez niej obejść. Damy sobie radę, kiedy już tu dotrze. Możliwe zresztą, że przejdzie dołem.

–Panie Branson! – Jensen przyzywał go pospiesznie, stojąc w przed-nich drzwiach ostatniego autobusu. – Mount Tamalpais. Pilne?

Branson wbiegł do autobusu, usiadł przy pulpicie i podniósł mik-rofon.

–Mówi Branson.

–Tu Giscard. Mamy coś na ekranie. Leci z południa – może

bardziej z południowego wschodu. Wygląda na mały samolot. Jakieś trzynaście kilometrów stąd.

–Dziękuję. – Branson zmienił połączenie. Południowy wschód. To

mógł być tylko międzynarodowy port lotniczy w San Francisco.

–Z szefem policji Hendrixem. Natychmiast?

Hendrix był przy telefonie w ciągu paru sekund. |- O co chodzi?

–Powiedziałem, że przestrzeń powietrzna ma być wolna. Nasz radar zlokalizował jakiś obiekt, od strony lotniska... | Hendrix przerwał mu. Mówił z przekąsem:

–Chciał pan widzieć się z panami Miltonem i Quarrym, prawda?

–Milton był sekretarzem stanu, Quarry ministrem skarbu. – Piętnaście minut temu przybyli z Los Angeles i lecą tu właśnie śmigłowcem.

–Gdzie mają lądować?

–Na terenie koszar w Presidio, dwie- trzy minuty jazdy samochodem.

–Dziękuję. – Branson połączył się z Mount Tamalpais. Zgłosił się Giscard. – Bez nerwów – powiedział Branson. – To przyjaciele. Ale patrzcie uważnie w ekran. Następny może nie być przyjacielem.

–W porządku, panie Branson.

Branson wstał, zamierzając wyjść z autobusu. Zatrzymał się jednak. spojrzął na związanego mężczyznę, który leżał z tyłu między fotelami. po czym odezwał się do Jensena, jego sobowtóra:

–Możesz znów nazywać się Harriman. Rozwiąż Jensena.

–Odsyła go pan?

Tym razem Branson zawahał się i wcale nie był swoją reakcją zachwycony. Niezdecydowanie nie leżało w jego naturze. Bez względu na to, czy w podejmowaniu decyzji pomagał mu intelekt, czy instynkt. niemal

zawsze decydował się natychmiast. Nieliczne błędy, jakie w ży-

ciu popełnił, zawsze miały związek z niezdecydowaniem. W końcu postanowił, co robić.

–Zatrzymamy go. Może się okazać przydatny; nie wiem jeszcze, w jaki sposób, ale po prostu może. Poza tym jest w końcu zastępcą dyrektora FBI. To nie byle płotka. Zapoznaj go z sytuacją, ale niech się stąd nie rusza, aż powiem.

Wysiadł i udał się w stronę pierwszego autobusu. Stało tam w szeregu co najmniej dwudziestu ludzi. Trzymały ich w miejscu czujne spojrzenia i lufy pistoletów Yonniego i jego dwóch kolegów. Trudno się dziwić, że sprawiali wrażenie zbitych z tropu. Branson dostrzegł wśród nich czterech mężczyzn w kajdankach. Zajrzał do autobusu. zobaczył, że nie ma tam nikogo, po czym powiedział do Petersa:

–Zabierz do Chryslera tych czterech dżentelmenów w kajdankach i sześciu policjantów. Będzie wiedział, co z nimi zrobić.

Odwrócił się, by popatrzeć na nadciągającą mgłę. Była coraz bliżej i nadchodziła o wiele szybciej, niż wydawało się z większej odległości. Ale wisiała nisko. Przy odrobinie szczęścia mogła przejść pod mostem. A gdyby nawet tak się nie stało, zakładał, że poradzą sobie, stosując odpowiednie groźby wobec prezydenta i jego przyjaciół. Te przelotne mgły nie dadzą mu jednak spokoju, dopóki po obu stronach mostu nie będzie stalowych zapór.

Znów się odwrócił i popatrzył na korespondentów. Były wśród nich cztery kobiety, ale tylko jedna – towarzysząca Revsonowi zielonooka. blondynka – mogłaby z ręką na sercu powiedzieć, że urodziła się po wojnie; to znaczy po II wojnie światowej.

–Możecie się państwo odprężyć – zagaił Branson. – Nikomu z was nic nie grozi. Gdy skończę mówić, będziecie mieli do wyboru: bezpiecznie stąd odejść albo pozostać na moście, również nic nie ryzykując. – Obdarzył ich szczerze swym uśmiechem bez wyrazu. – Wydaje mi się jednak, że prawie wszyscy będą woleli zostać. Kiedy skończę, zrozumiecie państwo, mam nadzieję, że nie co dzień trafia się wam taka historia.

Kiedy skończył, żaden z zapamiętanych notujących dziennikarzy i szalejących z aparatami fotoreporterów nie miał najmniejszych wątpliwości: taka historia trafiała się raz w życiu, jeśli – oczywiście – miało się szczęście żyć dostatecznie długo. Chyba tylko siłą daliby się usunąć z mostu. Na ich oczach rozgrywał się bezprecedensowy epizod historii kryminalistyki, a zanosilo się nawet na to, że wejdzie on do historii epoki.

Mgła dotarła tymczasem do mostu, lecz go nie spowila. W górze snuły się wąskie pasemka oparów, ale zwarte kłęby mgły płynęły sześć metrów niżej. Dawało to w efekcie niesamowite wrażenie nieważkości, zawieszenia w przestrzeni, jakby most unosił się na ulotnym obłoku pary wodnej.

–Skoro decydujecie się państwo zostać, musicie uznać pewne zasady postępowania – oznajmił Branson. – W ostatnim autobusie są trzy linie telefoniczne łączące z miastem. Będą one do mojego osobistego użytku i na wypadek nagłej potrzeby, ale jeden raz pozwolę państwu z nich skorzystać. Każdy może się porozumieć ze swoją agencją fotograficzną, gazetą, studiem czy czym tam jeszcze. Niech przyślą kogoś, kto stanie przy wjeździe na most od południowej strony, żeby odbierać wasze depesze i zdjęcia. Będzie to możliwe trzy razy dziennie. Ustalimy jeszcze, w jakich godzinach. Oznakujemy odpowiednio prostokątny obszar wokół autobusu prezydenta. Niech nikt nie przekracza bez zezwolenia zaznaczonych linii. Bez mojej zgody oraz pozwolenia strony zainteresowanej nie wolno nikomu

robić wywiadu z prezydentem ani żadnym z jego gości. Byłoby o wiele korzystniej dla wszystkich i sprawiedliwiej, gdyby – powiedzmy – prezydent wziął udział w konferencji prasowej na moście, ale do tego nie mogę i nie zamierzam nikogo zmuszać. Oznakujemy również obszar wokół śmigłowców i to także będzie zakazany teren. Dwadzieścia metrów na południe od mojego autobusu i dwadzieścia metrów na północ od waszego wymaluje się na moście białe linie. Będą to linie demarkacyjne. Pięć metrów dalej stanie wartownik z pistoletem maszynowym. Będzie miał rozkaz strzelać bez ostrzeżenia do każdego, kto te linie przekroczy. I ostatnia sprawa: po zapadnięciu zmroku nie wolno nikomu opuszczać autobusu. Odstąpimy od tej zasady tylko w razie szczególnych wydarzeń. Sam będę decydował, czy to, co się dzieje, jest godne uwagi. Jeśli ktoś nie ma ochoty zastosować się do tych podstawowych reguł, może teraz odejść.

Wszyscy zostali na miejscach.

–Czy są jakieś pytania?

Podczas gdy dziennikarze debatowali, Branson obserwował, jak mgła przesuwa się na wschód, zasłaniając wyspę Alcatraz.

Nagle dwaj mężczyźni wystąpili krok do przodu; obaj w średnim wieku, ubrani w dobrze skrojone, tradycyjne garnitury. Jeden był niemal całkiem łysy, drugi miał szpakowate, niezwykle gęste włosy i brodę. Ten z łysiną powiedział:

–Mamy parę pytań.

–Mogę prosić panów o nazwiska?

**–Nazywam się Grafton. Associated Press. A to jest pan Dougan,
z Agencji Reutera.**

**Branson obserwował ich z zainteresowaniem, którego nie starał się
nawet ukrywać. Ci dwaj ludzie mogli przekazać informacje do więk-
szej liczby gazet na całym świecie niż wszyscy pozostali razem wzięci.**

–O co chcecie panowie spytać?

**–Chyba słusznie przypuszczamy, panie Branson, że nie mógł pan
tak po prostu wstając dziś rano stwierdzić: "To będzie niezły dzień do
porwania prezydenta Stanów Zjednoczonych"?**

–Słuszne przypuszczenie.

**–Wszystko wskazuje na to, że tę akcję planowano już od dawna
i bardzo starannie – powiedział Dougan...- Nie pochwalając pańskich
poczyznań trzeba przyznać, że nie pozostawił pan niczego przypadkowi
i przewidział każdą ewentualność. Jak długo trwały przygotowania?**

–Trzy miesiące. ^

**–To niemożliwe. Dopiero cztery dni temu ogłoszono program
wizyty.**

–W Waszyngtonie znano jego szczegóły od trzech miesięcy.

**–Dowody są tak oczywiste, że musimy panu wierzyć – stwier-
dził Grafton. – Jak pan myśli, dlaczego tak długo trzymano to w ta-
jemnicy?**

**–Po to, by ktoś taki jak ja nie mógł zrobić właśnie tego, co
zrobiłem.**

–Skąd pan miał wcześniejsze informacje?

–Kupiłem je.

–W jaki sposób? Gdzie?

–W Waszyngtonie, podobnie jak w wielu innych miejscach, za trzydzieści tysięcy dolarów można się sporo dowiedzieć.

–Czy zechciałby pan wymienić parę nazwisk? – spytał Dougan.

–To głupie pytanie. Coś jeszcze?

Odezwała się ubrana w ciemną garsonkę dama w trudnym do określenia wieku.

–Tak. Wygląda to na robotę doświadczonego zawodowca. Czy możemy zakładać, że nie po raz pierwszy łamie pan prawo?

Branson uśmiechnął się.

–Zakładajcie sobie, co wam się podoba. Przeszłość stanowi tylko wstęp.

Dziennikarka nie dawała za wygraną.

–Czy był pan karany, panie Branson?

–Nigdy w życiu nie byłem w sądzie. Coś jeszcze?

–Oczywiście- powiedział Dougan. – Coś, co wszyscy chcemy wiedzieć. Dlaczego pan to robi?

–Tego dowiedzie się za dwie godziny na konferencji prasowej.

Będzie tam kamera telewizyjna i ekipa reprezentująca trzy największe sieci. Będą również obecni sekretarz stanu i minister skarbu. Spodziewamy się wiceprezydenta Richardsa, ale na konferencję nie zdąży.

Doświadczonym dziennikarzom i dziennikarkom przez chwilę najwyraźniej zabrakło słów. Wreszcie przemówił ostrożnie Dougan:

–Czy jest pan zatem zdania, że jeśli coś w ogóle warto robić, warto to robić dobrze?

–To pragmatyczne podejście, ale daje efekty. Możecie państwo teraz skorzystać z telefonów w moim autobusie. Po trzy osoby równocześnie.

Branson odwrócił się i zdążył zrobić krok w stronę autobusu prezydenta, gdy zatrzymał go głos Yonniego.

–O Boże! – Yonnie, z nieelegancko rozdziawioną gębą, wybałuszył oczy na zachód. – Czy widzi pan to, co ja, panie Branson?

Branson widział to, co on. W odległości nieco ponad pół kilometra tuman mgły gwałtownie się urywał, jakby ucięty tasakiem. O półtora kilometra dalej widać było nadbudówki ogromnego okrętu. Mimo że jego kadłub krył się jeszcze we mgle, widoczne fragmenty pozwalały na nie budzącą wątpliwości identyfikację. Branson stał przez chwilę w bezruchu, potem pobiegł w stronę autobusu prezydenta, wszedł do środka, przebiegł między fotelami, nie bacząc na zdziwione spojrzenia siedzących tam mężczyzn, i rzucił pospiesznie do Boyanna:

–Z Hendrixem! Szybko! – Wskazał na aparat We wnęce obok konsoli. – Tamten!

Hendrix natychmiast odebrał telefon. Kiedy Branson odezwał się, głos miał zimny, szorstki, wyraźnie inny niż zazwyczaj. Nawet jego system obronny ulegał czasem załamaniu.

–Hendrix, czy mam panu zaraz przysłać uszy prezydenta?

–O co panu chodzi, do cholery?

–O co panu chodzi? A może ta łajba znalazła się tam zupełnie przypadkowo? Niech pan ją zawróci!

–Na Boga, co mam zawrócić?

Branson wypowiadał słowa dobitnie, robiąc między nimi wyraźne odstępy.

–Do Złotych Wrót zbliża się bardzo duży okręt wojenny. Nie chcę, żeby tu~podpływał. Nie wiem, co knujecie, ale nie sądzę, by mi się to podobało. Niech go pan zawróci!

–Nie wiem, po prostu, o czym pan mówi. Niech pan zaczeka.

Kiedy na linii zapadła cisza, Branson skinął na Van Effena, który przeszedł między fotelami i stanął obok.

–Do mostu zbliża się okręt wojenny – powiedział pospiesznie

Branson. – Nie wiem, czy będą jakieś kłopoty, ale chcę, żeby wszyscy natychmiast się schowali: dziennikarze w swoim autobusie, a nasi ludzie w ostatnim. Niech pozamykają drzwi. Załatw to i wracaj.

Van Effen wskazał głową na młodego rudzielca, który stał obok fotela kierowcy, trzymając dłoń na wetkniętym za pas pistolecie.

–Myśli pan, że Bradford da sobie radę?

Branson wyciągnął swój pistolet i położył go we wnęce z telefonem.

–Ja też tu jestem. Pospiesz się.

Van Effen nieco go rozczarował. Bradford mógł równie skutecznie pełnić obowiązki strażnika przy drzwiach na zewnątrz, ale dla stworzenia odpowiedniego klimatu grozy i zastraszenia powinien pozostać widoczny dla zakładników. Tymczasem Hendrix był znów

przy telefonie.

–To okręt wojenny USS "New Jersey". San Francisco jest przez kilka miesięcy w roku jego portem macierzystym. To jeden z regularnych rejsów do bazy dla uzupełnienia paliwa i żywności. Płyń właśnie teraz, bo może przejść pod mostem tylko podczas odpływu. Branson wiedział, że przynajmniej to było prawdą. Już wcześniej zauważył nadejście odpływu. Wydawało się mało prawdopodobne, by władze potrafiły ściągnąć okręt wojenny w tak krótkim czasie – w ciągu niecałych dwóch godzin. Poza tym, jaki mógł być z niego pożytek? Z pewnością nie mieli zamiaru wysadzać mostu, gdy znajdował się na nim prezydent. Bransona cechował jednak całkowity brak zaufania do bliźnich, dzięki czemu zresztą zdołał przeżyć tyle lat.

–Niech pan go zatrzyma – zażądał. – Nie wolno mu przepłynąć pod mostem. Chce pan, żebym zrzucił na mostek kapitański jednego z pańskich nafciarzy, gdy okręt będzie w dole?

–Na miłość boską, czy pan zbzikował, oszalał do reszty? – Branson uśmiechnął się do siebie; w głosie Hendrixa aż nadto wyraźnie pobrzmiwał niepokój. – Próbujemy go zawrócić.

Dziennikarze i strażnicy obiegli zachodnią stronę mostu, zafascynowani zbliżaniem się potężnego okrętu. Choć, rozumując logicznie, nie było żadnego niebezpieczeństwa w tym, że przepłynie dołem, wśród widzów narastało napięcie. Nadbudówki wznosiły się tak wysoko, iż wydawało się pewne, że któraś z nich musi uderzyć w most. Uczucie to nie dawało widzom spokoju, chociaż zdrowy rozsądek

kazał wierzyć, że okręt pokonywał już tę trasę wiele razy, a marynarka wojenna nie miała zwyczaju narażać na szwank jednostki wartej ze sto milionów dolarów, stosując metodę prób i błędów.

Jeden tylko człowiek nie okazywał zainteresowania zbliżającym się okrętem. Revson, siedząc samotnie w pierwszym autobusie, pochłonięty był przymocowywaniem długiej zielonej linki – nie grubszej od solidnej nici – do czarnego cylindra o długości około dwudziestu centymetrów i średnicy trzech. Wsunął cylinder i linkę do przestronnej kieszeni kurtki, wysiadł z autobusu i jakby od niechcienia obszedł go, oceniwszy przedtem pozycję zbliżających się nadbudówek okrętu. Idąc spostrzegł, jak Van Effen zmierza szybko na drugą stronę mostu, gdzie zgromadzili się widzowie. Nie był pewien, o co mu chodziło, ale jego pośpiech był dla Revsona ostrzeżeniem, że może mieć bardzo niewiele czasu do dyspozycji.

Zmusił się, aby nie iść za szybko i przeszedł wolnym krokiem na wschodnią stronę mostu. Nikt nie zwrócił na niego uwagi, bo nikogo tam nie było. Oparł się niedbale o barierkę i równie niedbałym gestem wyciągnął z kieszeni cylinder i linkę. Rozejrzał się wokół, na pozór bez celu, ale jeśli nawet wzbudzał czyjeś podejrzenia, nikt tego w żaden sposób nie okazywał. Sprawnie, nie poruszając dłońmi ani łokciami, przepuścił przez palce około trzydziestu metrów linki, po czym przymocował jej koniec do wspornika. Miał nadzieję, że wystarczająco dokładnie ocenił odległość; nie było jednak nad czym się zastanawiać: co się stało, to się nie odstanie. Bez pośpiechu wrócił do autobusu,

zajął swoje miejsce i włożył resztę zielonej linki na spód torby April Wednesday. Gdyby zauważono, że coś zwisa z mostu i przeszukiwano ich rzeczy, wolałby, żeby nie znaleziono niczego przy nim. Jeśli nawet linka zostałaby odkryta w torbie April, najprawdopodobniej nie stanie się jej nic złego. Była po drugiej stronie mostu od chwili, gdy "New Jersey" po raz pierwszy wyłonił się z mgły, i potwierdzi to wystarczająco wielu świadków. April Wednesday była osobą, której nieobecności nie sposób nie zauważyć. Nawet, gdyby miała znaleźć się w tarapatach, zniósłby to dzielnie. Nie obchodziło go, na kogo pHińie podejrzenie, póki nie padało na niego.

–Musi mi pan uwierzyć, Branson. – Nie można powiedzieć, by w głosie Hendrixa pojawiła się błagalna nuta, bo podobna reakcja nie leżała w jego naturze, ale z całą pewnością mówił z przejęciem i absolutnie szczerze. – Kapitan "New Jersey" nie słyszał o tym, co się stało, i myśli, że ktoś zabawia się jego kosztem. Nie można mieć do niego pretensji. Widzi, że ten cholerny most stoi bezpiecznie i mocno, jak stał przez ostatnich czterdzieści lat. Dlaczego cokolwiek miałyby być nie w porządku?

–Niech pan nadal próbuje.

Do autobusu prezydenta wszedł Van Effen, starannie zamykając za sobą drzwi. Podeszedł do Bransona. –

–Wszystko zabezpieczone. O co tu chodzi?

–Sam chciałbym wiedzieć. Chyba Hendrix ma rację, że to czysty przypadek. Ale przy jednej szansie na sto, że jest inaczej, czego

mogliby użyć? Żadnych pocisków ani silnych materiałów wybuchowych. Granatów z gazem?

–Nie ma czegoś takiego.

–Mylisz się. Jest. Nie zawahaliby się na jakiś czas pozbawić przytomności prezydenta i paru szejków, gdyby mogli użyć na środku mostu jakiegoś obezwładniającego gazu i rozłożyć nas wszystkich. Potem weszłoby do akcji wojsko i policja, zapewne w maskach gazowych, żeby spokojnie się nami zająć. Tyle że te klimatyzowane autobusy mają znakomitą izolację.

–To jest zbyt nieprawdopodobne.

–A to, co my robimy, nie jest? Zaczekaj. – Przy telefonie był ponownie Hendrix.

–Dzięki naszym staraniom, Branson, kapitan dał się w końcu przekonać. Odmawia jednak zrobienia czegokolwiek. Mówi, że wpłynął już zbyt daleko i że na tym etapie próba zawrócenia lub cofania naraziłaby na niebezpieczeństwo i okręt, i most. Mówi też, że stawiałby raczej na "New Jersey", gdyby doszło do zderzenia z wieżą. Nacierającego taranu o wadze czterdziestu pięciu tysięcy ton byle co nie zatrzyma.

–Niech się pan lepiej modli, Hendrix. – Branson odłożył słuchawkę i nie odstępowały przez Van Effena, przeszedł na środek autobusu. Wyjrzał przez okno po prawej stronie, czekając, aż nadbudówki okrętu wyłonią się ponownie spod mostu.

W głosie prezydenta słychać było wyraźne rozdrażnienie.

–Co się właściwie dzieje, Branson?

–Przecież pan wie. Przeływa pod nami okręt USS "New Jersey".

–No więc? To z pewnością rutynowy rejs.

–Oby tak było. Oby tylko kapitan nie zaczął czymś w nas rzucać.

–W nas? – Prezydent zamilkł na chwilę, jakby rozważając ewentualność straszliwej obrazy majestatu. – We mnie?

–Wiemy wszyscy, że jest pan głównodowodzącym sił zbrojnych.

W tej chwili jednak nie ma pan kontaktu z podwładnymi. Co się stanie, jeśli kapitan uzna za swój obowiązek działać na własną rękę?

Zresztą przekonamy się wkrótce. Oto i on.

Nadbudówki "New Jersey" pojawiły się w polu widzenia. Wszyscy siedzący dotąd zakładnicy – w sumie dziewięciu – zerwali się na równe nogi i stłoczyli przy oknach po prawej stronie. Jeden z nich zaczął dosłownie wpychać się na Bransona, który nagle zdał sobie sprawę, że jakiś metalowy przedmiot boleśnie uciska jego lewą nerkę.

–Sam pan powiedział, panie Branson, że trzeba działać. – Był to szejk Iman, ten z brodą, wciąż promiennie uśmiechnięty. – To pańska broń. Proszę kazać ludziom rzucić pistolety.

–Brawo! – W głosie prezydenta pobrzmiwała nuta triumfu z odrobiną mściwości, która z pewnością nie spodobałaby się wyborcom.

–Niech pan odłoży broń – powiedział spokojnie Branson. – Nie widzi pan, że ma do czynienia z zawodowcami?

Odwrócił się powoli, a Iman udowodnił, że nie jest zawodowcem, pozwalając Bransonowi na całą sekundę zaabsorbować swoją uwagę.

Rozległ się huk wystrzału, Iman wrzasnął z bólu, upuścił broń

i chwycił się kurczowo za strzaskane ramię. Szejk Kharan pochylił się błyskawicznie, aby podnieść pistolet z podłogi, i przeraźliwie krzyknął, gdy obcas Bransona przygniótł mu dłoń do metalowej powierzchni.

Charakterystyczny suchy trzask nie pozostawiał wątpliwości, że kilka palców Kharana uległo złamaniu. Branson podniósł broń z podłogi.

Van Effen był skruszony, ale bez przesady.

–Niestety, musiałem, panie Branson. Gdybym go ostrzegł – no cóż, nie chciałem tutaj żadnej strzelaniny, przy tych cholernych rykoszetach od kuloodpornego szkła. Mógł zrobić sobie krzywdę.

–Słusznie.

Branson raz jeszcze spojrzął za okno. "New Jersey" oddalił się już o dobre pół kilometra, a jego kapitan najwyraźniej nie był wojowniczo usposobiony. Branson odwrócił się i powiedział do Bradforda:

–Idź- do naszego autobusu po apteczkę. I przyprowadź Petersa.

–Petersa, panie Branson?

–Był kiedyś sanitariuszem. Usiądźcie, panowie.

Zajęli miejsca w ponurych nastrojach. Szczególnie prezydent wydawał się zgnębiony. Branson zastanawiał się przez moment, ile jest w tym człowieku fałszu, potem porzucił te rozmyślania jako nie warte zachodu.

–Myślę, że nie muszę ostrzegać panów przed ponowną próbą zrobienia czegoś równie nierozsądnego.

Podszedł do pulpitu łączności i podniósł słuchawkę.

–Hendrix?

–Przy aparacie. Zadowolony pan?

–Tak. Proszę ostrzec kapitanat portu czy kogokolwiek, kto za to odpowiada, że nie życzę sobie więcej żadnej żeglugi pod mostem.

W żadnym kierunku.

–Zatrzymać żeglugę? Unieruchomi pan cały port. A flota ry-backa...

–Flota może łowić w zatoce. Niech pan przyśle karetkę i lekarza, i to szybko. Mamy dwóch rannych. Jednego w dość poważnym stanie.

–Kto? Jak to się stało?

–Ministrowie do spraw ropy, Iman i Kharan. Można powiedzieć, że to samookaleczenie. – Rozmawiając przez telefon Branson obserwował, jak Peters spiesznie wsiada do autobusu, podchodzi do Imana i zaczyna odcinać nożyczkami rękaw jego marynarki. – Wkrótce dotrze na most wóz transmisyjny telewizji. Przepuście go. Chcę też, żeby dostarczono tutaj trochę krzeseł. Czterdzieści powinno wystarczyć.

–Krzeseł?

–Nie musi ich pan kupować – odparł cierpliwie Branson. – Niech je pan zarekwiruje w najbliższej restauracji. Czterdzieści sztuk.

–Krzeseła?

–Coś do siedzenia. Za jakąś godzinę organizuję konferencję prasową. Na konferencjach prasowych nie stoi się, tylko siedzi.

Hendrix odezwał się ostrożnie:

–Zamierza pan zorganizować konferencję prasową i transmitować ją na żywo?

–Właśnie tak. Na cały kraj.

–Pan jest niepoczytalny.

–Moje zdrowie psychiczne to nie pańska sprawa. Czy Milton i Quarry już są?

–Ma pan na myśli sekretarza stanu i ministra skarbu?

–Chodzi mi o Milтона i Quarry'ego.

–Właśnie przybyli i są tu ze mną.

Hendrix spojrział na dwóch mężczyzn, którzy w tym momencie znajdowali się razem z nim w dużym wozie łączności. Milton, sekretarz stanu, był wysokim, chudym, cierpiącym na niestrawność i pozbawionym włosów osobnikiem w drucianych okularach i z godną pozazdroszczenia reputacją w ministerstwach spraw zagranicznych na całym świecie. Quarry, pogodny i zażywny jegomość o siwych włosach, miał w sobie coś z dobrego wujaszka, co wielu ludzi, nawet niezwykle inteligentnych, uważało za odbicie prawdziwej osobowości tego człowieka. Jako bankier i ekonomista cieszył się równie znakomitą opinią, co Milton w swojej dziedzinie.

–Najprościej byłoby powiedzieć: "to^ oczywiście, szalenie"

–stwierdził Milton. – Ale czy naprawdę?

Hendrix rozłożył ręce.

–To szczywany lis.

–I pewnie brutalny?

–Wcale nie. Przemoc stosuje w ostateczności, i to tylko wtedy, gdy zostanie przyparty do muru. Iman i Kharan zapewne popełnili ten błąd.

–Zdaje się, że sporo pan o nim wie – stwierdził Quarry.

Hendrix westchnął.

–Znają go wszyscy wyżsi urzędnicy policji w Stanach. Także w Kanadzie, Meksyku i Bóg wie w ilu krajach Ameryki Południowej.

–Głos Hendrixa brzmiał cierpko. – Jak dotąd nie zaszczylił swymi względami Europy. Jestem pewien, że to tylko kwestia czasu.

–Czym się zajmuje?

–Rabunkiem. Okrada pociągi, samoloty, opancerzone furgonetki, banki i sklepy jubilerskie. Rabuje, gdzie tylko się da i, jak już mówiłem, bez stosowania przemocy.

–Pewnie nieźle mu idzie? – powiedział oschle Quarry.

–Całkiem nieźle! O ile wiemy, działa przynajmniej od dwunastu lat i zagarnął przez ten czas, skromnie licząc, dwadzieścia milionów dolarów!

–Dwadzieścia milionów! – Po raz pierwszy w głosie Quarry'ego pojawiła się nuta szacunku; odezwał się w nim bankier i ekonomista.

–Jeśli ma aż tyle pieniędzy, po co mu więcej?

–A dlaczego Niarchos i Getty, i Hughes chcą mieć więcej? W końcu im też nieźle się powodzi. Może po prostu jest, tak samo jak oni, człowiekiem interesu i przywiązał się do swojej roboty. Może uważają za pobudzający trening intelektualny. A może to zwykła chciwość czy

cokolwiek innego.

–Czy był już karany? – zapytał Milton. "

Hendrix wyglądał na strapionego.

–Nigdy go nawet nie aresztowano.-

–I pewnie dlatego dotąd o nim nie słyszeliśmy?

Hendrix patrzył przez szybę samochodu na wspaniałe przęsło mostu. W jego spojrzeniu była jakaś nieokreślona tęsknota.

–Powiedzmy, sir, że nie zależy nam na rozgłaszaniu własnych niepowodzeń – stwierdził.

Milton uśmiechnął się do niego.

–John i ja – skinął głową w stronę ministra skarbu – często jesteśmy równie skromni, i to z tych samych powodów. Nieomylność nie jest domeną ludzkości. Czy coś wiadomo o tym człowieku, oprócz tego, co wiemy o jego przestępstwach?

–Bez trudu można się o nim dowiedzieć więcej – odpowiedział cierpko Hendrix. – Ma doprawdy niezłe udokumentowaną przeszłość. To potomek anglosaskich protestantów ze wschodnich rubieży. Pochodzi z tak zwanej dobrej rodziny: ojciec jest bankierem, to znaczy posiadał – chyba zresztą nadal posiada – własny bank.

–Branson – powiedział minister skarbu. – Oczywiście. Znam go. Nie osobiście, co prawda.

–Jest coś jeszcze, sir, co pana zainteresuje z zawodowego punktu widzenia. Branson ukończył studia ekonomiczne i zaczął pracować w banku ojca. Równocześnie. robił doktorat, i to nie w byle jakiej

szkółce, tylko w jednym z ekskluzywnych uniwersytetów. Na kursie podyplomowym wybrał temat dotyczący przestępczości; być może wiązało się to z pracą w banku starego. – Hendrix wydawał się przygnębiony. – Można chyba powiedzieć, że teraz ten przedmiot także zaliczył – summa cum laude.

–Wygląda na to, że odnosi się pan do tego człowieka niemal z podziwem, Hendrix? – stwierdził Milton.

–Poświęciłbym swoją emeryturę, żeby zobaczyć go za kratkami. Jest dla mnie odrażający. Mówię to jako człowiek i policjant. Ale trudno nie docenić rzetelnego profesjonalizmu, nawet gdy służy niewłaściwym celom.

–Obawiam się, że podzielam pana pogląd – rzekł Milton. – Ten pański Branson nie stara się szczególnie unikać rozgłosu.

–Chciałbym, żeby był mój. Jeśli chodzi panu o to, czy cierpi, tak jak my, na przyływy skromności, to nie, sir, nie cierpi.

–Jest butny?

–Chyba aż do granic megalomanii. Tak przynajmniej twierdzi generał Cartland, a nie kwestionowałbym jego opinii.

–Niewielu ludzi pozwoliłoby sobie na to. – Milton ożywił się nieco.

–Skoro mowa o autokratkach, gdzie jesteś w tej chwili, mój Jamesie?

–Słucham, sir?

–A o kogo innego może chodzić? Mam- na myśli Hagenbacha, autokratycznego szefa naszego FBI. Sądziłbym, że pierwszy włączy się do akcji.

–Waszyngton twierdzi, że nie mogą go zlokalizować. Próbują,

gdzie się da. Niestety, jest trudny do uchwycenia, sir.

–Ten człowiek ma bzika na punkcie zachowania tajemnicy. – Milton rozchmurzył się. – Cóż, jeśli za godzinę będzie oglądał telewizję, sporo mu to da. Co za wspaniała historia: szef FBI dowie się o całą sprawę jako ostatni człowiek w Ameryce! – Zastanowił się przez chwilę. – To domaganie się maksymalnego rozgłosu: telewizja, zapewne także radio, dziennikarze, fotoreporterzy... Czy Branson miał już kiedyś takie publiczne wystąpienia? Przed jakimś skokiem albo w trakcie?

–Nigdy.

–Ten facet musi być cholernie pewny siebie.

–Na jego miejscu też bym był. – Quarry najwyraźniej nie mógł zebrać myśli. – Cóż możemy mu zrobić? Na mój gust jest nie do pokonania, praktycznie poza naszym zasięgiem.

–Nie traciłbym nadziei, sir. Mamy paru specjalistów, szukających jakiegoś rozwiązania. Admirał Newson i generał Carter są u nas w sztabie i pracują właśnie nad tą sprawą.

–Newson, Carter. Nasi dwaj geniusze podstępny. – Quarry wydał się bardziej zniechęcony niż kiedykolwiek. – Nigdy nie stosuj jednej bomby wodorowej, gdy możesz użyć dwóch. Ktoś powinien dać znać naszym arabskim przyjaciółom, że lada chwila padną ofiarą nuklearnej zagłady. – Uczynił gest w stronę widocznego za oknem mostu. – Spójrzcie tylko. Pomyślcie. To absolutnie nieprawdopodob-

na sytuacja, gdyby nie fakt, że, jak sami teraz widzimy, całkiem
możliwa. Zupełna, totalna izolacja, odcięcie od świata, i to na oczach
mieszkańców San Francisco, a właściwie całego globu, gdy tylko
pójdą, w ruch, kamery telewizyjne. Są niemal w zasięgu ręki, a równie
dobrze mogliby być na Księżycu. – Westchnął ciężko. – Trudno nie
przyznać, że jesteśmy całkowicie bezradni.

–No, no, John! – W głosie Milтона zabrzmiała nagana. – Czy
w takim duchu zdobywano Dziki Zachód?

–Do diabła z Dzikim Zachodem! Myślę teraz o sobie. Nie muszę
być specjalnie bystry, żeby zgadnąć bez pudła, że będę negocjatorem
w tej całej sprawie.

–Słucham, sir? – zdziwił się Hendrix.

–A jak pan myśli, po co ten szubrawiec wezwał przed swój
majestat ministra skarbu?

Z rękami w kieszeniach, jakby pogrążony w myślach, Revson
przechadzał się wzdłuż wschodniej balustrady mostu, często przy-
stając, aby oglądać, a zapewne i podziwiać, rozciągającą się przed nim
panoramę. Po lewej widział położone na cyplu miasteczko Belvedere,
dalej Fort Baker, Tiburon i wyspę Angel, największą w zatoce; po
prawej samo miasto, na wprost wyspę Alcatraz, a za nią wyspę
Treasure. Między nimi widniała szybko malejąca sylwetka "New
Jersey", który płynął do portu w Alamedzie. Revson zatrzymywał się
często, jakby wypatrując czegoś za barierką mostu. W pewnej chwili
sięgnął od niechcienia po zieloną linkę, którą wcześniej przymocował,

do wspornika, i spróbował podciągnąć ją ku górze. Nie wyczuł

żadnego ciężaru.

–Co pan robi?

Odwrócił się bez pośpiechu. Duże, zielone oczy April Wednesday nie były może natrętnie wścibskie, ale wyrażały pewne zainteresowanie.

–Miętko pani stąpa. Sądziłem, że jestem jedynym człowiekiem w promieniu paru kilometrów, no, powiedzmy, paru metrów.

–Co pan robi?

–Kiedy patrzę na ten cudowny widok i na panią, sam nie wiem, co wolę. Chyba jednak panią. Czy ktoś już pani mówił, że jest pani naprawdę niebrzydka?

–Wiele osób. – Chwyciła zieloną linkę między palec wskazujący i kciuk i zaczęła ją ciągnąć. Nagle wydała stłumiony okrzyk bólu, gdy Revson, nie siląc się na delikatność, zacisnął rękę na jej dłoni.

–Proszę to zostawić.

Potarła rękę, rozejrzała się wokół i spytała: – No więc?

–Łowię ryby.

–To jasne, że nie łowi pan komplementów. – Rozmasowała ostrożnie nadgarstki, potem spojrzała na niego trochę niepewnie. – Wędkarze opowiadają niestworzone historie, prawda?

–Sam to nieraz robiłem.

–Niech mi pan jakąś opowie.

–Czy jest pani równie godna zaufania, jak piękna?

–A jestem piękna? Wcale nie domagam się komplementów. Słowo!

–Owszem.

–A zatem jestem też godna zaufania. – Uśmiechnęli się do siebie.

Wziął ją pod rękę. – To ma być jakaś naprawdę niewiarygodna historia?

–Tak, proszę.

–Właściwie czemu nie? "

Poszli razem, nie spiesząc się.

Hendrix odłożył słuchawkę na widełki. Spojrzał na Milтона i Quarry'ego.

–Czy jesteście panowie gotowi?

–Akt pierwszy, scena pierwsza, a cały świat jest widownią. Coś w tym wszystkim nie gra. – Milton wstał i spojrzał krytycznie na Quarry'ego. – Koszula też niedobra, John. Biały kolor źle wypada w telewizji. Powinna być niebieska, jak moja albo prezydenta. On ma wyłącznie niebieskie koszule, nigdy nie wiadomo, czy za rogiem nie czai się jakaś kamera.

–Och, zamknij się!

Quarry z posępną miną obrócił się w stronę tylnych drzwi furgonetki, ale pozostał na miejscu, gdyż właśnie w tej chwili nadjechał policjant na motocyklu. Towarzyszył temu odpowiednio dramatyczny pisk opon i swąd palącej się gumy. Policjant zsiadł, postawił motocykl i podbiegł do schodków z tyłu furgonetki. Wyciągnął rękę w stronę Hendrixa.

-Do pana, sir.

Hendrix odebrał wąski cylinder długości dwudziestu centymetrów.

-Faktycznie, jest na nim moje nazwisko. Skąd pan go ma?

-Łódź pilotowa dostarczyła go z "New Jersey". Kapitan – kapitan

"New Jersey", rzecz jasna – sądził, że to może być bardzo pilne.

ROZDZIAŁ V

Środkowa część Złotych Wrót upodabniała się szybko do załączka nowego miasta, które – choć chaotycznie usytuowane, nie rozwinięte jeszcze i całkowicie zdeorganizowane, w sposób typowy dla powstających dopiero osiedli – było jednak pełne energii i gorączkowej, krzątaniny, wróżącej pomyślną przyszłość. Fakt, że wszystkie budynki poruszały się na kółkach, a cała siedząca uroczyście i ubrana bez zarzutu starszyzna najwyraźniej nie miała nigdy w swym życiu społecznym do czynienia z jednym choćby dniem fizycznej harówki, nie mącił bynajmniej niezwykłego wrażenia, że ci oto ludzie są pionierami, dzięki którym przesuwają się coraz dalej granice Dzikiego Zachodu.

Na moście znajdowały się trzy autobusy i trzy wozy policyjne; ten trzeci przywiózł właśnie Hendrixa, Milтона i Quarry'ego. Były tam też dwa duże pojazdy z pokrytymi glazurą szybami, pomalowane w gęstowne czerwono-żółte pasy i noszące eufemistyczny napis "Toaleta". Wypożyczono je z objazdowego cyrku, który właśnie zatrzymał się w mieście. Była również sanitarka, wezwana przez Bransona z jemu najlepiej znanych powodów, duża furgonetka z boczną ladą do wydawania gorących posiłków, ogromny wóz transmisyjny telewizji z generatorem umieszczonym dyskretnie o sto metrów dalej i wreszcie mikrobus, z którego wyładowywano koce, pledy i poduszki, mające ulżyć nowym osadnikom w znoszeniu trudów pierwszej nocy.

Znalazły się też, rzecz jasna, elementy zakłócające harmonię całości,

a nawet wprowadzające pewien zgrzyt. Śmigłowce, działka przeciwlotnicze na gąsienicach, uzbrojone patrole, widoczne z daleka po obu stronach mostu wojska inżynieryjne, pospiesznie wznoszące stalowe barykady – to wszystko mogło stanowić niepokojącą zapowiedź użycia siły. A jednak w jakiś sposób pasowało do sytuacji. Okoliczności były tak przedziwne, że to, co normalne, wydawało się zupełnie nie na miejscu. Cała ta sytuacja, nierealna w konfrontacji ze światem zewnętrznym, miała swój własny, niezwykły realizm w konkretnym punkcie czasu i przestrzeni. Dla uczestników wydarzeń realność ich położenia była aż nadto oczywista. Nikt się nie uśmiechał.

Kamery znalazły się już na swoich miejscach, podobnie jak zakładnicy i trzech nowo przybyli ludzie, za którymi, w drugim rzędzie, usiedli dziennikarze. Fotoreporterzy zajęli najdogodniejsze dla siebie pozycje; żaden z nich nie był dalej niż dwa, trzy metry od uzbrojonego strażnika. Branson, wspaniały samotnik, siedział naprzeciwko. Tuż przy nim leżał na ziemi dziwny przedmiot: kawał solidnego brezentu, w którym osadzono jakieś stożki. Obok znajdowała się ciężka metalowa skrzynia z zamkniętym wiekiem.

–Nie będę panów niepotrzebnie zatrzymywał – odezwał się Branson. Trudno powiedzieć, czy upajał się tą chwilą triumfu, świadomością, że kilka spośród najbardziej wpływowych osób na świecie było całkowicie w jego rękach, że oglądało go i słuchało sto milionów ludzi. Był spokojny, opanowany, rozbijając pewny siebie i pewny swego, ale poza tym nie okazywał żadnych oznak emocji. – Odgadliście

zapewne, dlaczego się tu wszyscy znajdujemy i dlaczego ja tu jestem?

–Chyba z tego samego powodu, co ja – odezwał się Quarry.

–Właśnie.

–Niech pan zapamięta, że w przeciwieństwie do pana nie ustanawiam praw-sam dla siebie. Ostateczne decyzje nie należą do mnie.

–Zapamiętałem. – Brzmiało to tak, jakby Branson prowadził jakieś eleganckie seminarium na ekskluzywnym uniwersytecie. – O tym później. Najpierw kwestie podstawowe, nie sądzi pan, panie Quarry?

–Pieniądze?

–Pieniądze.

–Ile? – Opinia o bezpretensjonalnej szczerości Quarry'ego była w pełni uzasadniona.

–Chwileczkę, panie ministrze. – Prezydent, podobnie jak dwieście milionów ludzi, dla których był głową państwa, miał swoje słabostki, a poczesne wśród nich miejsce zajmowała patologiczna niemal awersja do, schodzenia na drugi plan. – Po co panu te pieniądze, Branson?

–Cóż to ma z całą sprawą wspólnego, jeśli to w ogóle pański interes? ‹

–To jest mój interes! Muszę kategorycznie oświadczyć, że jeżeli potrzebuje ich pan do jakichś wywrotowych akcji, do jakichkolwiek złych celów, a szczególnie na działalność antyamerykańską, w takim przypadku mówię panu tu i teraz, że przejdzie pan po moim trupie!

Kimże jestem ja w porównaniu z Ameryką?

Branson pokiwał głową z aprobatą.

–Nieźle powiedziane, panie prezydencie, zwłaszcza biorąc pod uwagę fakt, że autorzy pańskich przemówień siedzą w domu. Słyszę głos naszych praojców; brząający jak sygnał trąbki, zew sumienia, który jest fundamentem Ameryki. Konserwatyści będą pana za to uwielbiać. Powinien pan zarobić następne dwa miliony głosów w listopadowych wyborach. Jednak abstrahując od tego, że ani jednego pańskiego słowa nie należy brać poważnie, muszę pana zapewnić, że te pieniądze potrzebne są na czysto apolityczne cele. Chodzi o prywatną firmę. Branson Enterprises, Inc. Czyli ja.

Prezydent nie był człowiekiem, który łatwo dawał się zbić z tropu

–w przeciwnym razie nie zostałby prezydentem.

–Właśnie użył pan słowa "sumienie". Czy pan go nie ma?

–Uczciwie mówiąc, nie wiem – odparł szczerze Branson. – Kiedy chodzi o pieniądze, nie mam. Większość naprawdę bogatych ludzi na tym świecie to moralne kaleki, faceci o mentalności kryminalistów, którzy zachowują pozory legalnego działania, wynajmując prawników, równie ułomnych moralnie, jak oni sami. – Branson jakby się zamyślił. – Multimilionerzy, politycy, prawnicy – którzy z nich najbardziej przekraczają granice moralności? Ale niech pan nie odpowiada

–być może niechcący postawiłem pana w niezręcznej sytuacji. Wszyscy jesteśmy łajdakami, czy działamy pod obłudnym płaszczkiem legalizmu, czy w pełnym słońcu, jak ja. Chcę po prostu mieć szybko duże pieniądze i uważam, że to sposób nie gorszy od innych, żeby je zdobyć.

–Uznajemy, że jest pan uczciwym złodziejem – powiedział Quarry.

–Przejdźmy do warunków.

–Chodzi o moje rozsądne żądania?

–Do rzeczy, panie Branson.

Branson zlustrował arabskich potentatów naftowych; brakowało wśród nich teraz Imana, który był w szpitalu. Spojrzał także na prezydenta.

–Za całą gromadkę – żywych i w doskonałym stanie – bez targowania się o drobiazgi: trzysta milionów dolarów. Trójka z ośmioma zerami.

Wiele milionów widzów w całej Ameryce zdało sobie nagle sprawę, że w programie nastąpił zanik fonii. Panującą ciszę rekompensowało jednak z nadwyżką bogactwo i różnorodność mimiki pokazywanych na ekranie twarzy, które wyrażały rozległą gamę reakcji: od całkowitego oburzenia poprzez pełne niezrozumienie i absolutne niedowierzanie, aż po kompletny szok. Podczas tych kilku trwających wieczność chwil dźwięk byłby doprawdy niewybaczalnym wtrętem.

Jak można było oczekiwać, pierwszy ocknął się minister skarbu Quarry, przyzwyczajony do operowania liczbami o wielu zerach.

–Czy na pewno się nie przesłyszałem?

~ Trzy, zero, zero, kropka, zero, zero, zero, kropka, zero,, zero, zero. Jeśli dacie mi tablicę i kredę, napiszę to.

–To absurd! Oblęd! Ten człowiek oszalał! Oszalał! Oszalał! – Prezydent, którego fioletowa w tym momencie twarz prezentowała się

całkiem nieźle w kolorowej telewizji, zacisnął pięść i na próżno rozglądał się wokół za stołem, w który mógłby uderzyć. – Wie pan, co za to grozi, Branson: porwanie, szantaż, wymuszenie pod groźbą, i to na skalę...

–Na skalę zupełnie bez precedensu w dziejach przestępczości?

–Właśnie. Na skalę zupełnie... niechże się pan zamknie! Za zdradę

–a jest to zdrada stanu – można domagać się kary śmierci, i choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką uczynię...

–To może nastąpić w każdej chwili. Zapewniam, panie prezy-

dencie, że nie będzie pan miał okazji pociągnąć za dźwignię. Radzę

mi wierzyć. – Wyciągnął pistolet. – Co pan na to, bym na poparcie

moich zamiarów na oczach stu milionów widzów przestrzelił panu

kolano? Wtedy naprawdę potrzebowałby pan tej swojej laseczki. Dla

mnie to drobiazg. – W jego głosie pobrzmiwała chłodna obojęt-

ność, przekonująca o wiele bardziej niż same słowa.

Prezydent rozluźnił zaciśniętą dłoń i nie tyle zagłębił się w fotelu, co

opadł nań jak przedziurawiony balon. Fiolet na jego twarzy nabierał

szarego odcienia.

–Musicie nauczyć się myśleć na dużą skalę – ciągnął Branson.

–Jesteśmy w Stanach Zjednoczonych Ameryki, najbogatszym kra-

ju świata, a nie w jakiejś republice bananowej. Cóż znaczy trzysta

milionów dolarów? Parę okrętów podwodnych typu "Polaris"? Drob-

ny ułamek kosztu wysłania człowieka na Księżyc? Ułamek procenta

dochodu narodowego brutto? Jeśli uszczknę kroplę z amerykańskiej

misy, nikt tego nie zauważy. Ale jeżeli mi na to nie pozwolą, wówczas wielu ludzi odczuje brak pana, panie prezydencie, i pańskich arabskich przyjaciół.

I pomyśleć tylko, co straciecie, pan i Ameryka. Dziesięć razy tyle, sto razy? Przede wszystkim upadnie sprawa rafinerii w San Rafael. To będzie koniec waszych nadziei na uzyskanie klauzuli szczególnie uprzywilejowanego kraju, który otrzymuje ropę po najniższych cenach. W istocie, jeśli ich wysokości nie wrócą do ojczyzny, Stanom grozić będzie z pewnością całkowite embargo na dostawy ropy, co doprowadzi kraj do bezdennej recesji, przy której rok 1929 wyda się niedzielną majówką. – Spojrzał na Hansena, władcę imperium energetycznego. – Zgodzi się pan, panie Hansen?

Zgadzenie się z kimkolwiek było najwyraźniej ostatnią rzeczą, na jaką Hansen miał ochotę. Jego nerwowe tiki urastały do rozmiarów tańca świętego Wita. Gwałtownie poruszając głową wypatrywał od- sieczy. Przełknął ślinę, odkaszlnął w dłonie, spojrział błagalnie na prezydenta i wyglądało na to, że zaraz się załamie, gdy minister skarbu przyszedł mu z pomocą.

–Odczytywałbym przyszłość -w podobny sposób – stwierdził

Quarry.

-Dziękuję.

Król podniósł rękę.

–Jedno słowo, jeśli pan pozwoli. – Król był człowiekiem zupełnie innego pokroju niż prezydent. Aby otrzymać koronę, musiał usunąć,

najczęściej raz na zawsze, niemałą liczbę najbliższych krewnych, przebijanie się przez życie nie było więc dla niego żadną nowością; przemoc towarzyszyła mu stale i zapewne miał umrzeć razem z nią albo z jej powodu!

–Oczywiście.

–Tylko ślepcy nie dostrzegają rzeczywistości. Nie jestem ślepcem.

Prezydent zapłaci.

Prezydent nie miał nic do powiedzenia na temat tej hojnej oferty: patrzył w dół na jezdnię, jak wróżbita przyglądający się swej kryształowej kuli i ukrywający przed klientem, co tam widzi.

–Dziękuję, wasza wysokość.

–Później, oczywiście, dopadną pana i zabiją, bez względu na to, w której części świata będzie pan usiłował się ukryć. Gdyby nawet mnie pan teraz zabił, pańska śmierć jest równie pewna" co jutrzejszy wschód słońca.

Branson był niewzruszony.

–Dopóki jest pan w moich rękach, wasza wysokość, nie mam co do tego obaw. Wyobrażam sobie, że gdyby któryś z pana poddanych naraził choćby na niebezpieczeństwo pańskie życie, nie mówiąc już o odpowiedzialności za jego utratę, znalazłby się błyskawicznie w raju.

„O ile królobójcy idą do raju, co moim zdaniem powinno być zakazane.

Nie sądzę też, by był pan typem człowieka, który podbiegnie teraz do balustrady i skoczy w dół, aby podburzyć wiernych do rzucenia się na mnie z długimi nożami.

–Doprawdy. – Oczy pod obwisłymi powiekami nawet nie drgnęły.

–A jeśli jestem inny niż pan sądzi?

–Gdyby pan skoczył albo spróbował to zrobić? ~ I znów ta

chłodna obojętność. – Jak pan sądzi, po co mam tu lekarza i karetkę?

Van Effen, jakie masz instrukcje na wypadek czyjejs nieroztropnej próby ucieczki?

Van Effen okazał się równie obojętny.

–Pokiereszować mu nogi z pistoletu maszynowego. Lekarz go poskłada.

–Moglibyśmy nawet, w razie potrzeby, zaopatrzyć pana w protezę.

Martwy nie przedstawia pan dla mnie żadnej wartości, wasza wyso-

kość. – Oczy pod obwisłymi powiekami były zamknięte. – A więc

sumę okupu ustaliliśmy? Żadnych sprzeciwów? Znakomicie. To by było na początek.

–Na początek? – Tym razem odezwał się generał Cartland, a w je-

go oczach można było dostrzec obraz plutonu egzekucyjnego.

–To znaczy od tego zaczniemy. Jest jeszcze coś. Dodatkowe

dwieście milionów dolarów. Tyle żądam za Złote Wrota.

Tym razem stan psychicznego szoku nie trwał zbyt długo. Istnieją

granice percepcji ludzkiego umysłu. Prezydent podniósł wzrok znad

bezdennej otchłani, którą lustrował, i powiedział głucho:

–Dwieście milionów dolarów za Złote Wrota?

–To okazja. Właściwie oddanie za bezcen. To fakt, że budowa

mostu kosztowała zaledwie czterdzieści milionów i oferta dwustu

milionów odpowiada dokładnie pięciokrotnej inflacji w ciągu ostatnich czterdziestu lat. Ale, abstrahując od pieniędzy, pomyślcie o potwornych kosztach odbudowy. Pomyślcie o hałasie, kurzu, zanieczyszczeniach, zakłóceniach ruchu w mieście, kiedy trzeba będzie przywieźć te tysiące ton stali, o dziesiątkach tysięcy turystów, których nieobecność zrujnuje miasto. San Francisco jest piękne, ale bez Złotych Wrót byłoby jak Mona Lisa bez swego uśmiechu. Pomyślcie, w perspektywie przynajmniej roku, a może dwóch lat, o wszystkich zmotoryzowanych z okręgu Marin, którzy nie będą w stanie dostać się do miasta – objazd przez most San Rafael jest bardzo, bardzo długi. Albo, skoro już o tym mowa, pomyślcie o zmotoryzowanych z miasta, którzy nie będą mogli dotrzeć do okręgu Marin. Byłoby to nieznośnie uciążliwe dla wszystkich – z wyjątkiem właścicieli promów, którzy stali się milionerami. Mam żałować przedsiębiorcy uczciwego zarobku? Dwieście milionów dolarów? To czysta filantropia!

Quarry, przyzwyczajony do obcowania z całymi rzędami zer, odezwał się:

–A jeśli nie spełnimy tych monstrualnych żądań, co zamierza pan zrobić z mostem? Wywieźć go i zastawić gdzieś w lombardzie?

–Mam zamiar go wysadzić. Upadek z wysokości sześćdziesięciu metrów – byłby to; najbardziej wstrząsający plusk, jaki słyszano kiedykolwiek na Zachodnim Wybrzeżu.

–Wysadzić go! Wysadzić Złote Wrota! – Burmistrz Morrison, u którego zwykle punkt wrzenia znajdował się tuż ponad punktem

zamarzania, zerwał się na równe nogi i z twarzą nabrzmiałą nieopanowanym gniewem runął na Bransona, zanim ktokolwiek zdał sobie sprawę, co się dzieje, a zwłaszcza nim pojął to sam Branson. W dziesiątkach milionów amerykańskich domów ujrzano, jak Branson spadł z krzesła, mocno uderzając głową o jezdnię, podczas gdy Morrison, całym ciężarem swych stu kilogramów, natarł na niego i z furią rąbnął go w twarz. Van Effen przyskoczył i uderzył Morrisona w kark kolbą pistoletu. Zaraz potem odwrócił się, wymierzając broń w siedzących mężczyzn, ale ostrożność okazała się zbędna – nikt nie kwapił się pójść w ślady Morrisona.

Branson zdołał usiąść – i to niezbyt pewnie – dopiero po upływie pełnych dwudziestu sekund. Wziął tampon z gazy i przyłożył go do pękniętej wargi i mocno krwawiącego nosa. Spojrzał na Morrisona, następnie na lekarza.

–Co z nim?

Lekarz przeprowadzał pobieżne oględziny.

–Nic mu nie będzie, nie doznał nawet wstrząsu. – Spojrzał bez entuzjazmu na Van Effena. – Pański przyjaciel najwyraźniej świetnie się na tym zna.

–Kwestia wprawy – wyjaśnił szorstko Branson. Zastąpił przesiąknięty już krwią tampon nowym i niepewnie się podniósł. – Burmistrz Morrison nie docenia własnej siły.

–Co mam z nim zrobić? – spytał Van Effen.

–Zostaw go w spokoju. To jego miasto i jego most. Sam jestem

winien. Dotknąłem czułego miejsca. – Spojrzał na Morrisona z namys-
łem. – Chyba jednak lepiej zakuć go w kajdanki, z rękami do tyłu.

Następnym razem mógłby mi utraćć głowę.

Generał Cartland podniósł się i podszedł do Bransona. Van Effen
groźnie podniósł broń, ale Cartland zignorował go.

–Jest pan w stanie rozmawiać? – odezwał się do Bransona.

–W każdym razie jestem w stanie słuchać. Nie sięgnął moich uszu.

–Pełnię, co prawda, funkcję szefa sztabu, ale z zawodu jestem
saperem. To oznacza, że znam się na materiałach wybuchowych. Nie
może pan wysadzić mostu i powinien pan o tym wiedzieć. Żeby
zburzyć te wieże, musiałyby pan mieć całą ciężarówkę materiału wybu-
chowego. Nie widzę tu nic takiego.

–Nie ma potrzeby. – Wskazał na gruby, brezentowy pas ze
wzgórkami osadzonych w nim stożków. – Jest pan specjalistą.

Cartland popatrzył na pas, potem na Bransona, następnie na
siedzących widzów i ponownie na pas. Branson odezwał się:

–Może im pan powie. Mnie, nie mam pojęcia dlaczego, boli
szczęką.

Cartland przyjrzał się dokładnie masywnym wieżom i zwisającym
z nich linom.

–Robił pan próby? – zapytał Bransona. – Branson przytaknął.

–Z powodzeniem, bo inaczej nie byłoby pana tutaj? – Branson
ponownie skinął głową.

Cartland bez entuzjazmu odwrócił się w stronę siedzących zakład-

ników i dziennikarzy.

–Myliłem się. Niestety. Branson rzeczywiście jest w stanie zburzyć most. Te osadzone w brezentowym pasie stożki zawierają jakiś konwencjonalny materiał wybuchowy – TNT, amatol, w każdym razie coś o odpowiedniej mocy. To tak zwane ule. Ich konstrukcja, ze względu na wklęsłą podstawę, powoduje kierowanie przynajmniej osiemdziesięciu procent siły wybuchu do wnętrza. Chodzi zapewne o to, by owinąć jeden z tych brezentowych pasów z pięćdziesięciokilogramowym – czy coś koło tego – ładunkiem wokół jednej z lin podtrzymujących most, prawdopodobnie gdzieś wysoko, u szczytu wieży. – Ponownie spojrzał na Bransona. – Domyślam się, że ma pan tego cztery sztuki? – Branson przytaknął. – Przewidziane do jednoczesnego odpalenia? – Odwrócił się do pozostałych. – Obawiam się, że to by poskutkowało.

Wszystko runie.

Nastąpiła chwila ciszy, niewątpliwie pełnej napięcia dla widzów, a spowodowanej faktem, że Bransonowi, ze zrozumiałych względów, nie bardzo chciało się mówić, a pozostali niewiele mieli do powiedzenia. W końcu odezwał się Cartland:

–Skąd pewność, że ładunki wybuchną równocześnie?

–To proste. Fale radiowe pobudzają baterię, która przepala drucik w zapalniku z piorunianem rtęci. Następuje detonacja spłonki i całego ula. Wystarczy jeden. Pozostałe eksplodują równolegle.

–Przypuszczam, że to koniec pańskich żądań na dziś? – zapytał ponuro Quarry.

–Niezupełnie. – Branson wykonał dłonią przeproszający gest. – Ale pozostał już tylko drobiazg.

–Ciekawe, co też pan uważa za drobiazg?

–Ćwierć miliona dolarów.

–Zdumiewające. Przy pańskich wymaganiach to ziarnko piasku.

A na cóż ta suma?

–Pokrycie moich wydatków.

–Pańskich wydatków. – Quarry dwukrotnie nabrał powietrza w płuca. – Boże, Branson, nie ma pan równego sobie kanciarza.

–Przywykłem do wyzwisk. – Wzruszył ramionami. – Nie obrażam się już tak łatwo. Człowiek uczy, się spijać gorycz wraz ze słodyczą.

A wracając do zapłaty: macie zamiar ją uiścić, prawda?

Nikt nie odpowiedział, czy mają taki zamiar.

–Muszę przekazać instrukcje znajomemu w Nowym Jorku, który ma przyjaciół w paru europejskich bankach. – Spojrzał na zegarek.

–Mamy właśnie południe. W środkowej Europie jest zatem godzina ósma lub dziewiąta, a wszyscy szanujący się bankierzy kończą tam robotę dokładnie o szóstej. Byłbym więc niezmiernie zobowiązany, gdybyście powiadomili mnie o swojej decyzji do siódmej rano.

–O jakiej decyzji? – zapytał ostrożnie Quarry.

–Na temat możliwości uzyskania funduszy i ich formy. Jest mi doprawdy obojętne, co to będzie, eurodolary czy akcje w stosownie wybranych funduszach na pomoc zagraniczną. Któż potrafi to załatwić z większą łatwością i odpowiednio dyskretnie! Weźmy, na przy-

kład, setki milionów dolarów, które przekazaliście, bez najmniejszej wiedzy biednych podatników, takim organizacjom, jak CIA, na działalność wywrotową za granicą. To dziecinnie proste dla waszego ministerstwa skarbu. Nieważne, czy te pieniądze będą znaczone: byle tylko były wymienialne.

Pożegnamy się, kiedy znajomy z Nowego Jorku poinformuje nas, że wszystkie pieniądze dotarły do różnych miejsc przeznaczenia, co nie powinno zająć więcej niż następną dobę, powiedzmy do południa tego samego dnia. Rzecz jasna, zakładnicy pozostaną z nami.

–Dokąd nas zabierzecie? – zapytał Cartland.

–Pana nigdzie nie zabiorę. Siły zbrojne mogą uważać, że jest pan bezcenny, ale dla mnie nie przedstawia pan żadnej wartości jako przedmiot przetargu. Poza tym, spośród tu obecnych jedynie pan może potencjalnie sprawić mi kłopoty. Nie dość, że jest pan człowiekiem czynu, to ma pan o wiele za szczupłą sylwetkę; wolę, aby byli przy mnie ludzie otyli, czy coś w tym guście. Prezydent i jego trzech przyjaciele od ropy. Nie zaszkodzi, gdy panu powiem, że znam prezydenta pewnej wyspy na Morzu Karaibskim, która nie ma i nigdy mieć nie będzie umowy o ekstradycji ze Stanami Zjednoczonymi. Jest on skłonny zaoferować nam nocleg ze śniadaniem za milion dolarów dziennie.

Komentarzy nie było. Biorąc pod uwagę sumy, jakimi dopiero co szafował Branson, stawka była całkiem rozsądna.

–Jeszcze jedna kwestia – powiedział Branson. – Nie wspomniałem,

że począwszy od południa następnego dnia – to znaczy od pojutrze, wprowadzę umowną karę, powiedzmy sobie zwyczajną opłatę, za każdą godzinę zwłoki w dostawie pieniędzy. Dwa miliony dolarów za godzinę. *

–Nie można powiedzieć, że nie ceni pan swojego czasu; panie Branson – stwierdził Quarry.

–Ktoś musi. Czy są jeszcze jakieś pytania?

–Tak – odezwał się Cartland. – Jak zamierza pan dostać się do tej swojej rajskiej wyspy?

–Polecę tam. A jakżeby inaczej? W dziesięć minut dolatujemy śmigłowcami na lotnisko międzynarodowe, a tam wsiadamy do samolotu.

–Zorganizował pan to? Czeka na pana samolot?

–No cóż, jeszcze o tym nie wie, ale dowie się wkrótce.

–Co to za samolot?

–Air Force jeden, chyba tak go nazywacie.

Nawet Cartlanda opuściło zwykłe opanowanie.

–Czy to znaczy, że chce pan uprowadzić boeinga prezydenta?

–Niech pan będzie rozsądny, generale, nie chce pan chyba, żeby prezydenta wytrzęsło w drodze na Karaiby w jakimś rozklekotanym DC-3? To najbardziej oczywisty, jedyny sposób przewożenia wielkich przywódców, którzy są przyzwyczajeni do maksimum komfortu w podróży. Pokażemy im najnowsze filmy. Chociaż zostaną pozbawieni wolności tylko na krótko, postaramy się, aby spędzili czas możliwie

przyjemnie. Niewykluczone, że lecąc z nimi z powrotem do Stanów
będziemy mieli kolejne nowe filmy.

–My? – spytał ostrożnie Cartland.

–Moi przyjaciele i ja. Uważam za słuszne – nie, powiem więcej: za
nasz święty obowiązek, odstawić ich bezpiecznie z powrotem. Nie
wiem, jak ktokolwiek o odrobinie wrażliwości może znieść mieszkanie
w czymś tak potwornym jak Biały Dom, ale w końcu nie ma to, jak
być u siebie.

Milton zagadnął równie ostrożnie jak Cartland:

–Czy to znaczy, że zamierza pan znów postawić nogę na amery-
kańskiej ziemi?

–To mój własny, rodzinny kraj. A czemuż by nie? Rozczarowuje
mnie pan, panie Milton.

–Czyżby?

–Naprawdę. Sądziłbym, że sekretarz stanu – na równi z sędzią
Sądu Najwyższego czy ministrem sprawiedliwości – będzie znał na-
sze prawo i Konstytucję nie gorzej niż inni obywatele, tego kraju.

–Zapadła cisza. Branson rozejrzał się wokół, ale milczenie trwało,
zwrócił się więc ponownie do sekretarza. – Czyżby nie znał pan
paragrafu, który mówi, że człowiek, uwolniony całkowicie przez sąd
od odpowiedzialności za jakieś faktyczne czy domniemane prze-
stępstwo, nie może już nigdy być z tego samego powodu postawio-
ny w stan oskarżenia?

Minęło przynajmniej dziesięć sekund, zanim obecni uprzytomnili

sobie znaczenie tych słów. I wtedy właśnie rzeka Potomac, w osobie głowy państwa, wystąpiła z brzegów. Wówczas także prezydent stracił dwukrotnie więcej potencjalnych wyborców niż być może zyskał po wcześniejszym oświadczeniu, że poświęci życie za Amerykę. Trudno mu się dziwić. Niektórzy politycy są podstępni, inni bronią się gruboskórnością, ale nigdy żaden prezydent nie zetknął się z taką makiawelską bezczelnością. Nawet prezydentom można wybaczyć sporadycznie ordynarny język w czterech ścianach własnego domu, ale wystrzegają się zwykle takiej frazeologii przemawiając do wyborców. W tej jednak chwili prezydent całkiem zapomniał, że – w gruncie rzeczy – zwraca się do wyborców. Wołał o sprawiedliwość do obojętnych niebios. W tym też kierunku wznosił udręczoną twarz, stojąc z rozpostartymi sztywno rękami, zaciśniętymi pięściami i obliczem przybierającym szczególny odcień purpury.

–P... pół miliarda dolarów! I do tego p... całkowite ułaskawienie!

Dobry p... Boże! – Opuścił wzrok z bezchmurnego nieba i skierował cały ładunek gniewu na Bransona, który – o dziwo.– nie padł rażony piorunem:

–Ma pan pod ręką zestaw kardiologiczny? – Branson spytał półgłosem lekarza.

–To nie jest śmieszne.

Prezydent kontynuował zapamiętane.

–Ty wykolejony p... bękarcie! Jeżeli sobie wyobrażasz...

Cartland znalazł się przy nim ponieważ, dotknął jego ramienia

i szepnął pospiesznie:

–Jest pan na wizji, sir.

Prezydent przerwał w pół zdania, spojrział na niego, zacisnął powieki zrozumiawszy nagle, co się stało, po czym ponownie otworzył oczy, popatrzył wprost do kamery i odezwał się zrównoważonym tonem:

–Ja, jako wybrany przedstawiciel i prezydent narodu amerykańskiego, nie ugnę się przed ohydny szantażem i knowaniami amoralnego złoczyńcy. Naród amerykański nie będzie tego tolerował. Demokracja nie pogodzi się z tym. Cokolwiek się stanie, zwalczymy tego raka w naszym organizmie...

–Jak? – zapytał Branson.

–Jak? – Myśląc o tym, prezydent starał się dzielnie zapanować nad ciśnieniem krwi, ale nie zachowywał się jeszcze w pełni racjonalnie.

–Wykorzystamy wszelkie środki wszystkich biur śledczych w Stanach Zjednoczonych, całą potęgę sił zbrojnych, cały majestat prawa i porządku...

–Dopiero za pół roku będzie się pan starał o ponowny wybór.

Pytam o sposób. –

–Po konsultacjach z członkami rządu...

–Koniec z wszelkimi konsultacjami, chyba że sam na nie zezwolę.

Całkowite ułaskawienie. W przeciwnym razie pański pobyt na tej tropikalnej wyspie może przedłużyć się na czas nieokreślony. Znaczna jej część, jak już powiedziałem, wygląda zupełnie jak raj. Jest tam jednak pewien niewielki zakątek otoczony palisadą, który uderzająco

przypomina dawną Diabelską Wyspę. Generalissimus musi mieć jakieś miejsce dla swych politycznych dysydentów, a ponieważ nie dba o nich zanadto, większość z nich nigdy już nie powraca na scenę. To rezultat ciężkiej pracy, gorączki i głodu. Nie wyobrażam sobie jakoś obecnego tu króla z kilofem w dłoni. Pana także, skoro już o tym mowa. A zamiast głądzić o prawości narodu, mógłby pan rozważyć inną potencjalną groźbę, jaka wisi nad pańskimi gośćmi. Nie jest tajemnicą, że i król, i książę mają zaufanych ministrów i krewnych, którzy wprost marzą, by zrobić sobie przymiarkę do tronu. Gdyby pobyt pańskich przyjaciół na Karaibach miał się zanadto przedłużyć, można podejrzewać, że ani królestwo, ani szejkanat nie czekałyby na ich powrót. Zdaje pan sobie, rzecz jasna, sprawę, że amerykańska opinia publiczna nie pozwoliłaby panu nigdy pertraktować z ich samozwańczymi następcami, tym bardziej że obarczano by pana winą za ten stan rzeczy. A zatem nici z listopada. Nici z San Rafael. Dochodzi do podwojenia cen ropy albo całkowitego embarga, a tak czy inaczej do katastrofalnej recesji. Nie zasłuży pan nawet na wzmiankę w historii. W najlepszym wypadku, jeśli komuś przyjdzie do głowy sporządzić listę najgłupszych i najbardziej nieudolnych przywódców w historii, będzie miał pan szansę trafić do księgi rekordów Guinnessa. Ale do historii jako takiej? Nie.

–Czy już pan skończył? – Wyglądało na to, że złość prezydenta gdzieś się ulotniła i przybrał pozę szczególnej, pełnej rezygnacji godności.

–Na razie. – Branson dał znak kamerzystom z telewizji, że przedstawienie się skończyło.

–Czy mogę zamienić słowo z królem, księciem, członkami rządu i szefem policji?

–Czemu nie? Zwłaszcza jeśli pomoże to panu szybciej podjąć decyzję.

–W cztery oczy?

–Oczywiście. W pańskim autobusie.

–Całkowicie w cztery oczy?

–Strażnik pozostanie na zewnątrz. Jak pan wie, pojazd jest dźwiękoszczelny. Całkowicie w cztery oczy. Obiecuję.

Odeszli, pozostawiając Bransona samego. Ten skinął na Chryslera, specja od telekomunikacji.

–Czy nasłuch w autobusie prezydenta jest włączony?

–Cały czas.

–Nasi przyjaciele odbywają tam tajną naradę na najwyższym szczeblu. Nie zechciałbyś odpocząć trochę w naszym wozie? Na pewno jesteś zmęczony.

–Bardzo zmęczony, panie Branson.

Chrysler udał się do ostatniego autobusu i usiadł obok fotela kierowcy naprzeciwko konsoli. "Pstryknął przełącznikiem i podniósł pojedynczą słuchawkę. Najwyraźniej zadowolony z tego, co usłyszał, odłożył ją i włączył coś jeszcze. Z szumem zaczęła się obracać taśma magnetofonu.

–No, i co pan o tym sądzi? – zapytała Revsona April Wednesday.

–Chciałbym znać wskaźniki popularności programu, kiedy puszcza to dziś ponownie. – Przechadzali się tam i z powrotem po zachodniej, opustoszałej stronie mostu. – Co za obsada! Próby zepsułyby tylko spektakl. /

–Wie pan, że nie to mam na myśli.

–Wiem. Ten nasz Peter Branson to nie byle kto. Wiemy już, że jest, wysoce inteligentny: rozważył wszelkie warianty, przygotował się z góry na każdą ewentualność – byłby z niego doskonały generał. Można by – a przynajmniej ja mógłbym – niemal polubić i podziwiać tego faceta, gdyby nie fakt, że, abstrahując od pięciuset milionów zawiązką, robi to wszystko najwidoczniej dla rozróby. Jest moralnym zerem i zwykle kryteria dobra i zła nie obowiązują go, po prostu nie istnieją. Jest w nim jakaś dziwna pustka.

–Jego rachunkowi w banku to nie grozi. Miałam jednak na myśli coś innego.

–Wiem, jeśli więc chodzi o pytanie, którego pani nie zadała, odpowiedź brzmi: tak. Jesteśmy zdani na jego łaskę.

–Zamierza pan coś z tym zrobić?

–Zamiary i czyny to nie to samo.

–No cóż, nie może pan tak po prostu przechadzać się tutaj i nic nie robić. Po tym, co mi pan powiedział dziś rano...

–Wiem, co powiedziałem. Proszę okazać nieco cierpliwości i przez chwilę pomilczeć. Nie widzi pani, że się zastanawiam?

Po niedługim czasie odezwał się:

–Już się zastanowiłem.

–Nie mogę się wprost doczekać.

–Czy była pani kiedyś chora?

Uniosła brwi, co sprawiło, że jej ogromne zielone oczy wydawały się większe niż kiedykolwiek. Revson skonstatował, że takimi oczami ani chybi dokonałaby spustoszenia w całym kolegium kardynalskim.

Odwrócił głowę, żeby nie zapomnieć o czekającym go zadaniu.

–Oczywiście, że byłam chora – odparła. – Każdy kiedyś choruje.

–Chodzi mi o poważną chorobę. Pobyt w szpitalu czy coś takiego.

–Nie. Nigdy.

–Wkrótce to panią czeka. Szpital. Choroba. Oczywiście, jeśli nadal chce pani być pomocna.

–To już obiecałam.

–Piękna pani paskudnie się rozchoruje. Ryzyko jest całkiem spore.

W razie wpadki Branson zmusi panią do mówienia. Pół miliarda dolarów to spora sumka. Szybko zacznie pani mówić.

–Nawet szybciej. Nie jestem jak te wasze bohaterki ruchu oporu z czasów wojny i nie lubię bólu. Na czym miałabym wpaść?

–Dostarczając mój list. Proszę zostawić mnie na parę minut samego.

Revson nastawił aparat i zrobił parę zdjęć autobusów, śmigłowców, działek przeciwlotniczych i strażników, starając się w miarę możliwości uchwycić w tle południową wieżę i San Francisco na horyzoncie, jak

przysłało na oddanego swej pracy fachowca. Potem skierował uwagę"

i obiektyw na sanitarkę i stojącego obok lekarza w białym kitlu.

–Dla wiecznej sławy, czy tak? – zapytał doktor.

–Czemu nie? Każdy chce być nieśmiertelny.

–Doktorowi nie zależy. A karetkę może pan sfotografować gdziekolwiek.

–Potrzebny panu psychiatra. – Revson opuścił aparat. – Nie wie pan, że w tym kraju niechęć do pchania się przed obiektyw świadczy wyraźnie o społecznym nieprzystosowaniu? Nazywam się Revson.

–O'Hare. – O'Hare był młodym, pogodnym rudzielcem, a jego irlandzkie pochodzenie nie sięgało dalej niż jedno pokolenie wstecz.

–I co pan sądzi o tym uroczym spektaklu?

–Wydrukuj pan to, co powiem?

–Jestem fotoreporterem.

–A, do cholery, niech pan drukuje, jeśli pan chce. Z przyjemnością złołbym gnojnikowi skórę.

–To się zgadza... "

–Co?

–Te rude włosy.

–Czułbym to samo, gdybym był brunetem, blondynem czy łysym jak kolano. Aroganccy dandysi działają mi na nerwy. Nie podoba mi się też sposób, w jaki drażni się z prezydentem i publicznie go poniża.

–Jest pan zatem zwolennikiem prezydenta?

–Do diabła, to Kalifornijczyk i ja też jestem z Kalifornii. Głosowa-

łem na niego poprzednio i zrobię to samo następnym razem. Zgoda, jest nieco staroświecki i przesadza z rolą dobrego wujaszka, ale nie mamy nikogo lepszego. Niewiele to panu powie, ale z niego jest naprawdę porządny, stary przyk.

–Porządny, stary przyk?

–Proszę nie mieć mi za złe. Chodziłem do szkoły w Anglii.

–Chciałby pan mu pomóc?

O'Hare przyjrzał się Revsonowi z uwagą.

–Śmieszne pytanie. Pewnie, że chciałbym.

–Pomógłby pan mnie, aby pomóc jemu?

–Jak pan może mu pomóc?

–Spróbuję i powiem panu, w jaki sposób, o ile powie pan "tak".

–A dlaczego, pana zdaniem, może pan pomóc bardziej niż ktokolwiek inny?

–Mam specjalne kwalifikacje. Pracuję dla rządu

–Po co więc ten aparat?

–A ja zawsze sądziłem, że aby zostać lekarzem, trzeba sporej inteligencji. Czy mam nosić na piersiach trzydziestocentymetrową plaketkę z napisem: "Jestem agentem FBI"?

O'Hare uśmiechnął się, ale tylko nieznacznie.

–No nie. Mówią jednak, że wszyscy ludzie z FBI leżą nieprzytomni w garażu w centrum. Z wyjątkiem paru w wozie prasowym, których stamtąd wyciągnięto i odprawiono z mostu.

–Nie wkładamy wszystkich jajek do jednego koszyka.

–Agenci nie mają zwyczaju ujawniać swej tożsamości.

–To mnie nie dotyczy. Będąc w tarapatkach odkryłbym karty przed każdym. A właśnie wpadłem w tarapaty.

–Dopóki to nie będzie sprzeczne z etyką...

–Nawet Hipokrates by się nie zarumienił. Skoro za to rękę, czy uznalby pan za nieetyczne pomóc wsadzić Bransona za kratki? –

–Czy to także pan gwarantuje?

–Nie.

–Może pan na mnie liczyć/Co trzeba zrobić?

–Jest z nami pewna fotoreporterka, młoda, dość ładna, o dziwnym nazwisku April" Wednesday.

–Aha! – O'Hare wyraźnie się ożywił. – Zielonooka blondynka.

–Właśnie. Chcę, żeby przekazała ode mnie wiadomość na ląd, jeśli to stosowne określenie, i w ciągu paru godzin przywiozła odpowiedź. Zamierzam zaszyfrować tę wiadomość, sfotografować i dać panu rolkę z filmem. Jest wielkości połówki papierosa i na pewno zdoła pan łatwo ukryć ją w jednej z licznych rurek czy pudełek, które ma pan ze sobą. W końcu nikt nie kwestionuje uczciwości lekarza.

–Nawet w tej sytuacji? – O'Hare mówił z pewnym podnieceniem.

–Nie mapośpiechu. Będę musiał poczekać, aż panowie Milton, Quarry i Hendrix zostaną wyprowadzeni poza granice mostu. Do tego czasu, jak sądzę, wyjdzie także z ukrycia godny zaufania pan Hagenbach.

–Hagenbach? Chodzi panu o tego starego krętacza...

–Mówi pan o moim szacownym pracodawcy. A więc dobrze, mamy tu typową sanitarkę. Nie przypuszczam, żeby znajdowało się w niej coś bardziej wyszukanego niż zwykła apteczka, zestaw kardiologiczny czy aparat tlenowy, żeby móc poskładać tych, którzy nieopatrznie przekroczą zakazaną linię. – O'Hare pokręcił głową.

–Nie ma pan zatem żadnego sprzętu radiologicznego, urządzeń do badań klinicznych, ani możliwości przeprowadzenia operacji, nawet gdyby był tu anestezjolog, którego także brak. Proponuję więc, by w chwili, gdy za mniej więcej godzinę panna Wednesday poczuje silne bóle, stwierdził pan coś, co może wymagać natychmiastowej szpitalnej diagnozy i ewentualnej operacji. No cóż, lekarzom nie wolno ponosić ryzyka. Jakiś ból wyrostka, podejrzenie zapalenia otrzewnej czy coś w tym rodzaju. Pan wie lepiej...

–Z pewnością. – O'Hare spojrzał na Revsona z dezaprobatą.

–Chyba nie zdaje pan sobie sprawy, że byle student medycyny, choćby najbardziej zielony, potrafi stwierdzić zapalenie wyrostka trzymając dosłownie ręce w kieszeniach.

–Zdaję sobie sprawę. Ale niech mnie diabli, jeżeli ja potrafiłbym to zrobić. I jestem prawie pewny, że nie potrafi tego także nikt inny na tym moście.

–Ma pan rację. W porządku. Ale musi mi pan dać piętnaście – dwadzieścia minut czasu, zanim wezwę Bransona czy kogokolwiek. Muszę trochę popracować nad właściwymi objawami. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

–Panna Wednesday powiedziała mi właśnie, że jest uczulona na ból.

–Nic nie poczuje – odparł O'Hare tonem dentysty. – Poza tym, to dla ojczyzny. – Spojrzał na Revsona z namysłem. – Podobno za dwie godziny panowie dziennikarze przekazują swoje materiały przy południowej zaporze. Czy to nie mogłoby poczekać?

–A odpowiedź przyniosłby za tydzień gołąb pocztowy. Chcę ją mieć dziś po południu.

–Naprawdę się panu spieszy.

–Podczas wojny, drugiej wojny światowej, Winston Churchill opatrywał zwykle wszelkie instrukcje dla wojska i rządu trzema tylko naprędce pisanymi słowami: wykonać jeszcze dziś. Jestem gorącym wielbicielem sir Winstona.

Zostawił nieco zdezorientowanego O'Hare i wrócił do April Wednesday. Oznajmił jej, że O'Hare zgodził się spełnić jego prośbę, a ona zapytała od razu:

–Chce pan, żebym wracając przyniosła miniaturowy radionadajnik?

Obdarzył ją życzliwym spojrzeniem.

–Dziękuję za dobre chęci, ale nie. Wszelkiego rodzaju elektroniczna inwigilacja to nie pani specjalność. Mam taki nadajnik przy podstawie aparatu. Ale ten mały, obracający się dysk na dachu autobusu naszych złoczyńców może oznaczać tylko jedno: mają radiopelengator. Zlokalizują mnie w pięć sekund. Proszę teraz uważnie słuchać.

Powiem dokładnie, czego od pani oczekuję i jak ma się pani zachowywać.

–Rozumiem – powiedziała, gdy skończył. – Ale nasz uroczy uzdrowiciel, szalejący ze swoją strzykawką, nie napawa mnie szczególnym entuzjazmem.

–Nic pani nie poczuje – powiedział uspokajająco Revson. – Poza tym, to dla ojczyzny.

Zostawił ją i odszedł, jakby od niechcenia, w stronę wozu dla prasy.

W autobusie prezydenta trwała nadal sesja plenarna królewskich obrad, a chociaż z miejsca, w którym stał Revson, nie było słyhać, o czym mowa, gesty i mimika uczestników świadczyły wyraźnie, że zdołali na razie osiągnąć jedynie znaczną rozbieżność poglądów.

Revson pomyślał, że mają do rozstrzygnięcia problem, wobec którego niełatwo o zgodne opinie. Branson i Chrysler znajdowali się na przedzie ostatniego autobusu. Wydawali się pogrążeni w drzemce, choć zapewne tak nie było. Nie miało to zresztą większego znaczenia, gdyż czujni strażnicy, patrolujący obszar mostu pomiędzy świeżo namalowanymi liniami, byli aż nadto widoczni. Przedstawiciele różnych środków masowego przekazu stali grupkami, w atmosferze jakiegoś tłumionego oczekiwania na kolejne doniosłe wydarzenie, które mogło rozegrać się w każdej chwili, choć wcale nie musiało.

Revson wszedł do wozu dla prasy. Nie było tam nikogo. Udał się na swoje miejsce, nastawił aparat, wyjął papier i flamaster, po czym zaczął, szybko i bez namysłu, pisać coś, co wyglądało na bezsensowne

gryzmoły. Niektórzy ludzie są bezradni bez książki szyfrów, ale

Revson się do nich nie zaliczał.

ROZDZIAŁ VI

Hagenbach, szef FBI, był potężnym i groźnym osobnikiem po sześćdziesiątce, o krótko przystrzyżonych siwych włosach i wąsach, jasnoniebieskich oczach z lekko obwisłymi powiekami, które zdawały się nigdy nie poruszać, i twarzy całkowicie pozbawionej wyrazu, co stanowiło efekt lat ciężkiej pracy. Podobno w centrali FBI robiono zakłady, kiedy Hagenbach po raz pierwszy się uśmiechnie. Trwało to już pięć lat.

Hagenbach był bardzo zdolny i dawało się to zauważyć. Nie miał przyjaciół, i to także rzucało się w oczy. Ludzie ogarnięci jakąś pasją rzadko ich miewają, a Hagenbach był człowiekiem z pasją. Podobnie jak jeden z jego znakomitych poprzedników, miał jakoby w kartotece informacje o wszystkich senatorach i kongresmenach w Waszyngtonie, nie mówiąc już o całym personelu Białego Domu. Zrobiłby majątek na szantażu, ale Hagenbacha nie interesowały pieniądze. Nie interesowała go również władza jako taka. Hagenbach poświęcał się całkowicie tępieniu korupcji, gdziekolwiek się z nią zetknął.

Spojrzał na admirała Newsona i generała Cartera. Pierwszy z nich był pulchny i rumiany, drugi wysoki i szczupły, o podobnie niepokojącym wyglądzie, co jego zwierzchnik, generał Cartland. Znał obu tych mężczyzn, i to nieźle, od prawie dwudziestu lat, lecz ani razu nie nazwał żadnego z nich po imieniu. A było wprost nie

do pomyslenia, aby ktokolwiek zwrócił się po imieniu do Hagenbacha. Okazałoby się to zresztą niesłychanie trudne, gdyż nikt chyba nie wiedział, jak ma na imię. Ludzie jego pokroju nie potrzebują imion.

–A więc to wszystko, co macie panowie do zaproponowania?

–odezwał się Hagenbach.

–Sytuacja jest bez precedensu – powiedział Newson. – Carter i ja jesteśmy z gruntu ludźmi czynu. W tej chwili bezpośrednią akcję należy wykluczyć. Chcemy posłuchać, co pan proponuje.

–Dopiero przyjechałem. Czy są jakieś propozycje do natychmiastowej realizacji?

–Tak. Poczekać na przyjazd wiceprezydenta.

–Wiceprezydent to gamoń. Wie pan o tym równie dobrze jak ja.

Wszyscy to wiedzą.

–A jednak tylko on może nas upoważnić do podjęcia działań, na jakie w końcu się zdecydujemy. Myślę też, że powinniśmy poczekać na uwolnienie Miliona, Quarry'ego i Hendrixa i naradzić się z nimi.

–O ile ich zwolnią.

–Hendrix jest o tym przekonany, a on zna Bransona znacznie lepiej niż my. Poza tym Branson musi z kimś pertraktować. – Wziął do ręki kartkę z wiadomością od Revsona, która właśnie nadeszła z pokładu "New Jersey". – . Co pan o tym sądzi?

Hagenbach odebrał notatkę i głośno odczytał jej treść.

–Proszę czekać. Żadnych pochopnych działań. Za wszelką cenę

unikajcie przemocy. Pozwólcie mi ocenić sytuację. Nie mogę korzystać z nadajnika; bandyci mają stale włączony automatyczny radiopelengator. Skontaktuję się po południu.

Hagenbach odłożył kartkę.

–Prawdę mówiąc, sporo tego.

–Jaki jest ten pański Revson? – zapytał Carter.

–Bezwzględny, arogancki, niezależny, nie lubi się podporządkowywać. To samotnik, który radzi się przełożonych tylko w razie konieczności, a i wtedy działa na własną rękę.

–Nie brzmi to zbyt zachęcająco – stwierdził Newson. – Co taki postrzeleniec robi w tym towarzystwie?

–Nie jest postrzelony. Działa z rzadko spotykanym opanowaniem. Zapomniałem też nadmienić, że jest wysoce inteligentny, bardzo pomysłowy i niezwykle zaradny.

–A zatem to człowiek specjalnie wybrany? – spytał Newson.

Hagenbach skinął głową. – Wybrany przez pana? – Ponowne potwierdzenie. – A więc jest najlepszy w firmie?

–Trudno powiedzieć. Wie pan, jak duża jest nasza organizacja. Nie mogę znać wszystkich lokalnych agentów. Jest po prostu najlepszym z tych, których znam.

–Czy jest dość dobry, aby stawić czoło Bransonowi?

–Nie wiem, bo nie znam Bransona. Jedno jest pewne: tym razem Revson będzie musiał liczyć na znaczną pomoc z zewnątrz.

–W głosie Hagenbacha brzmiała nuta satysfakcji.

-,Jak on, do diabła, zamierza skontaktować się z nami po

południu? – spytał Carter.

–Nie mam pojęcia. – Hagenbach wskazał notatkę od Revsona.

–To udało mu się przemycić, prawda? – Na chwilę zapanowało milczenie, gdy admirał i generał z szacunkiem przyglądali się kartce z wiadomością. – Czy któryś z panów wpadłby na ten pomysł?

–Pokręcili głowami. – Ja też nie. Jak powiedziałem, jest zaradny.

Branson przechadzał się po moście między ostatnim autobusem

a autobusem prezydenta. Nieokazywał wcale zdenerwowania,

żadnych oznak przemęczenia czy napięcia, jakby wybrał się na

spacer dla przyjemności w popołudniowym słońcu. A popołudnie

było rzeczywiście niezwykle. Pejzaż pod bezchmurnym niebem

pochodził jakby wprost z kart baśni, a wody cieśniny i zatoki

skrzyły się w ciepłe słońca. Nasyciwszy się widokiem, Branson

spojrzał na zegarek, ruszył bez pośpiechu w stronę autobusu

prezydenta, zapukał do drzwi, otworzył je i wszedł do środka.

Przyjrzał się obecnym. Gwar głosów umilkł.

–Czy podjęliście, panowie, jakąś decyzję? – zapytał uprzejmie.

Nie było odpowiedzi. – Czy mam zatem rozumieć, że znaleźliście się w impasie?

Prezydent opuścił rękę, w której trzymał dużą szklankę dodające-

go mu sił ginu z martini.

–Potrzebujemy więcej czasu, żeby się naradzić.

–Wykorzystaliście już, panowie, cały czas, jaki był do dyspozy-

cji. Moglibyście przesiedzieć tu cały dzień i do niczego nie dojść.

Gdybyście byli mniej fałszywi, a równocześnie bardziej otwarci na realia życia, uznalibyście, że to banalnie prosta sprawa. Płacicie albo... I nie. zapominajcie o dodatku za zwłokę.

–Mam propozycję – odezwał się prezydent.

–Możemy posłuchać.

–Niech pan zwolni króla, księcia i szejka Kharana. Ja pozostanę jako zakładnik. Sytuacja się nie zmieni. Będzie pan nadal miał w swoich rękach prezydenta Stanów Zjednoczonych. Właściwie nie widzę powodów, by nie mógł pan wypuścić z tego autobusu wszystkich zakładników. –

Branson wyraził swój podziw.

–Wielki Boże, cóż za wspaniałomyślny gest! Szlachetny, należałoby powiedzieć. Tak, niech pan tak postąpi, a wyborcy zaczną się domagać zmiany w Konstytucji, aby ich bohater mógł ubiegać się o trzy następne kadencje zamiast jednej. – Uśmiechnął się i mówił dalej tym samym tonem. – Nie ma mowy, panie prezydencie. Nie mówiąc już o tym, że drzę na samą myśl o pańskiej obecności w Białym Domu przez następnych trzynaście lat, zawsze marzyłem o rozdaniu z czterema asami. Mam tu całą czwórkę. Jeden mi nie wystarczy. Czy nie przyszło panu do głowy, że gdyby pozostał pan jedynym zakładnikiem na moście, rząd, w osobie wiceprezydenta, któremu marzy się miejsce za stołem w owalnym gabinecie – mógłby ulec pokusie, by zasłużyć na wieczną chwałę, zdmuchując z powierzchni ziemi okrutną bandę

kryminalistów, którzy porwali pana i pańskich arabskich przyjaciół?

Nie byłoby to, oczywiście, nic ha wielką skalę. Ktoś, kto zniszczyłby most, musiałby pożegnać się z prezydenturą... Wystarczyłby w zupełności pojedynczy ponaddzwiękowy myśliwiec z Alamedy. A gdyby jedna z jego rakiet zboczyła nieco z kursu – no cóż, byłby to czysty pech, wola boża i błąd pilota.

Spora porcja ginu z martini prezydenta wylała się na dywan.

Branson spojrzął kolejno na Quarry'ego, Milтона i Hendrixa, powiedział "proszę panów" i wyszedł z autobusu. Trzej mężczyźni poszli za nim. Prezydent starał się na nich nie patrzeć. Wyglądało na to, że dostrzegł coś ogromnie interesującego na dnie pustej już niemal szklanki.

Gdy byli na zewnątrz, Branson powiedział do Van Effena:

–Srowadź tu jeszcze raz wóz transmisyjny i ekipę telewizji. Dopilnuj, żeby powiadomiono wszystkie sieci.

Van Effen skinął głową. – Nie powinien pan trzymać całego narodu w takiej denerwującej niepewności. Dokąd pan jedzie?

–Na południowy koniec mostu z tymi trzema panami.

–Jako eskorta? Czyżby nie wierzyli słowu dżentelmena?

–Nie w tym rzecz. Chcę sprawdzić, jak postępuje praca przy zaprze. Oszczędzę sobie chodzenia.

Czterej mężczyźni wsiedli do wozu policyjnego i odjechali.

Revson, ciągle sam w wozie prasowym, obserwował ich odjazd, po czym zajął się znowu trzema niewielkimi kartkami, które miał na

kolanach. Każda z nich była mniejsza od zwykłej pocztówki, a wszystkie były starannie zapisane drobnym niezrozumiałym szyfrem. Revson nastawił ostrość w aparacie i trzykrotnie sfotografował każdą kartkę. Zawsze wolał się zabezpieczyć. Potem spalił kolejno wszystkie notatki i rozkruszył zwęglone resztki w popielniczce. Był to specjalny papier, który płonąc nie wydzieliał dymu. Następnie wyjął film z aparatu i opakował w cieniątką folię. Zgodnie z obietnicą, O'Hare miał otrzymać przedmiot nie większy niż połówka papierosa.

Włożył do aparatu nową rolkę i wyszedł na zewnątrz. Atmosfera napięcia i podniecenia wyraźnie narastała.

–Coś nowego? – spytał pierwszego z brzegu dziennikarza. Rzecz jasna, nie znał bliżej nikogo z obecnych.

–Branson zażyczył sobie znowu wozu transmisyjnego.

–Wie pan, po co?

–Nie mam pojęcia.

–Pewnie nic ważnego. Może zawsze rwał się do występów w telewizji. Może po prostu chce wyrzucić nacisk na Amerykanów i rząd.

Także na rządy krajów arabskich, bo tym razem włączą się do akcji trzy wielkie sieci telewizyjne. Postawią w stan gotowości satelity i całą Zatokę Perską...Szefom wielkich sieci z trudem przyjdzie ronić krokodyla nad losem ukochanego prezydenta i nie skakać równocześnie z radości. Największe widowisko świata, i to za darmo! Kto wie, czy Branson nie da nocnego przedstawienia o drugiej nad ranem?

Revson zrobił jeszcze z tuzin zdjęć. Było mało prawdopodobne, by

ktokolwiek odkrył, że klisza jest pusta, ale jak wiadomo Revson zawsze się zabezpieczał. Potem udał się, jakby od niechcienia, do miejsca, gdzie O'Hare stał oparty o sanitarkę, i wyjął z paczki papierosa.

–Ma pan ogień, doktorze?

–Proszę. – O'Hare wyciągnął zapalniczkę i zapalił ją. Osłaniając płomień rękami przed lekkim wiatrem, Revson wsunął rolkę w dłoń O'Hare.

–Dziękuję, doktorku. – Powoli rozejrzał się wokół. Nikt nie mógł ich usłyszeć. – Jak szybko pan to schowa?

–W ciągu minuty. Mam już miejsce.

–Za dwie minuty zgłosi się do pana pacjentka.

O'Hare wszedł do sanitarki. Revson udał się tymczasem bez pośpiechu na środek mostu, gdzie pomna swej roli stała samotnie April Wednesday. W normalnych warunkach byłoby jej trudno to osiągnąć. Spojrzała na niego, zwilżyła wargi i próbowała się uśmiechnąć. Nie wyszło to przekonywająco.

–Kim jest ten budzący zaufanie facet przy masce sanitarki?

–To Grafton z United Press. Miły gość.

–Proszę iść i wdzięcznie omdleć na jego rękach. Przede wszystkim ostrożność. Unikajmy zbędnego zamieszania. Najpierw niech mi pani pozwoli przejść na drugą stronę mostu. Kiedy się pani rozchoruje, chcę być w bezpiecznej odległości.

Po dotarciu na drugą stronę Revson odwrócił się i spojrzął za siebie.

April podążała już w kierunku karetki. Szła trochę niepewnie, ale nie rzucało się to w oczy. Pomyślał, że jeśli nawet jest przerażona – bo niewątpliwie była – to nieźla z niej aktorka.

Była o jakieś pięć metrów od Graftona, gdy ten ją dostrzegł, a raczej gdy zwróciła na siebie jego uwagę. Obserwował jej nieco chwiejny chód z zainteresowaniem, które szybko przerodziło się w zaniepokojenie. Błyskawicznie zrobił dwa kroki do przodu i złapał ją za ramiona. Oparła się o niego z wdzięcznością, zaciskając usta i oczy jakby z bólu.

–April – odezwał się. – Co ci jest, dziewczyno?

–Strasznie boli. Właśnie mnie chwyciło. – Mówiła ochryplym głosem, trzymając się obydwoma rękami za bok. – To wygląda na atak serca.

–Skąd możesz wiedzieć? – spytał rozsądnie Grafton uspokajającym tonem. – W każdym razie nie masz serca z prawej strony brzucha. Nie zrozum mnie źle, ale szczęściara z ciebie. – Wziął ją mocno pod ramię.

–O pięć metrów stąd jest lekarz.

Revson przyglądał się z drugiej strony mostu, jak znikają za sanitarką. Na ile zdołał się zorientować, nikt poza nim nie zauważył tej krótkiej sceny. –

Branson wracał bez pośpiechu z inspekcji gotowej w połowie południowej zapory, najwyraźniej zadowolony z postępu robót. Dotarł do ostatniego autobusu i wskoczył na miejsce obok Chryslera.

–Jakieś nowe sensacje?

–Nie, panie Branson. To zaczyna być monotonne i nudne. Może pan tego posłuchać albo dostać stenogram, jeśli pan chce, ale szkoda fatygi.

–Pewnie masz rację. Powiedz mi sam.

–Mogę wyłączyć, panie Branson? Ich naprawdę nie warto słuchać.

–Nigdy nie było warto. No więc?

–Ciągłe to samo. Chodzi o pieniądze. Wciąż się kłóca.

–Ale mają zamiar zapłacić?

–Jak najbardziej. Chodzi tylko o to, czy zapłacić od razu, czy zyskać na czasie. Ostatnie badania opinii wykazują cztery głosy za, dwa wstrzymujące się i dwa przeciw. Król, książę i Kharan są za tym, żeby dać pieniądze natychmiast, chodzi, rzecz jasna, o pieniądze ze skarbu państwa. Burmistrz Morrison podziela ten pogląd.

–To zrozumiałe. W ciągu godziny zapłaciłby miliard dolarów, żeby zagwarantować bezpieczeństwo swego ukochanego mostu.

–Cartland i Muir nie mają żadnych preferencji, tyle tylko, że generał chce walczyć do upadłego. Prezydent i Hansen są zdecydowanie przeciwni natychmiastowej wypłacie.

–To także zrozumiałe. Hansen nigdy w życiu nie podjął żadnej decyzji, a prezydent chciałby ją wiecznie odwlekać, licząc na cud i mając nadzieję, że ocali twarz i swój obraz w społeczeństwie, że uratuje kraj od straty pięciuset milionów, za którą, słusznie czy nie, musiałby pewnie odpowiadać. Dajmy im podusić się we własnym sosie. – W drzwiach stanął Peters, więc Branson odwrócił się. – Coś

nie w porządku?

–Nic ważnego, sir. Doktor O'Hare ma chyba jakiś trudny przypadek. Chciałby natychmiast pana widzieć.

Po wejściu do sanitarki Branson zastał April na składanym łóżku.

Była blada jak ściana. Miała dyskretnie obnażony brzuch na wysokości przepony. Branson nie przepadał szczególnie za towarzystwem ludzi chorych, a tu przyszło mu niewątpliwie zetknąć się z taką osobą. Spojrzał pytająco na O'Hare.

–Ta młoda dama jest poważnie chora, panie Branson – powiedział lekarz. – Trzeba ją natychmiast odwieźć do szpitala.

–Co się stało?

–Niech pan spojrzy na jej twarz.

Twarz miała rzeczywiście szarą barwę, co dało się łatwo uzyskać, stosując bezwonny talk.

–Proszę obejrzeć jej oczy.

Miała zamglony wzrok i znacznie powiększone źrenice. Tak po-działał pierwszy z dwóch zastrzyków, jakie zaaplikował jej O'Hare.

Nie można zresztą zapominać, że oczy miała z natury dość duże.

–Niech pan zbada jej puls.

Branson niechętnie podniósł szczupłą dłoń i niemal natychmiast ją puścił.

–Bardzo przyspieszony. – Rzeczywiście tak było. O'Hare okazał się chyba tym razem zbyt sumienny. Wchodząc do sanitarki April. miała już tak przyspieszone tętno, że drugi zastrzyk był niepotrzebny.

–Chciałby pan sprawdzić, jak nabrzmiały jest prawy bok?

–Nie, dziękuję. – Branson powiedział to z przekonaniem.

–To może być wyrostek. Może zapalenie otrzewnej. Objawy się zgadzają. Nie mam jednak odpowiedniego sprzętu diagnostycznego, aparatu rentgenowskiego ani możliwości operowania brzucha. No i nie ma tu, rzecz jasna, anestezjologa. Trzeba do szpitala, i to cholernie szybko!

–Nie! – April usiadła na łóżku przerażona. – Nie! Tylko nie do szpitala! Potną mnie na kawałki! Operacja? Nigdy w życiu nie byłam w szpitalu!

O'Hare ścisnął -mocno jej ramiona inie siląc się na delikatność zmusił, by się położyła.

–A jeśli to nic poważnego? Jeśli to tylko ból brzucha czy coś w tym rodzaju? Pan Branson nie pozwoli mi wrócić. Taka życiowa okazja. Boję się!

–To coś więcej niż ból brzucha, panienko – powiedział O'Hare.

–Będzie pani mogła wrócić – odezwał się Branson. – Ale pod warunkiem, że zrobi pani to, co lekarz i ja zalecimy. – Wskazał głową na drzwi i wyszedł z sanitarki. – Jak pan sądzi, co jej naprawdę jest?

–Lekarz nie ma obowiązku rozmawiać o pacjentach z laikami.

–O'Hare najwyraźniej tracił cierpliwość. – Coś panu powiem, Branson. Jeżeli pan pryśnie z pół miliardem dolarów, zostanie pan pewnie ludowym bohaterem. To już się zdarzało, choć przyznam, że nie na taką Skalę. Ale jeśli ta dziewczyna umrze dlatego, że odmówił jej pan

pomocy lekarskiej, stanie się pan najbardziej znienawidzonym człowiekiem w/ Ameryce. Nie spoczną, póki pana nie dopadną. Przede wszystkim CIA wszędzie pana odnajdzie. A oni nie będą sobie zawracali głowy, żeby wytaczać panu proces.

Branson nie okazywał zniecierpliwienia.

–Nie musi mi pan grozić, doktorze – powiedział łagodnie. – Otrzyma pomoc lekarską. Ja tylko grzecznie proszę o informację.

–W zaufaniu? – Branson przytaknął. – Nie trzeba być lekarzem, żeby stwierdzić, że dziewczyna jest poważnie chora. Ale są różne choroby. Czy to wyrostek albo zapalenie otrzewnej? Nie sądzę. To pobudliwe, uczuciowe, żyjące w ciągłym napięciu dziewczę. W stresującej sytuacji, jaką, tu mamy, mógł u niej powstać szok emocjonalny albo zaburzenia psychosomatyczne, które dają obserwowane objawy. Rzadko się to zdarza, ale jednak. Istnieje w medycynie tak zwany zespół Malthusa, stan, w którym człowiek może siłą woli wywołać u siebie – czy też udać, jeśli tak chce pan to określić objawy nie istniejącej choroby. W naszym przypadku tak nie jest. O ile się nie mylę, jest to niezależne od woli. Niech mnie pan jednak zrozumie – nie mogę ryzykować. Niewykluczone, że będzie jej potrzebna szczegółowa diagnoza lekarska albo badania psychiatryczne. W pierwszym przypadku poradziłbym sobie sam, ale potrzebuję szpitalnego sprzętu. W drugim nic nie pomogę – nie jestem psychiatrą. Tak czy inaczej, muszę jechać do szpitala. Tracimy tylko czas,

–Nie zatrzymam pana długo. Pozwoli pan, że przeszukamy sa-

nitarkę?

–Po jakiego diabła? – O'Hare wpatrywał się w niego. – Co ja tu mogę mieć? Zwłoki? Narkotyki? No cóż, prawdę mówiąc, narkotyków, jest sporo. Czy mogę wywozić stąd coś, czego nie miałem ze sobą? Jestem lekarzem, a nie agentem FBI:

–W porządku. Jeszcze jedno pytanie. Czy może towarzyszyć panu strażnik, jako nasz obserwator?

–Choćby i pół tuzina strażników. Tyle że cholernie mało zdołają zaobserwować!

–Co chce pan przez to powiedzieć?

–To, że Harben, szef chirurgii, dba o swój oddział jak o noworodka. Miałby w nosie pana i ten most. Gdyby któryś z pańskich ludzi próbował dostać się siłą do przedsionka sali operacyjnej, w dziesięć minut zmobilizowałyby tuzin strzelców wyborowych. Nie żartuję. Widziałem go w akcji.

–A więc nie ma o czym mówić. To bez znaczenia.

–Jedna istotna kwestia. Zechce pan poprosić telefonicznie o przygotowanie sali operacyjnej i przysłanie doktora Hurona.

–Doktora Hurona?

–To profesor psychiatrii.

–W porządku. – Branson uśmiechnął się nieznacznie. – Wie pan, że trasę przejazdu prezydenta wytycza się zawsze w ten sposób, żeby do najbliższego szpitala można było dotrzeć w ciągu paru minut? Na wszelki wypadek. To ułatwia sprawę, prawda?

–Bardzo. – O'Hare zwrócił się do kierowcy. – Niech pan włączy syrenę.

Po drodze do południowej wieży sanitarka minęła jadący w przeciwną stronę wóz transmisyjny i ciężarówkę z generatorami. Kamerzyści, fotoreporterzy i dziennikarze zaczęli natychmiast wracać tam, gdzie raz już miał miejsce przekaz telewizyjny. Niektórzy byli tak przejęci wydarzeniami, że tracili taśmę na filmowanie nadjeżdżającej ciężarówki, jakby było to coś niespotykanego.

Revson nie dał się unieść tej fali. Poszedł w przeciwnym kierunku i wrócił na swoje miejsce w pustym wozie prasowym. Odkręciwszy pokrywę od podstawy aparatu wyjął miniaturowy nadajnik i wsunął go do bocznej kieszeni. Potem sięgnął do torby i włożył w opróżnione miejsce zapasowy film. Zakładając z powrotem pokrywę uświadomił sobie nagle, że ktoś go obserwuje. Spojrzał w górę. Niebieskie oczy, jasne włosy, głowa o kształcie przypominającym kostkę cukru i uśmiech bez wyrazu. Revson ufał temu uśmiechowi tak samo, jak wierzył w świętego Mikołaja. Człowiek, którego Branson mianował swoim zastępcą, musiał być kimś nieprzeciętnym.

–Pan Revson, prawda?

–Zgadza się. Pan jest Van Effen, jak sądzę?

–Tak. Czemu nie poszedł pan z innymi, żeby uwiecznić dla potomności tę historyczną chwilę?

–Po pierwsze, nie ma jeszcze czego uwieczniać. Po drugie, wielkie oko kamery telewizyjnej może przysłużyć się potomności o niebo

lepiej niż ja. Po trzecie – proszę wybaczyć to banalne określenie – mnie interesuje tak zwany ludzki aspekt sprawy. Po czwarte, wolę nie zmieniać filmu przy świetle.

–Ma pan niezwykły aparat.

–To prawda. – Revson pozwolił sobie na uśmiech drobnego posiadacza, co wypadło dość głupio. – Ręczna robota. Szwedzki.

Rzadki okaz. Jedyne na świecie aparat, który robi zdjęcia kolorowe i czarno-białe, a równocześnie jest kamerą filmową.

–Mogę obejrzeć? Trochę się na tym znam.

–Oczywiście. – Revsonowi przemknęło przez myśl, że zasilana z akumulatorów klimatyzacja w autobusie nie spisuje się za dobrze.

Van Effen obejrzał aparat okiem znawcy. Na pozór przypadkowo dotknął ręką spężynującego przycisku u podstawy. Kilkanaście kaset i rolek wypadło na fotel obok Revsona.

–Proszę o wybaczenie. Chyba jednak nie znam się na tym aż tak dobrze. – Odwrócił aparat i popatrzył z podziwem na schowek w podstawie. – Bardzo pomysłowe. – Revsona paliła świadomość, że ukryty nadajnik wypycha mu nieco boczną kieszeń. Tymczasem Van Effen starannie włożył z powrotem kasety i rolki, zamknął pokrywę i oddał mu aparat. – Proszę wybaczyć moją ciekawość.

–Cóż, przynajmniej na ostatnich zajęciach czegoś się pan nauczył.

–To zawsze widać. – Van Effen obdarzył go bezbarwnym uśmiechem i odszedł.

Revson nie otarł potu z czoła, gdyż gest ten obcy był jego naturze.

Gdyby miał taki zwyczaj, z pewnością by to zrobił. Zastanawiał się, czy Van Effen spostrzegł dwa małe sprężynowe zaciski w podstawie aparatu. Chyba tak. Czy pojął ich znaczenie? Zapewne nie. Mogły służyć do mocowania jakichkolwiek wymyślnych akcesoriów.

Revson obrócił się w fotelu. Zakładnicy opuszczali właśnie swój autobus. Prezydent robił, co mógł, by jego gniewne oblicze nabrało spokojnego, stanowczego i godnego wyglądu. Spostrzegłszy, że nawet Van Effen obserwuje wychodzących, Revson wysiadł z autobusu przez drzwi po prawej stronie, niewidoczny dla widzów i uczestników wydarzeń. Oparł się łokciami, jakby zamyślony, o balustradę, po czym otworzył prawą dłoń, w której trzymał nadajnik. Czytał kiedyś, że przedmiot spadający z tego mostu z przyspieszeniem niecałych dziesięciu metrów na sekundę lądował w wodzie w ciągu zaledwie trzech sekund. Teraz miał poważne wątpliwości, czy osoba odpowiedzialna za te dane potrafiła liczyć. Nikt niczego nie zauważył. Revson raz jeszcze zaasekurował się na wszelki wypadek.

Cicho i bez pośpiechu wrócił do autobusu, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Po chwili pojawił się, o wiele mniej dyskretnie, w drzwiach po przeciwnej stronie. Van Effen odwrócił głowę, niewyraźnie się uśmiechnął i ponownie zajął się oglądaniem cyrkowego przedstawienia.

Tak jak poprzednio, Branson doskonale wszystko zaaranżował.

Zakładnicy i dziennikarze siedzieli na swoich miejscach, operatorzy i fotoreporterzy zajęli dogodne pozycje. Była jednak pewna drobna,

ale istotna różnica w stosunku do poprzedniego wystąpienia. Branson dysponował teraz nie jedną, ale dwiema kamerami telewizyjnymi.

Spokojny, rozluźniony i jak zwykle pewny siebie bez zbędnych ceregie-
li kontynuował swą wojnę psychologiczną. Był nie tylko urodzonym
generałem i reżyserem. Z nie mniejszym powodzeniem mógł być sze-
fem programu telewizyjnego. Swoją podzielną uwagą obejmował na
równi obiektywy kamer, jak i siedzące obok niego postacie. Po cał-
kiem zbędnej prezentacji samego siebie, prezydenta, króla i księcia,
zaczął – o dziwo – od wzmianki na temat kamer.

–Mamy tu tym razem dwie kamery telewizyjne. Jedna pokazuje
dostojne osobistości, na które właśnie państwo patrzycie, druga zwró-
cona jest w przeciwną stronę, na południe, czyli w kierunku nabrzeża
San Francisco. Ta druga kamera ma teleobiektyw, który z odległości
ponad pół kilometra pokazuje obraz tak wyraźny, jakby odległy był
zaledwie o trzy metry. Ponieważ nie widać dziś ani śladu mgły, po-
winna spisywać się znakomicie. Oto, do czego służy.

Branson zdjął brezentową osłonę z dużej, prostokątnej skrzyni, po
czym z mikrofonem w ręce zajął specjalnie zarezerwowane miejsce
obok prezydenta. Wskazał na przedmiot, który właśnie odsłonił.

–To ukłon w stronę naszych gości. Całkiem niezły kolorowy te-
lewizor. Trudno o coś lepszego. Oczywiście, produkcji amerykańskiej.
Prezydent musiał zabrać głos. Jakby nie było, patrzyła na niego
większość tak zwanego cywilizowanego świata. Odezwał się z głębo-
kim sarkazmem i chłodną niechęcią w głosie:

–Idę o zakład, że go pan nie kupił, Branson.

–To bez znaczenia. Rzecz w tym, że nie chcę, aby pan i pańscy goście czuli się jak upośledzeni obywatele niższej kategorii. Cały świat zobaczy dokładnie, jak mocujemy pierwszy ładunek do jednej z lin przy południowej wieży. Sądzę, że pozbawienie panów tego przywileju byłoby niesprawiedliwością. Bądź co bądź nawet najbystrzejsze oko nie mogłoby podziwiać kunsztu tej operacji z odległości ponad sześćset metrów i na wysokości z górą stu pięćdziesięciu. Ale ta skrzynka pokaże panom wszystko, co chcecie zobaczyć...- Branson uśmiechnął się. – Albo czego nie chcecie widzieć. A teraz proszę zwrócić uwagę na pojazd, który wyjeżdża po pochylni z ostatniego autobusu.

Wszyscy spojrzeli we wskazaną stronę. To, co ujrzeli, widać było także na ekranie stojącego przed nimi odbiornika. Pojazd wyglądał jak niekompletny, zminiaturyzowany wózek golfowy. Miał własny, cichy napęd, najwidoczniej elektryczny. Kierujący nim Peters stał na niewielkim mostku z tyłu, tuż nad akumulatorami. Przed nim leżał na płaskim, stalowym podeście duży zwój bardzo cienkiej liny, a na samym przedzie mieściła się niewielka, dwubębnowa wciągarka. Peters zatrzymał pojazd u stóp pochylni. Z tylnej części autobusu wyszło czterech mężczyzn. Dwaj pierwsi dźwigali najwyraźniej bardzo ciężki brezentowy pas z materiałem wybuchowym, podobny do tego, jaki Branson demonstrował wcześniej w telewizji. Zachowując dużą ostrożność położyli go obok liny na podeście pojazdu. Pozostali dwaj mężczyźni nieśli przedmioty o długości około dwóch i pół metra:

bosak oraz stalowy dźwigar dwuteowy z nakrętkami motylkowymi na jednym końcu i przymocowanym blokiem na drugim.

–To nasze narzędzia pracy – stwierdził Branson. – Powinniście się państwo domyślać, do czego służą, ale tak czy inaczej wyjaśnimy wam to, gdy je zastosujemy. Szczególnie ciekawe są dwie rzeczy: materiały wybuchowe i lina. Ten pas ma trzy metry długości i zawiera trzydzieści "uli" z silnym ładunkiem, każdy o wadze ponad dwóch kilogramów.

Lina długości czterystu metrów wydaje się – i faktycznie jest – cieńsza niż przeciętny sznur od bielizny. Ponieważ jednak wykonano ją z nylonu zbrojonego stalowym drutem, wytrzymuje obciążenie trzystu sześćdziesięciu kilogramów, a więc dokładnie pięć razy więcej niż nam potrzeba. – Dał znak Petersowi, który skinął głową, ujął kierownicę i odjechał w kierunku południowej wieży. Branson spojrzał wprost w obiektyw kamery i powiedział:

–Chciałbym poinformować osoby nie zorientowane, a z wyjątkiem mieszkańców San Francisco jest takich wiele, że te oto wieże nie stanowią bynajmniej monolitu. – Na ekranie stojącego przed nim telewizora i w niezliczonych milionach odbiorników na całym świecie ukazało się wyraźne zbliżenie południowej wieży: – Ich szkielet tworzą stalowe boksy zwane komorami, o wielkości budki telefonicznej, ale dwukrotnie wyższe. Zespolono je nitami i połączono za pomocą włązów. Każda wieża składa się z ponad pięciu tysięcy takich komór. Są w nich windy i drabiny, których łączna długość jest imponująca: trzydzieści siedem kilometrów!

Sięgnął pod krzesło i wyjął stamtąd książkę.

–Zgodzicie się, panowie, że ktoś niedoświadczony z łatwością mógłby się zgubić w tym labiryncie. W trakcie budowy Złotych Wrót dwaj ludzie spędzili kiedyś całą noc w północnej wieży, próbując z niej wyjść. Nawet Joseph Strauss, projektant i budowniczy mostu, potrafił zupełnie stracić tam orientację. Właśnie dlatego opracował informator, w którym na dwudziestu sześciu stronach poucza inspektorów nadzoru, jak nie zgubić się wewnątrz wież. Oto egzemplarz, który miałem szczęście zdobyć.

W tej chwili dwaj moi ludzie dotarli – albo właśnie się zbliżają – do szczytu wschodniej wieży, tej od strony zatoki. Każdy z nich ma egzemplarz informatora, choć właściwie nie są im potrzebne, bo korzystają z windy. Niosą tylko siedmiokilogramowy bagaż. Wkrótce przekonacie się, w jakim celu. Proszę teraz o pokazanie przejazdu wózka.

Teleobiektyw kamery posłusznie się obniżył i zatrzymał na Petersie, który jechał wzdłuż zakazanej strony mostu. Widzieli, jak zwolnił i zatrzymał się niemal dokładnie przed najniższym z czterech masywnych wsporników południowej wieży.

–Proszę obraz z góry – powiedział Branson.

I znów teleobiektyw kamery pokazał wieżę po stronie zatoki i skoncentrował się na łożysku, czyli zaokrąglonej stalowej podstawie, na której spoczywała lina. Niemal natychmiast pojawiło się tam dwóch ludzi. Obserwatorzy stojący na moście widzieli tylko maleńkie po-

stacie, telewidzowie mieli je w zbliżeniu.

–Według instrukcji i zgodnie z rozkładem – oznajmił z satysfakcją Branson. – W tych sprawach grunt to koordynacja. Ośmielam się twierdzić, że nawet jeden człowiek na dziesięć tysięcy nie chciałby się znaleźć tam, gdzie są teraz ci dwaj ludzie. Prawdę mówiąc, mnie to także nie nęci. Jeden fałszywy krok i można spaść dwieście dwadzieścia pięć metrów w dół. To potrwałoby tylko siedem sekund, ale uderzenie o wodę przy prędkości dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę to tyle, co upadek na beton. Ci dwaj są tam jednak równie bezpieczni, jak państwo w kościelnej ławce. Nazywają ich "ludźmi-pająkami", To robotnicy, których widzicie na dźwigarach na wysokości trzystu metrów ponad ulicami Nowego Jorku czy Chicago, gdy budują nowy wieżowiec.

Kamera znów pokazała Petersa, który wyciągnął pistolet o nienormalnie długiej lufie z szerokim wylotem, szybko wymierzył ku górze i strzelił. Ani kamera, ani ludzkie oko nie były w stanie odnotować typu wystrzelonego pocisku. Jednak już w cztery sekundy później kamera pokazała, że Bartlett, jeden z ludzi znajdujących się obok łożyska, trzyma pewnie w rękach zieloną żyłkę. Zwijał ją sprawnie. Na końcu żyłki był blok na skórzanym rzemieniu, przymocowany z kolei do jednego z końców liny. W dwie i pół minuty później Bartlett miał linę w rękach.

Trzymał ją mocno, gdy tymczasem Boyard, jego współnik, odwiązał żyłkę i blok. Bartlett zwinął jeszcze około trzy i pół metra żyłki, odciął

ten kawałek nożem i wręczył Boyardowi, który przymocował jeden koniec do wspornika, a drugi do pasa bloku. Linę przeciągnięto następnie przez blok, przez otwór w jego górnej części, do ołowianego ciężarka w kształcie gruszki, który mężczyźni przynieśli ze sobą. Potem i ciężarek, i lina, puszczone luzem, znalazły się szybko z powrotem na poziomie mostu.

Peters pochwycił ciężarek, rozsuptał węzeł mocujący linę, ale jej nie zdjął, lecz przeciągnął przez blok w stalowym dźwigarze i pierścień na końcu bosaka, po czym wszystko razem związał. Drugi koniec liny okręcił kilkakrotnie wokół jednego z bębnow wciągarki i włączył elektryczny silnik.

Wciągarka, choć niewielka, pracowała z dużą mocą i prędkością.

W niecałe półtorej minuty przeniosła ciężar z mostu na łożysko.

Z północy wiał lekki wiatr, zdecydowanie chłodny na większej wysokości. Posuwając się ku górze zawieszony na linie ciężar wyraźnie się kołysał i uderzał, chwilami dość mocno, w kolejne wsporniki. Peters, najwidoczniej tym nie przejęty, wpatrywał się w Bartletta. Kiedy ładunek dotarł na górę, Bartlett pomachał ręką. Peters zwolnił obroty bębna, Bartlett uczynił powolny gest ręką ku górze, po czym dał znak do zatrzymania wciągarki. Zrobiwszy to Peters odkręcił linę i pozostawił na bębnie tylko pojedynczy zwój.

Bartlett i Boyard ściągnęli stalowy dźwigar i bosak, odwiązali je razem z ołowianym ciężarkiem, przeciągnęli linę przez blok i ponownie założyli ciężarek. Potem wystawili dźwigar na odległość oko-

ło dwóch metrów i przymocowali jeden z jego końców do -wspornika, maksymalnie dokręcając motylkowe zaciski. Na znak Bartletta Peters zdjął z bębna ostatni zwój. Ciężarek i lina błyskawicznie opadły na dół.

Dwie minuty później lina znów pięła się do góry. obciążona dla odmiany brezentowym pasem z materiałami wybuchowymi, który zwisał na całą długość, przymocowany z jednej strony dwiema ciężkimi, metalowymi klamrami. Tym razem Peters zachowywał dużą ostrożność. Bęben poruszał się bardzo wolno, chwilami nawet całkiem stawał.

–Pański dźwigowy stara się nie dopuścić do kołysania? – nie omieszkał zapytać Bransona generał Cartland.

–Tak. Nie chcemy, żeby pas z ładunkami uderzył w któryś ze wsporników.

–Jasne. Zapomniałem, że zapalniki z piorunianem rtęci są wyjątkowo czułe.

–Zapalniki Bartlett ma w kieszeni. Spłonki bywają jednak równie wybuchowe. Dlatego właśnie mamy u góry ten długi dźwigar – daje nam więcej przestrzeni. Poza tym, nawet od dwóch silnych mężczyzn trudno wymagać, aby wciągnęli pionowo na wysokość ponad stu pięćdziesięciu metrów ciężar siedemdziesięciu kilogramów – nie czterdziestu pięciu, jak pan oceniał, generale.

Obserwowali jak ładunek bezpiecznie dociera do drugiego szczytowego wspornika.

–A więc jeden pas tam, jeden na przeciwległej linie, a dwa pozostałe przy północnej wieży? – zapytał Cartland.

–Nie, zmieniliśmy zdanie. Podejrzewamy, że liny nośne mogą być znacznie wytrzymalsze niż w testowanym przez nas modelu. Proszę nie zapominać, że pod tą stalową powłoką jest ponad dwadzieścia siedem tysięcy splecionych drutów. – Zamierzamy więc zastosować wszystkie cztery pasy z ładunkami przy południowej wieży, po dwa na każdą linę. W ten sposób nie będzie cienia wątpliwości. A skoro południowy koniec mostu runie do wody, można chyba oczekiwać, że to samo stanie się z północnym. Nie zdołaliśmy określić, czy północna wieża także się zawali, ale wydaje się to niemal pewne – proszę pamiętać, że przejmie wówczas znaczną część ciężaru przęsła o długości tysiąca dwustu sześćdziesięciu metrów.

Van Effen zrobił szybko dwa kroki do przodu i odbezpieczył swój pistolet maszynowy. Burmistrz Morrison, który właśnie wstawał z krzesła, opadł wolno na miejsce, ale pięści miał nadal mocno zaciśnięte, a jego oczy pały wściekłością.

Tymczasem Bartlett i Boyard dosięgnęli bosakiem liny i powoli, ostrożnie, ale bez szczególnych trudności ciągnęli ładunki w swoją stronę. Wkrótce lina znalazła się poza zasięgiem teleobiektywu kamery. Zaraz potem zniknął z pola widzenia także Bartlett. Widać było tylko jego głowę i ramiona.

–Montują zapalniki? – zapytał Cartland. – Branson przytaknął, a Cartland wskazał na położony najbliżej nich odcinek liny. W tym

miejscu, w centralnej części mostu, zwisała tak nisko, że była niemal w zasięgu ręki. –

–Po co tyle zachodu? Czy nie łatwiej umocować ładunki tutaj? –

–Łatwiej, ale nie ma gwarancji, że zerwanie lin na środku mostu spowoduje jego upadek. Nie mająk tego sprawdzić. Jedno jest pewne: dotąd nikt nie przeprowadzał takiego eksperymentu. Mosty wiszące sporo kosztują. Ze względu na wielkość obciążenia, zerwanie lin w tym miejscu nie zachwiałoby dostatecznie równowagi wież. Most mógłby się mniej lub bardziej wygiąć, mógłby pęknąć, ale nie runąłby do wody na długości całego przęsła. Moja metoda gwarantuje powodzenie. Nie żądałbym chyba dwustu milionów za spartaczoną robotę, prawda?

Generał Cartland nie zajął stanowiska w tej sprawie.

–Poza tym, jeśli coś nie wyjdzie, to znaczy jeśli okażecie się sknerami, zamierzam odpalić ładunki zaraz po starcie. Gdy eksploduje dwieście siedemdziesiąt kilogramów materiału wybuchowego, chcę być przynajmniej o kilometr stąd.

–Czy to znaczy, że detonator jest w jednym z tych śmigłowców?

–spytał ostrożnie prezydent.

Westchnienie Bransona wyrażało anielską cierpliwość.

–Zawsze byłem zdania, że kandydaci do prezydentury powinni przechodzić test na inteligencję. Oczywiście, że jest w śmigłowcu.

W tym, który stoi najbliżej. A czego się pan spodziewał? Że naciśnie guzik w autobusie, a potem razem z nim i z całym mostem spoczne na

dnie cieśniny?

Branson odwrócił pełne niedowierzania spojrzenie od prezydenta i patrzył znów w ekran telewizora. Bartlett, asekurowany przez Boyarda, zdążył okręcić linę brezentowym pasem tuż przy łożysku i zaciskał właśnie drugi z mocujących go rzemieni. Uporawszy się z tym wrócił do Boyarda i obaj oglądali z podziwem swoje dzieło. Potem kamera przestała ich pokazywać, a na ekranie pojawiło się zbliżenie odcinka liny, którą oplatał w śmiertelnym uścisku pas z materiałem wybuchowym.

–Czyż to nie nieskończenie doskonały widok? – spytał Branson uśmiechając się szeroko.

Cartland zachował twarz pokerzysty.

–Wszystko zależy od punktu widzenia.

ROZDZIAŁ VII

Wiceprezydent Richards wyłączył telewizor. Wydawał się zamyślony, wstrząśnięty i zatroskany zarazem. Kiedy zaczął mówić, jego głos wyrażał wszystkie te uczucia.

–Obejrzelismy wyjątkowo efektowny pokaz. Trzeba przyznać, że nasz niegodziwy przyjaciel najwidoczniej dokładnie wie, czego chce i jest jak najbardziej w stanie spełnić swoje niezliczone groźby. Tak mi się przynajmniej zdaje, ale ja dopiero tu dotarłem. Czy panowie są innego zdania?

Wiceprezydent był wysokim, jowialnym, gadatliwym południowcem. Miał zwyczaj walić dość boleśnie po plecach – bo trudno nazwać to poklepywaniem – nieświadomego niebezpieczeństwa rozmówcę. Był znanym na świecie smakoszem, co potwierdzała dobitnie jego okazała postać. Hagenbach mylił się, uważając go za gamonia. Opinia Hagenbacha brała się stąd, że ich osobowości skrajnie się różniły. Richards był energiczny, bystry, inteligentny i zaskakująco dobrze zorientowany w bardzo wielu zagadnieniach. Jedno różniło go od Hagenbacha: trawiła go żądza władzy. Branson niewiele przesadzał twierdząc, że w oczach Richardsa pojawiała się tęsknota, ilekroć przekraczał próg owalnego gabinetu w Białym Domu.

Richards patrzył bez szczególnej nadziei na tych, którzy zebrali się w biurze dyrektora szpitala. Hagenbach, Hendrix, sekretarz stanu i minister skarbu siedzieli wokół niewielkiego stolika. Newson i Carter

usiedli przy drugim, jeszcze mniejszym stoliku, jakby chcąc zmanifestować wyjątkowość wyższego dowództwa wojska. O'Hare stał z założonymi rękami, oparty o grzejnik, i przyglądał się obecnym nieco rozbawiony, z pobłażliwym uśmiechem, jaki większość lekarzy rezerwy dla przedstawicieli innych profesji. April Wednesday siedziała w kącie samotna i milcząca.

Cisza, jaka zapadła, dowodziła niezbiecie, że nikt z obecnych nie ma innego zdania.

Dobrodusznosc Richardsa ustąpiła miejsca pewnemu rozdrażnieniu.

–A co pan proponuje, Hagenbach?

Hagenbach zdołał zapanować nad sobą. Nawet jako szef FBI musiał okazywać wiceprezydentowi, choćby i nieszczerze, należny mu szacunek.

–Proponuję poczekać na rozszyfrowanie wiadomości od Revsona, sir.

–Rozszyfrowanie! Rozszyfrowanie! Czy ten pański człowiek musiał komplikować sprawę wysyłając zakodowaną informację?

–Może i nie musiał. Trzeba przyznać, że Revson ma niemal obsesję na punkcie zachowania tajemnicy i niezwykle dba o bezpieczeństwo.

Podobnie jak ja. Zgoda, wiadomość dotarła bezpiecznie i bez trudności. A jednak, co poświadczyła panna Wednesday, Branson myślał o przeszukiwaniu sanitarki. Gdyby ją, jak to mówią, przeczesał, mógłby się na coś natknąć. Ale nie na ten mikrofilm.

Podniósł wzrok na młodego człowieka, który właśnie wszedł i wręczył mu dwie zapisane na maszynie kartki papieru. W tradycyjnym szarym garniturze wyglądał, jak typowy makler z Wall Street.

–Przepraszam, że tak długo, sir. Sprawilo to trochę kłopotu.

–Zupełnie jak Revson. – Hagenbach przejrzał szybko tekst, niepomny zniecierpliwienia pozostałych. Potem znów podniósł wzrok na młodego człowieka. – Lubi pan i ceni swoją pracę w organizacji, prawda, Jacobs?

–Nie musi pan tego mówić, sir.

Hagenbach próbował się uśmiechnąć, ale jak zwykle nie udało mu się skruszyć lodów. – Przepraszam – powiedział. Dowodziło to, jak bardzo przejął się sprawą. Nikt nigdy przedtem nie słyszał, by Hagenbach kogokolwiek przeprosił.

–Tego też nie musiał pan mówić, sir. – Jacobs wyszedł z pokoju.

–Oto, co pisze Revson – oznajmił Hagenbach. – "Zacznę od listy rzeczy, które są mi pilnie potrzebne, żeby dać panom jak najwięcej czasu na ich zdobycie".

Admirał Newson zakaszłał. – Czy pańscy podwładni zwykle zwracają się do pana takim rozkazującym tonem?

–Na ogół nie – odparł Hagenbach i czytał dalej. – "Potrzebnych mi jest trzysta sześćdziesiąt metrów niebieskiej lub zielonej cienkiej żyłki, cylindryczne wodoodporne pojemniki do wysyłania komunikatów na piśmie oraz latarka sygnalizacyjna z regulowaną wiązką światła do nadawania alfabetem Morse'a. Poza tym chciałbym dos-

tać aerozol, dwa flamastry – jeden biały, jeden czerwony – i pistolet pneumatyczny CAP. Proszę to natychmiast zamówić. Inaczej nic nie działałam".

–Bezsensowny bełkot – odezwał się generał Carter. – Co to właściwie ma znaczyć?

–Nie wiem, czy powinienem wyjaśniać – powiedział Hagenbach.

–Nie chodzi o pana, generale. Wyżsi oficerowie wojska – i policji, rzecz jasna, oraz ministrowie mają dostęp do takich informacji. Są jednak wśród nas, hm... osoby cywilne.

–Lekarze nie są gadatliwi – odezwał się cicho O'Hare. – Co więcej, nie przekazują też tajnych informacji prasie.

Hagenbach obdarzył go przychylnym spojrzeniem, jakby z odległej epoki, po czym zwrócił się do April:

–A co pani powie, panno Wednesday?

–Wygadałabym wszystko na sam widok narzędzia do miażdżenia palców – odparła. – Nie trzeba mi niczego zakładać, wystarczy pokazać. Jeśli do tego nie dojdzie, będę milczeć.

Hagenbach zwrócił się do Hendrixa:

–Jakie narzędzia tortur ma Branson dla młodych dam?

–Nic z tych rzeczy. Ten mistrz zbrodni jest znany z galanterii wobec kobiet. W żadnym z jego skoków kobieta nie była poszkodowana ani tym bardziej ranna.

–Ale pan Revson mi powiedział...

(- Domyślam się – przerwał jej Hagenbach – że Revson chciał, aby

wyglądała pani na przerażoną. A więc nastraszył panią.

April Wednesday była oburzona. – Czy on nie ma skrupułów?

–W życiu prywatnym to wzór uczciwości. A w pracy? No cóż, jeśli ma skrupuły, udaje mu się to jak na razie skrzętnie ukrywać. Co do tych przedmiotów, o które prosił, pojemnik z aerozolem zawiera taki sam gaz obezwładniający, jakiego skutecznie użył na moście Branson. Nie powoduje żadnych trwałych uszkodzeń – obecność panny Wednesday najlepiej tego dowodzi. Flamastry, wyglądające na najzwyczaj-
sze na świecie, strzelają drobnymi, ostrymi igielkami, które również obezwładniają.

–Po co dwa kolory? – spytał admirał Newson.

–Czerwony obezwładnia na trochę dłużej.

–"Na trochę dłużej" oznacza na zawsze, czy tak?

–Może się zdarzyć. Co do pistoletu pneumatycznego, no cóż, jego zaletą jest niemal bezgłośnie działanie.

–A skrót CAP?

Wahanie Hagenbacha dowodziło, że nie ma ochoty o tym mówić.

–To znaczy, że kule są zatrute.

^- Zatrute? Czym?

Niechęć Hagenbacha zmieniła się w coś w rodzaju zakłopotania.

–Cyjankiem.

Nastąpiła, co zrozumiałe, chwila ciszy, po czym rozległ się ponury głos Richardsa:

–Czy ten pański Revson jest w prostej linii potomkiem wodza

Hunów, Attyli?

–Działa wyjątkowo skutecznie, sir.

–Nie wątpię w to ani przez chwilę, skoro jest obładowany takim śmiercionośnym arsenałem. Zabił już kogoś?

–To samo robią tysiące policjantów.

–Ilu ludzi ma na sumieniu?

–Doprawdy nie wiem, sir. W raportach Revson nie bawi się w szczegóły.

–Nie bawi się w szczegóły. – Powtórzone przez Richardsa słowa zabrzmiały głucho. Pokręcił głową i nie powiedział nic więcej.

–Przepraszam panów na chwilę. – Hagenbach pospiesznie coś zanotował, otworzył drzwi i wręczył kartkę stojącemu za nimi mężczyźnie. – Dostarczyć te rzeczy w ciągu godziny. – Za chwilę był z powrotem i ponownie wziął do ręki zapisaną kartkę.

–Idźmy dalej. "W tym krótkim czasie, jaki miałem do dyspozycji, starałem się ocenić charakter Bransona. Pod względem oryginalności pomysłów, planowania, organizacji i przeprowadzania akcji ten człowiek jest doprawdy godny podziwu. Byłby znakomitym generałem, bo ma mistrzowskie wyczucie strategii i taktyki. Ale nikt nie jest doskonały. Branson ma swoje słabe strony, które mam nadzieję wykorzystać, żeby go pokonać. Wierzy bezgranicznie w swoją nieomylność.

W tej wierze tkwi załączek jego zguby. Każdy może się mylić, po

drugie, jest monstrualnie próżny. Widziałem dotąd jedno tete-a-tete

.Bransona z publicznością, ale zapewne będzie ich więcej. Mógł zor-

ganizować te wywiady telewizyjne choćby koło południowej wieży.

Ale nie: on musiał to zrobić w samym centrum, w otoczeniu prywatnej asysty prasowej. Na jego miejscu w ciągu pięciu minut usunąłbym z mostu wszystkich dziennikarzy. Najwidoczniej nie przyszło mu do głowy, że mogą wśród nich być agenci. Po trzecie, powinien był przeszukać lekarza, pannę Wednesday, a potem sanitarkę, wyrzucając w razie potrzeby do wody cały sprzęt medyczny, zanim pozwolił im opuścić most. Innymi słowy, nie dba wystarczająco o bezpieczeństwo. Jak z nimi postępować? Na razie nie mam pomysłu. Chciałbym prosić o wskazówki. Mam pewne propozycje, ale nie sądzę, żeby się przydały.

Nikt nie da rady siedemnastu uzbrojonym po zęby ludziom. Ale spośród tych siedemnastu tylko dwaj naprawdę się liczą. Z pozostałych piętnastu niektórzy są inteligentni, lecz jedynie Branson i Van Effen to urodzeni przywódcy. Ich dwóch mógłbym zabić."

–Zabić! – Z pobladłej twarzy April* Wednesday patrzyły przerażone, zielone oczy. – Ten człowiek jest potworem!

–To potwór, który ma przynajmniej poczucie rzeczywistości – odparł oschle Hagenbach, po czym czytał dalej. – "Jest to wykonalne, ale nierozsądne. Według wszelkiego prawdopodobieństwa pozostali zareagowaliby zbyt gwałtownie i nie chciałbym wówczas odpowiadać za życie prezydenta i jego przyjaciół. To przedostatnia możliwość.

Czy po zapadnięciu zmroku mogłaby znajdować się pod mostem łódź podwodna z wynurzonym wierzchołkiem wieżyczki obserwacyj-

nej? Tą drogą przekazywałbym informacje i odbierał niezbędne przesłanki. Co poza tym, sam nie wiem. Nie wyobrażam sobie, na przykład, prezydenta schodzącego sześćdziesiąt metrów w dół po drabince sznurkowej. Spadłby po przejściu trzech metrów.

Czy wtedy, gdy ludzie Bransona będą zakładać ładunki, istniałaby możliwość podłączenia lin pod napięcie dwóch tysięcy wolt? Wiem, że to by naelektryzowało cały most, ale ludzie znajdujący się na jezdni czy w autobusach powinni chyba być wystarczająco bezpieczni."

–Dlaczego dwa tysiące wolt? – spytał Richards.

–To napięcie krzesła elektrycznego. – Głos Hagenbacha brzmiał niemal przeprasząco.

–Winien jestem przeprosiny cieniowi Attyli.

–Owszem. "Problem w tym, że ktoś, powiedzmy prezydent, mógłby opierać się łokciami o balustradę mostu albo siedzieć na barierce zabezpieczającej. To by oznaczało nowe wybory prezydenckie. Potrzebuję fachowej porady. A może moglibyśmy skierować promień lasera na założone już ładunki? Laser z pewnością przeciąłby brezent. Ładunek spadający na most eksplodowałby na pewno przy uderzeniu, nie spowodowałby jednak poważnego uszkodzenia jezdni, gdyż większa część siły wybuchu rozeszłaby się w powietrzu. Można mieć pewność, że most by nie runął. Kłopot w tym, że promień lasera może zdetonować ładunek. Proszę o radę.

Czy po zapewnieniu odpowiedniej osłony dałoby się wprowadzić ludzi do wieży? Wystarczyłaby zwykła mgła. Może sfingowany po-

żar ropy przy odpowiednim wietrze? Nie wiem. Chodzi o to, żeby wysłać ludzi na górę, spuścić windę, a potem odciąć dopływ prądu do urządzeń dźwigu. Sto pięćdziesiąt metrów wspinaczki po drabinach wystarczy, by nie być w kondycji do czegokolwiek.

Czy można podać jakieś środki usypiające w jedzeniu? Coś, co by ich rozłożyło na pół godziny, może godzinę, i nie działało zbyt szybko?

Można sobie wyobrazić reakcję Bransona, gdyby ktoś fiknął kozła po pierwszym kęsie. Poszczególne tace z żywnością trzeba by tak oznakować, żeby siedemnaście z nich trafiło do tych siedemnastu osób, dla których będą przeznaczone".

Hagenbach spojrział na O'Hare.›

–Czy istnieją-takie środki?

–Z pewnością. Sporządzanie tych mikstur to nie moja specjalność, ale doktor Isaacs, szef sekcji do spraw leków i narkotyków, zna się na nich jak nikt inny w tym kraju. Katarzyna Medycejska nie mogłaby z nim rywalizować.

–To się może przydać. – Hagenbach powrócił do ostatniego krótkiego fragmentu tekstu. – "Proszę o wiadomość, co panowie proponujecie. Sam mogę w tej chwili tylko spróbować wyłączyć radiodetonator, który służy do odpalania ładunków, nie zostawiając żadnych śladów, że ktoś przy nim manipulował. To powinno być proste. Trudność polega na tym, żeby się do tego draństwa dostać. Musi się znajdować, rzecz jasna, w jednym ze śmigłowców, które stoją dniem i nocą w pełnym świetle, pilnie strzeżone. Spróbuję". – To

wszystko.

–Wspomniał pan o przedostatniej możliwości – odezwał się Newson. – A jaka jest ostatnia?:

–Zgaduję tak samo jak pan. Jeśli widzi jakieś ostateczne rozwiązanie, zachowuje to dla siebie. Cóż, nie będę teraz pokazywał panom tego tekstu. Powielimy go i za parę minut każdy otrzyma kopię. – Opuścił pokój, podszedł do Jacobsa – człowieka, od którego dostał maszynopis, i powiedział cicho:

–Proszę o odbitki. Dziesięć sztuk, – Wskazał na ostatni akapit.

–To niech pan zatuszuje. I, na miłość boską, proszę dopilnować, żeby oryginał wrócił do mnie i nie trafił do nikogo więcej.

Jacobs był gotowy, tak jak obiecał, w ciągu paru chwil. Rozdał sześć odbitek, a pozostałe, wraz z oryginałem, wręczył Hagenbachowi. Ten złożył oryginał i wetknął go do wewnętrznej kieszeni. Następnie cała siódemka uważnie przestudiowała raport Revsona. Potem jeszcze raz. I jeszcze raz.

–No cóż, Revson nie pozostawia zbyt wiele pola do popisu dla mojej wyobraźni. – W głosie generała Cartera brzmiała niemal skarga.

–Szczерze mówiąc, niczego nie pozostawia. Może po prostu nie mam dzisiaj swojego dnia.

–Podobnie jak ja – stwierdził Newson. – Wygląda na to, że pański człowiek, Hagenbach, rozważył wszelkie ewentualności. Dobrze mieć kogoś takiego po swojej stronie.

–To prawda, ale nawet Revson potrzebuje pola do manewru,

którego mu brak.

–Wiem, że się na tym nie znam, ale przyszło mi do głowy, iż kluczem do całej sprawy są śmigłowce – wystąpił z ostrożną sugestią Quarry. – Czy mamy środki, żeby je zniszczyć?

–To żaden problem – odparł Carter. – Samoloty, działa, rakiety, zdalnie sterowane pociski przeciwczołgowe. Dlaczego pan pyta?

–Branson i jego ludzie mogą opuścić most tylko tą drogą. Dopóki tam pozostaną, nie będzie mógł zdetonować ładunków. Co więc zrobi?

Carter popatrzył na ministra skarbu bez entuzjazmu.

–Przychodzą mi do głowy trzy możliwości. Po pierwsze, Branson wezwałby ruchomy dźwig, żeby zrzucić śmigłowce z mostu do wody i zażądał w ciągu godziny dwóch nowych maszyn[^] grożąc, że w przeciwnym razie otrzymamy małą paczuszkę z uszami prezydenta. Po drugie, stosując granat, raketę czy pocisk, nie sposób ograniczyć ani wyhamować skutków wybuchu, Bogu ducha winni widzowie mogliby więc podzielić los śmigłowców. Po trzecie, czy przyszło panu do głowy, że wybuch mógłby z równym powodzeniem zniszczyć radiodetonator, jak i spowodować eksplozję? Wystarczy zerwać pojedynczą linę z jednej tylko strony, żeby most się przechylił i zawisł pod niebezpiecznym kątem, a wtedy pozostanie na nim jedynie to, co przybito gwoździami. Gdyby tak się stało, panie ministrze, a prezydent i jego goście dowiedzieliby się, że był to pański pomysł, nie sądzę, by myśleli o panu szczególnie ciepło w ostatnich chwilach życia, siedząc w autobusie na

dnie cieśniny.

–Chyba poprzestanę na liczeniu swoich grosików – westchnął

Quarry. – Mówiłem, że się na tym nie znam.

–Proponuję dwadzieścia minut na zastanowienie się – stwierdził

Richards. – Zobaczymy, co z-tego wyniknie.

**Propozycję przyjęto. Po upływie dwudziestu minut Hagenbach
zagał:**

–A więc dobrze.

Najwyraźniej jednak nie było dobrze. Panowało głębokie milczenie.

**–W takim razie proponuję rozważyć, które z pomysłów Revsona
są najmniej przerażające.**

**Powrót sanitarki na most około godziny szóstej wieczorem przyję-
to życzliwie i-z zainteresowaniem. Nawet skupiając na sobie uwagę
całego świata przestaje się odczuwać emocje, gdy nie ma nic do ro-
boty. Z wyjątkiem programów telewizyjnych Bransona, na moście
niewiele było rozrywek.**

**Kiedy blada i najwyraźniej jeszcze osłabiona April wysiadła z sani-
tarki, Branson pierwszy ją powitał.**

–Jak się pani czuje?

**-. Jest mi strasznie głupio. – Podwinęła rękaw, żeby pokazać ślady
zastrzyków, które zaaplikował jej O'Hare. – Dwa niewielkie ukłucia
i jestem jak nowo narodzona.**

**Odeszła na bok i – otoczona przez kolegów – usiadła ciężko na
jednym z wielu porozstawianych wokół krzeseł.**

–Nie wygląda mi na nowo narodzoną – powiedział Branson do O'Hare.

–Zgoda, nie powróciła jeszcze do normalnego stanu, jeśli o to panu chodzi. Ten sam wygląd, ale z innych powodów. Kiedy widział ją pan ostatnio, była na wysokiej fali; teraz fala opadła. Chyba słusznie się domyślałem: to był po prostu wstrząs emocjonalny. Przez dwie godziny spała jak zabita po silnym środku uspokajającym. Jest odurzona, to wszystko. Psychiatra, doktor Huron, zabronił jej wracać, ale narobiła piekielnego jazgotu, że musi z powrotem, że to ostatnia szansa, i tak dalej. W końcu doszedł do wniosku, że może lepiej, żeby wróciła. Nie ma obawy. Przywiozłem tyle środków uspokajających, że wystarczy nam na tydzień.

–Miejmy nadzieję, dla dobra nas wszystkich, że nie będzie pan: potrzebował nawet jednej czwartej.

Revson czekał, aż wszyscy, którzy przyszli powitać April, pójdą oglądać telewizję. Program wzbudzał szczególne zainteresowanie, gdyż poświęcony był w całości retransmisji popołudniowego wystąpienia Bransona. On sam interesował się nim bardziej niż ktokolwiek, co Revson odnotował bez zdziwienia. Branson miał jednak równie niewiele zajęć, co pozostali. Jedynie Chrysler sprawiał wrażenie nieco zabieganego. W regularnych odstępach czasu wchodził do ostatniego autobusu. Revson zastanawiał się, w jakim celu.

Usiadł obok dziewczyny, która obrzuciła go chłodnym spojrzeniem.

" – O co chodzi? – spytał. Milczała. – Nie musi mi pani mówić. Ktoś

wrogo panią do mnie nastawił.

–Zgadza się. Pan sam. Nie lubię zabójców. Szczególnie takich, którzy z góry, na zimno, planują kolejne zbrodnie.

–Zaraz, zaraz. Trochę pani przesadza.

–Czyżby? A zatrute kule? Śmiercionośne flamastry? Strzał w plecy, jak mogę się domyślać.

–No, no, po co ta zawziętość! Powiem pani trzy rzeczy. Po pierwsze, tej broni używa się tylko w ostateczności i jedynie po to, by ocalić komuś życie, aby źli ludzie nie zabijali dobrych – choć być może pani wolałaby, żeby działało się odwrotnie. Po drugie, umarłemu wszystko jedno, gdzie go postrzelono. Po trzecie, pani podsłuchiwała.

–Pozwolono mi słuchać!

–Ludzie popełniają błędy. Widocznie pozwolono niewłaściwej osobie. Mógłbym okazać się nonszalancki i powiedzieć, że mam zobowiązania wobec podatników, nie jestem jednak w odpowiednim nastroju.

–Patrząc na jego surowe oblicze i słuchając głosu, w którym nie było już ani śladu-ciepłego, kpiącego tonu, April uzmysłowiła sobie z lękiem, że rzeczywiście nie był w odpowiednim nastroju. – Mam przed sobą zadanie do wykonania, a pani mówi od -rzeczy, darujmy więc sobie moralizowanie. Zakładam, że przywiozła pani sprzęt, o który prosiłem: Gdzie to wszystko jest?

–Nie wiem. Wie tylko doktor O'Hare. Z jakiegoś powodu nie chciał mnie wtajemniczać, na wypadek, gdyby nas przesłuchiowano i zrewidowano sanitarkę.

–Z jakiegoś powodu! Istnieje oczywisty i doskonały powód.

O'Hare nie jest głupcem! – Nie zważał na to, że jej poblądłe policzki nieco się zarumieniły. – ^Czy wszystko przywiózł?

–Tak mi się zdaje. – April starała się mówić wyniośle.

–Do diabła z pani urażoną dumą. Proszę nie zapominać, że tkwi pani w tym po swoją piękną szyję. Czy Hagenbach przekazał dla mnie jakieś instrukcje?

–Tak, ale mnie nic nie powiedział. Zna je doktor O'Hare. – Ton jej głosu był cierpki albo gorzki, a może taki i taki. – To pewnie oznacza, że pan Hagenbach również nie jest głupcem.

–Niech pani nie bierze sobie tego tak bardzo do serca. – Poglądził jej dłoń i uśmiechnął się ciepło. – Spisała się pani na medal. Dziękuję. Próbowała pojednawczo się uśmiechnąć.

–Może jednak jest w panu odrobina ludzkich uczuć, panie Revson.

–Mam na imię Paul. Nigdy nie wiadomo. – Ponownie się uśmiechnął, wstał i odszedł. – Pomyślał, że jest przynajmniej na tyle ludzki, by nie ranić dalej jej amour propre wyznaniem, iż ostatnia scenka przeznaczona była wyłącznie dla Bransona, który – nie widząc siebie chwilowo na ekranie – stracił zainteresowanie programem i z namysłem przyglądał się im. Nie musiało to oznaczać, że coś podejrzewa lub ma złe zamiary. Branson miał zwyczaj wszystkim się przyglądać. April była piękna i może sądził, że marnuje swą urodę, spędzając czas w nieodpowiednim towarzystwie.

Revson usiadł w pobliżu Bransona i obejrzał ostatniedwadzieścia

minut transmisji. Przejście od prezentacji otoczenia prezydenta do widoku szczytu południowej wieży wykonano po mistrzowsku i łączny efekt mógł Bransona w pełni zadowolić. Oglądał program z uwagą. Jego twarz nie zdradzała szczególnych oznak zadowolenia. Zawsze zresztą wyrażała tylko to, co chciał okazać, i nie była zwierciadłem jego myśli i uczuć. Po zakończeniu programu Branson wstał i przystanął na moment obok siedzącego Revsona.

–Pan Revson, prawda? – Revson przytaknął. – I co pan o tym wszystkim sądzi?

–Pewnie to samo, co miliony innych ludzi. – "Tu go mam-, pomyślał Revson, oto częśćka jego pięty Achillesa". Branson wiedział, że jest geniuszem, ale lubił słyszeć to od innych. – Mam poczucie całkowitego odcięcia od rzeczywistości. To nie może się dziać naprawdę.

–Ale jednak się dzieje? Nie uważa pan, że to niezły początek?

–Czy mogę przytoczyć pańskie słowa?

–Oczywiście. Jeśli pan chce, dam panu wyłączność. Jak, pana zdaniem, rozwinie się akcja?

–Zgodnie z pańskim planem. Nie sądzę, aby coś pana powstrzymało. Są, niestety, całkowicie w pańskich rękach.

–Niestety?

-. A jakżeby inaczej? Nie chcę odgrywać wzorowego Amerykanina, ale nawet będąc mistrzem przestępstwa – i na swój amoralny sposób geniuszem – dla mnie jest pan przede wszystkim oszustem, wobec

którego krętał spiralne schodki wyglądają jak drabina strażacka.

–To mi się podoba! Czy tym razem ja dostanę zgodę na przytaczanie pańskich słów? – Branson wyglądał na szczerze zadowolonego.

Najwidoczniej nie obrażał się o byle co,

–Rozmowy prawo autorskie nie chroni.

–Gdyby chroniło, byłbym skazany na powszechną dezaprobatę, żeby nie powiedzieć: potępienie. – Branson nie wydawał się szczególnie nieszczęśliwy z tego powodu. – Ma pan niezwykle oryginalny aparat.

–To prawie unikat, ale nie całkiem.

–Mogę obejrzeć?

–Proszę bardzo. Jeśli jednak chce go pan oglądać z powodów, których mogę się domyślać, spóźnił się pan o jakieś cztery godziny.

–Jak mam to rozumieć?

–Pański utalentowany zastępca, Van Effen, jest tak samo paskudnie podejrzliwy jak pan. Zdążył już rozebrać mi aparat na części.

–Żadnych nadajników? Żadnej niebezpiecznej broni?

–Niech pan sam sprawdzi.

–To już bezcelowe.

–Jedno pytanie. Nie chciałbym bardziej nadymać pańskiego już i tak rozdętego "ja"...

–Nie boi się pan przeholować, Revson?

–Nie. Uchodzi pan za przestępcę, który nie stosuje przemocy.

–Revson zakreślił łuk ręką. – Po co to wszystko? Zrobiłby pan

majątek w każdym interesie, do którego by pan przystąpił.

–Próbowałem – westchnął Branson. – Nie sądzi pan, że interesy to nudna sprawa? Tu mam przynajmniej możliwość wykazania się zdolnościami. – Przerwał na chwilę. – Z pana też jest dość osobliwy fotoreporter. Nie pasuje pan do tej roli ani wyglądem, ani zachowaniem, ani sposobem wystawiania się.

–A jak niby powinien wyglądać, zachowywać się i mówić fotoreporter? Patrzy pan do lustra przy goleniu. Czy widzi pan przestępcę? Ja widziałbym dyrektora banku z Wall Street.

–Touche. Dla jakiego pisma pan pracuje?

–Jestem niezależny, ale mam akredytację w londyńskim "Timesie".

–Jest pan Amerykaninem?

–W dzisiejszych czasach wiadomości nie znają granic. Wolę pracować za granicą, tam gdzie coś się dzieje. – Revson uśmiechnął się niewyraźnie. – Tak było przynajmniej dotychczas. Zwykle oznaczało to południowo-wschodnią Azję. Teraz już nie. Teraz liczy się Europa i Bliski Wschód. –

–Co więc robi pan tutaj?

–To czysty przypadek. Byłem, że tak powiem, w drodze z Nowego Jorku do Chin, ze specjalną misją.

–Kiedy miał pan tam jechać?

–Jutro.

–Jutro? A więc będzie pan chciał opuścić most dziś w nocy. Jak powiedziałem, pracownicy środków masowego przekazu mogą odejść,

kiedy zechcą.

–Branson, pan musi być niespełna rozumu.

–Chiny mogą zaczekać?

–Mogą zaczekać. O ile, rzecz jasna, nie planuje pan porwania przewodniczącego Mao.

Branson uśmiechnął się w taki sposób, że jego oczy-nie zmieniły zwykłego wyrazu, i odszedł.

Revson znalazł się z nastawionym aparatem w pobliżu otwartych przednich drzwi po prawej stronie ostatniego autobusu.

–Czy można? – zapytał. –

Chrysler odwrócił się. Spojrzał na Revsona z pewnym zdziwieniem, potem się uśmiechnął.

–Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

–Mój aparat ma już dość zdjęć Bransona i jego doborowego towarzystwa. Można? Zbieram teraz podobizny jego giermków do albumu przestępców. – Revson uśmiechnął się, aby zatuszować obraźliwe słowa. – Pan Chrysler, prawda? Ekspert od telekomunikacji?

–Podobno tak o mnie mówią.

Revson zrobił dwa czy trzy zdjęcia, podziękował Chryslerowi i poszedł dalej. Dla zachowania pozorów i lokalnego kolorytu sfotografował jeszcze kilkakrotnie ludzi Bransona, którego absolutna wiara w siebie najwidoczniej wszystkim im się udzielała. Spełniali prośby Revsona ochoczo, czasem wręcz entuzjastycznie. Po zrobieniu ostatniego zdjęcia przeszedł na zachodnią stronę mostu, usiadł na barierce

zabezpieczającej i zapalił papierosa, żeby zebrać myśli.

Po paru minutach nadszedł spacerkiem O'Hare, trzymając ręce głęboko w kieszeniach białego fartucha. Spod południowej wieży wysłano już setki zdjęć i tysiące słów sprawozdań, tak więc przynajmniej dwudziestu dziennikarzy – i dziennikarek – nie miało aktualnie nic lepszego do roboty niż snuć się bez celu po centralnej części mostu.

Revson zrobił doktorowi parę rutynowych zdjęć, po czym ten podszedł i usiadł obok niego.

–Widziałem, jak rozmawiał pan z panną Wednesday – odezwał się.

–Jest trochę rozżalona, prawda?

–Nasza April nie ma najweselszej miny. Przywiózł pan wszystko?

–Broń i wskazówki.

–Czy wszystko, o co prosiłem, jest zamaskowane?

–Tak bym to określił. Oba flamastry są wpięte w mój lekarski

notatnik, na widocznym miejscu. My, lekarze, jesteśmy pedantami.

Pistolet z zatrutymi kulami znajduje się w zestawie kardiologicznym.

Przed otwarciem zestawu należy rozerwać woskową plombę. Jednak

nawet gdyby go otwarto, nie miałoby to większego znaczenia. Broń

spoczywa w podwójnym dniu i trzeba wiedzieć, jak się tam dostać. To

znaczy, że nie można na nią trafić przypadkiem. Trzeba wiedzieć.

A ja wiem.

–Wygląda na to, że nieźle się pan bawi, doktorze.

–No cóż, owszem. Zawsze to jakaś odmiana w stosunku do operowania wrastających paznokci.

–Mam nadzieję, że będzie panu równie wesoło z etykietką "ściśle tajne" przez resztę życia. Skąd wzięły się w pańskim szpitalu takie nietypowe zestawy?

–Nie mamy ich. Ale pański szef musi być w bardzo dobrych stosunkach ze swoim partnerem z CIA. Proszę mi wierzyć, dostaliśmy się całkowicie w ręce ekspertów.

–To oznacza podwójną etykietkę "ściśle tajne" na całe życie. Co z moją żyłką i pojemnikami?

O'Hare był myślami gdzieś daleko.

–Co z moją żyłką i pojemnikami?

O'Hare wrócił na ziemię.

–Skromność nakazuje mi przyznać, że to był mój pomysł. Są cztery pojemniki. Puste. Z napisem "Próbki laboratoryjne". Kto będzie to kwestionował? Żyłka jest owinięta wokół kwadratowej, drewnianej ramki. Na końcu ma umocowane dwa haczyki i dwie przynęty.

–Będzie pan łowił ryby z mostu?

–Będę. Sam pan widzi, że tu robi się nudno.

–Coś mi mówi, że to już długo nie potrwa. Chyba nie muszę pytać o gaz obezwładniający?

O'Hare uśmiechnął się szeroko.

–W rzeczy samej, nie miałbym nic przeciwko temu.

–Czy musi pan mówić jak Anglik?

–Już panu powiedziałem. Studiowałem w Londynie. Pojemnik z aerozolem jest umocowany tuż nad moim pulpitem. Na widocznym

miejscu. Wygląda na produkt znanej w całym kraju firmy kosmetycznej, Prestige Fragrance, z Nowego Jorku. Naprawdę ładnie się prezentuje. Mam na myśli kolor. Chyba leśny brąz. To pomniejszona wersja ich siedmiouncjowego opakowania. Ciśnienie freonu trzykrotnie wyższe od normalnego. Rozpyła się w zasięgu trzech metrów.

–Czy firma Prestige o tym wie?

–Na Boga, nie. CIA nie interesuje się szczególnie patentami.

–O'Hare Uśmiechnął się niemal marzycielsko. – Z tyłu na opakowaniu jest napis "aromatyczny i ostry zapach" oraz "chronić przed dziećmi",

–z przodu – "sandałowiec". Sądzi pan, że Branson albo któryś z jego pacholków, nie wiedząc jak pachnie drzewo sandałowe, powącha to sobie na próbę?

–Nie, nie sądzę. Flamastry zabiorę w nocy. Jakie instrukcje przekazał Hagenbach? –

–Hagenbach i spółka. Decyzję uzgodniono na posiedzeniu komitetu. Był tam wiceprezydent, admirał Newson, generał Carter, Hendrix, Quarry i Milton.

–A także pan i April Wednesday.

–My, ludzie z plebsu, znamy swoje miejsce. Nie zabieraliśmy głosu.

Odpada przede wszystkim możliwość podłączenia mostu pod prąd.

I nie chodzi o to, że prezydent czy król mogliby siedzieć tu[^] gdzie my

teraz, i przypiec sobie portki. Można wytworzyć odpowiednie napię-

cie, ale nie natężenie. Nie w sytuacji, gdy ma się do czynienia z Bóg wie

iloma tysiącami ton stali. Poza tym potencjalne ofiary trzeba by

uziemić. Ptakowi siedzącemu-na przewodach wysokiego napięcia nic nie zagraża.

Druga ekspertyza dotyczyła promieni lasera. Zastanawiał się pan, czy przetną brezent pasów z materiałami wybuchowymi. Chłopcy z Berkeley twierdzą, że owszem. Ale zetknięcie promienia lasera z twardym przedmiotem spowoduje powstanie tak ogromnej masy ciepła, że lina mostu zmieni się natychmiast – chyba tak to określili –w rozgrzany do białości zapalnik.

–Więc"puff?

–Słusznie pan zauważył. "Puff"! Zgodzili się jednak co do czterech punktów. Łódź podwodna może przy płynąć. Wiąże się to najwyraźniej z niebezpieczną podwodną nawigacją, a potem trzeba będzie sporej żonglerki, żeby utrzymać łódź w miejscu. W cieśninie, oprócz przyływów, występuje wiele paskudnych prądów. Admirał uważa jednak, że ma do tej roboty właściwego człowieka. Z braku innych wskazówek proponują ustawić łódź pod pierwszym autobusem, to znaczy pod pańskim wozem prasowym.

–Przeoczyłem to. Oczywiście mają rację. – Revson rozejrzał się wokół jakby od niechcienia, nikt jednak zbytnio się nimi nie interesował, z wyjątkiem generała Cartlanda, zagorzałego miłośnika sprawności fizycznej, który dotrzymywał im towarzystwa, żwawo maszerując tam i z powrotem po moście. Gdy się mijali, rzucał im przenikliwe spojrzenie, ale to nic nie znaczyło. Generał Cartland patrzył tak na każdego, kogo mijał. Hansen, władca imperium ener-

getycznego, mając do wyładowania nadmiar napięcia, zajął się takim samym ćwiczeniem, koncentrował jednak całą uwagę na czubkach butów. Nie przechadzał się wspólnie z Cartlandem. Pomiędzy tymi dwoma ludźmi nie było antypatii. Po prostu nie mieli ze sobą nic wspólnego.

O'Hare ciągnął dalej. – Zgodzili się na pańską propozycję, żeby zająć południową wieżę. Nie wiedzą tylko, czy chodzi o część wschodnią, czy zachodnią, bo tego pan nie sprecyzował. Prognozy meteo są niezłe. Przed świtem należy oczekiwać gęstej mgły, która utrzyma się mniej więcej do dziesiątej rano. Oby mieli rację. Przy wietrze z zachodu nie będzie jutro mowy o zasłonie dymnej z płonącej ropy. Wciąż jednak nie wiedzą, którą część wieży zająć.

–O jedno zapomniałem spytać. Co z tą latarką sygnalizacyjną z osłoną i możliwością regulowania wiązki światła?...

–Mam ją.

–A jeśli trafi w ręce Bransona i spółki?

–To sprzęt medyczny, drogi przyjacielu. Do badania oka, rozszerzenia źrenic i tak dalej. Zna pan alfabet Morse'a?

Revson wykazał opanowanie. – Chcę tylko czytać po ciemku książki w autobusie.

–Przepraszam. Miałem chwilę zaćmienia. Niech pan kieruje światło ze wschodniej strony mostu jakieś czterdzieści pięć stopni w prawo. Będzie tam dwóch obserwatorów, czuwających na zmianę przez całą noc. Nie mogą, oczywiście, potwierdzić sygnałem otrzymania infor-

macji, więc raca wystrzelona w chińskiej dzielnicy będzie oznaczać "przyjąłem, zrozumiałem". Zaraz po niej nastąpi cała seria fajerwerków, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Puszczanie sztucznych ogni, rakiet, petard, czy jak je tam jeszcze nazywają, jest u nas zakazane, ale w chińskiej dzielnicy policja przymyka na to oczy. Rozumie pan, to narodowa rozrywka Chińczyków. Powinien pan zobaczyć ich Nowy Rok. Kiedy tylko przyjechałem, zaledwie przed kilkoma miesiącami... Revson wykazał jeszcze większe opanowanie. – Też jestem z San Francisco.

–No tak... Nadal-jednak pan nie wie, którą część południowej wieży...

–Dowiem się.

–Jest pan bardzo pewny siebie.

–Wcale nie. Ale jestem pewien naszej April Wednesday. Kiedy Branson na nią patrzył, nie było to przelotne spojrzenie. Niech użyje jakiegoś babskiego fortelu, żeby wybadać, na którą: linę zamierzają założyć następne ładunki. I kiedy.

–Nadal jest pan bardzo pewny siebie. No, dobrze. Pańska propozycja wsypania czegoś do jedzenia spotkała się z jednomyślnym poparciem. Ma to nastąpić podczas dzisiejszej kolacji. Doktor Isaacs, nasz szpitalny czarnoksiężnik, napracował się przy swoim diabelskim kotle. Szykuje się siedemnaście przykrych niespodzianek.

–Ekspresowa robota. – Revson był zaniepokojony. – Jak te niespodzianki rozpoznać?

–Nie ma problemu. To typowy posiłek, jaki podają w samolotach, na zwykłych plastikowych tackach. Tacki mają uchwyty, których spody w "niedobrych" porcjach, jeśli mogę je tak określić, będą nacięte. Nacięcia są niewielkie, ale wyczuwalne pod opuszkami normalnie wrażliwych palców.

–Cóż, doktorze, muszę przyznać, że nie tracił pan czasu. Rzecz jasna, będziemy musieli postępować bardzo ostrożnie. Jeśli coś może się nie udać, na pewno się nie uda – to jedno z praw Parkinsona czy coś takiego. Mianuję siebie starszym kelnerem – za uprzednim przyzwoleniem Bransona. Po drugie, kiedy przyjedzie furgonetka z jedzeniem, April Wednesday będzie u pana na rutynowych badaniach. Pozostanie tam, to znaczy w sanitarce, aż zostaną rozdane posiłki.

–Po co?

–Prawo Parkinsona. Jeśli coś nie wyjdzie, wy dwoje będziecie głównymi podejrzanymi. Zjechaliście z mostu i wróciliście. I wreszcie po trzecie, mogę przekazać wiadomość do autobusu prezydenta.

–Jak?

–Znajdę sposób.

–A co z wozem prasowym?

–Żadnych gwarancji. Nie jestem geniuszem. Jeśli jeden czy dwóch dziennikarzy dostanie spreparowane porcje – cóż, mogę się zająć jednym czy dwoma draniami, którzy wezmą dobre.

O'Hare spojrzał na Revsona raczej bez entuzjazmu.

–Jest panu obojętne, w jaki sposób wykorzystuje pan ludzi,

czy tak?

–Mam zadanie do wykonania i robię, co mogę. Oceniam szansę, a nic o nich nie wiem. – Revson zamilkł. – Walczę po omacku. Przyznaję, że jestem jak ślepiec, i to z rękami związanymi na plecach. Może zechce pan przemyśleć swoją ostatnią uwagę.

O'Hare zrobił to. – Przepraszam. Flamastry i latarka będą do dyspozycji, gdy tylko zechce pan wpaść. I ostatnia sprawa. Pochwalają pomysł wyłączenia radiodetonatora.

–Doceniam to. Nie ma pan przypadkiem jakiegoś eliksiru, który uczyni mnie niewidzialnym?

–Niestety, nie. – O'Hare odwrócił się i odszedł.

Revson wypalił kolejnego papierosa, wyrzucił niedopałek, wstał i poszedł wolno w stronę rzędów krzeseł. April siedziała ciągle tam, gdzie ją zostawił. Zajął miejsce obok.

–Kiedy przywiozą kolację, chcę żeby pani poszła do sanitarki

–powiedział. – Na kontrolne badanie.

Nie patrzyła na niego. – Tak jest, sir. Jak pan sobie życzy, sir.

Revson westchnął głęboko.

–Postaram się ukryć wzbierające we mnie emocje, coś, co w epoce wiktoriańskiej nazwano by narastającym rozdrażnieniem. Myślałem, że rozstaliśmy się w przyjaźni.

–Nie bardzo mi odpowiada rola bezmyślnej kukielki.

–Wszyscy jesteśmy kukielkami. Ja też wykonuję rozkazy. Nie zawsze mi się to podoba, ale mam swoje zadanie. Proszę mi go jeszcze

bardziej nie utrudniać. Lekarz powie pani, po co ta wizyta. Powie także, kiedy wyjść.

–Tak jest, panie Revson. Wykonuję rozkazy jako przymusowo wcielony współpracownik pańskiego wywiadu.

Revson postanowił nie robić następnych głębokich wdechów.

–Przedtem jeszcze chciałbym, żeby zamieniła pani słowo z naszym panem Bransonem. Coś mi się zdaje, że wpadła mu pani w oko, a może nawet i w parę tych jego zimnych, rybich oczu.

–A panu, oczywiście, nie?

Odwróciła powoli głowę i przeszła go spojrzeniem swoich jasnych, zielonych oczu.

Revson wytrzymał jej wzrok przez kilka sekund, po czym zaczął się przyglądać nawierzchni mostu.

–Staram się patrzeć gdzie indziej. Poza(tym nie mam oczu dorsza.

Niech się pani od niego dowie, do której liny zamierza przymocować następny ładunek i kiedy. Proszę odczekać parę chwil po moim odejściu, a potem zaaranżować przypadkowe spotkanie.

Spojrzał na nią ponownie. W jej oczach, większych teraz i bardziej zielonych niż kiedykolwiek, migotały jakieś figlarne iskierki. Uśmiechała się. Nie był to promienny uśmiech, ale jednak.

–Dojdzie do tego, że stanę się równie przebiegła i podstępna jak pan – stwierdziła.

–Niech Bóg broni. – Revson wstał i udał się z powrotem do miejsca, gdzie siedział na barierce ochronnej. Znajdowało się ono

niecałe dwadzieścia metrów od namalowanej linii demarkacyjnej, przy której stale pełnił straż stojący na środku mostu człowiek ze schmeis-serem. Generał Cartland właśnie nadchodził, demonstrując in excelsis wojskowy krok. Revson stanął na nogi, podniósł aparat i pstryknął szybko trzy zdjęcia.

–Mogę prosić o chwilę rozmowy, sir? – spytał.

Cartland przystanął. – Nie może pan. Żadnych wywiadów, czy to na wyłączny użytek, czy nie. Mogę być widzem w tym cholernym cyrku, ale nie aktorem. – Najwyraźniej zamierzał odejść.

Revson z całym wyrachowaniem zachował się obcesowo.

–Radzę panu ze mną porozmawiać, generale.

Cartland ponownie przystanął. Jego lodowate spojrzenie świdrowa-ło twarz Revsona.

–Co pan powiedział? – Każde słowo wymawiał powoli i dobitnie.

Revson znalazł się w tym momencie na placu apelowym jako skazany przez sąd wojenny oficer, któremu miano zerwać dystynkcje i guziki oraz złamać szpadę na kolanie.

–Proszę mnie nie lekceważyć, sir. – Tym razem obcesowość za-stąpił szacunek. – Hagenbach by tego nie pochwalił.

–Hagenbach? – Cartland i Hagenbach, ludzie o niemal identycznej naturze, byli sobie tak bliscy, jak tylko mogą być dwaj samotnicy.

–Co Hagenbach ma z panem wspólnego?

–Proponuję, żeby usiadł pan koło mnie, generale. Proszę się rozluźnić i zachowywać swobodnie.

Rozluźnianie się i "swobodne zachowanie" było całkowicie obce naturze Cartlanda, ale zrobił, co mógł. Usiadłszy, odezwał się ponownie:

–Pytam raz jeszcze: co Hagenbach ma z panem wspólnego?

–Pan Hagenbach znaczy dla mnie bardzo wiele. Wypłaca mi pensję, kiedy tylko nie zapomni.

Cartland przyglądał mu się dłuższą chwilę, a potem, jakby chcąc udowodnić, że nie jest zupełnie taki sam, jak Hagenbach, uśmiechnął się. W jego uśmiechu nie było nic z lodowatego chłodu oblicza.

–No, no. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Pańskie nazwisko?

–Paul Revson.

–Revson? Revson! James opowiadał mi o panu. I to nieraz.

–Sir, jest pan chyba jedyną osobą w Stanach Zjednoczonych, która wie, jak on ma na imię.

Cartland przytaknął. – Niewielu jest takich. Wie pan, że za pięć lat chce pana posadzić na najwyższym stołku?

–Obym tego dożył.

–No, no. – Cartland najwyraźniej lubił to powtarzać. – Koronkowa infiltracja, że tak powiem.

–To pomysł szefa, nie mój. – Revson stanął i zrobił jeszcze parę zdjęć. – Chodzi o zachowanie pozorów – wyjaśnił przepraszająco.

–Proszę nie mówić kolegom z autobusu prezydenta...

–Kolegom? To błazny!

–Proszę nie mówić żadnemu z tych błaznów, że mnie pan spotkał.

–Cofam to, co powiedziałem. Prezydent jest moim osobistym przyjacielem.

–Wszyscy o tym wiedzą, sir. A więc niech pan nic nie mówi prezydentowi i tym błaznom. Wykluczylbym z ich grona także burmistrza. Gdyby chciał pan porozmawiać z nimi na osobności, proszę iść na spacer. W autobusie jest podsłuch.

–Skoro pan tak twierdzi, Revson.

–Wiem to, sir. W ostatnim autobusie pracuje bez przerwy magnetofon. Słyszał go pan. Ja nie.

–Słyszałem. Ale nigdy nie słyszałem o panu.

–Generale Cartland, powinien pan wstąpić do naszej organizacji.

–Tak pan myśli?.

–Tym razem ja się wycofuję. Szef sztabu nie może już wyżej awansować.

Cartland znów się uśmiechnął.

–Niech mi pan powie, co pan wie, że się tak nieszablonowo wyrażę.

Revson stanął na nogi, odszedł parę kroków, zrobił kilka następnych zdjęć, wrócił, usiadł i wszystko opowiedział. Kiedy skończył, generał Cartland zapytał:

–Czego chce pan ode mnie?

–Niczego nie mogę chcieć. Szefowi sztabu nie wydaje się poleceń.

W tym momencie szef sztabu poczuł się w swojej roli.

–Do rzeczy, Revson.

–Proszę wziąć swoich zasiedziałych przyjaciół na spacer. Niech im pan powie o podsłuchu w autobusie i poinstruuje ich, jak rozpoznać bezpieczne tacki z jedzeniem.

–To żaden problem. Coś jeszcze?

–Ostatnia sprawa, generale Cartland. Trudno mi o tym mówić, ale jak pan sam powiedział, przejdźmy do rzeczy. Wiadomo, a przynajmniej ja wiem, że zwykle nosi pan przy sobie broń.

–Nieaktualne. Zostałem jej pozbawiony.

–Nadal ma pan kaburę?

–Tak.

–Dam panu coś zastępczego, co bardzo zgrabnie będzie pasowało do pańskiej dwudziestki dwójki.

–Dobra robota, Revson. Wezmę to z przyjemnością.

–Kule są zatrute cyjankiem, sir.

Cartland nie zawahał się.

–To mimo wszystko przyjemność.

ROZDZIAŁ VIII

Furgonetka z kolacją przyjechała o siódmej trzydzieści. Pasażerowie autobusu prezydenta znajdowali się w pobliżu namalowanej po północnej stronie linii granicznej, zbici w gromadkę i pochłonięci rozmową. April Wednesday, pod czujnym okiem strażnika, poszła spokojnie do sanitarki. Revson siedział na krześle, najwyraźniej przysypiając. Wzdrygnął się, gdy czyjaś ręka spoczęła na jego ramieniu.

–Jedzenie, mój chiński emisariuszu. – Branson obdarzył go swoim uśmiechem.

Revson usiadł prosto. – Z winem, jak sądzę?

–Najlepsze roczniki, jakie można kupić.

–Za czyje pieniądze?

–Nudzą mnie te pytania o drobiazgi. – Branson bacznie mu się przyglądał. Revson wstał i rozejrzał się wokół.

-Pańscy dostojni goście...

–Właśnie dociera do nich informacja.

–Mógł pan przynajmniej dać im czas na koktajl przed posiłkiem.

No cóż, nie dotyczy to arabskich przyjaciół prezydenta...

–Jeszcze zdążą. Jedzenie jest w podgrzewanych kontenerach.

–Branson znowu bacznie mu się przyjrzał. – Wie pan, Revson, pan mnie zastanawia. Można nawet powiedzieć: intryguje. Jest w panu jakaś – jakby to nazwać – bezkompromisowość. Nadal nie widzę w panu fotoreportera.

–Ani ja w panu sprawcy największego porwania wszechczasów.

Czy już za późno na pański powrót na Wall Street?

Branson poklepał Revsona po ramieniu.

–W imieniu prezydenta zapraszam do spróbowania najlepszych win.

–Nie bardzo rozumiem.

–Kto wie, co knują nasi przyjaciele-Medyceusze z Presidio?

–O tym nie pomyślałem. Nie ufa pan nikomu?

, – Nie.

. – Mam więc być królikiem doświadczalnym?

–Owszem. Pan i Cartland niepokojcie mnie.

–To pański słaby punkt. Nigdy nie należy się do nich przyznawać.

Prowadź, Macduffie.

Kiedy znaleźli się obok furgonetki, Branson zwrócił się do dostawcy, który miał na sobie bluzę w biało-niebieskie pasy:

–Jak się nazywasz?

Chłopak wykonał dziwny ruch ręką, który od biedy mógł uchodzić za salutowanie.

–Tony, panie Branson.

–Jakie masz wina?

–Trzy gatunki czerwonego i trzy białego, panie Branson.

–Postaw je przed nami, Tony. Pan Revson jest sławnym na cały świat sommelier. Innymi słowy, to znawca win.

–Tak jest, sir.

Na kontuarze pojawiło się sześć butelek i sześć kieliszków.

–Tylko ćwierć lampki z każdego gatunku. Nie chcę w nocy spaść z mostu. Masz chleb i sól?

–Tak, panie Revson. – Tony najwyraźniej czuł się jak w szpitalu psychiatrycznym.

Przegryzając chlebem i solą, Revson spróbował sześciu gatunków win.

–Wszystkie są równie znakomite – oznajmił na koniec. – Muszę o tym powiedzieć właścicielom francuskich winnic. Najlepsze wino kalifornijskie dorównuje najlepszemu z Francji.

–Wygląda na to, że jestem panu winien przeprosimy, Revson

–stwierdził Branson.

–Bynajmniej. Spróbujmy jeszcze raz. A może zechce pan napić się ze mną jednego z tych – hm – sprawdzonych win?

–Chyba nic nie ryzykuję.– Tony najwyraźniej sądził, że ma przed sobą dwóch pomyleńców.

–Proponuję coś z pańskich stron. Gamay Beaujolais z Almadeny.

–Hm. – Branson zastanowił się chwilę. – Co ty na to, Tony?

–Pan Revson ma doskonały smak, sir.

Wypili wino bez pośpiechu.

–Zgadzam się z obiema opiniami. Czy możesz już podawać kolację, Tony?

–Tak, sir. – Uśmiechnął się. – Jedną porcję już wydałem. Jakies dwadzieścia minut temu. Panu Hansenowi. Złapał ją i powiedział, że

jako władca imperium energetycznego potrzebuje energii.

–To się zgadza. – Branson leniwie odwrócił głowę. – Jest w autobusie, jak sądzę?

–Nie, sir. Poszedł z tacką na wschodnią stronę mostu, do barierki ochronnej. O tam! – Popatrzył w kierunku miejsca, które wskazywał palcem, i nagle wykrztusił: – O Boże!

–Co takiego?

–Proszę spojrzeć!

Spojrzeli. Hansen, osunąwszy się z barierki, upadł na jezdnię i leżał tam, wstrząsany konwulsjami. Branson i Revson, mając do przebycia sześć pasów ruchu, znaleźli się przy nim w ciągu sześciu sekund.

Hansen gwałtownie wymiotował. Mówili coś do niego, ale wyglądało na to, że nie jest w stanie odpowiadać. Jego ciałem wstrząsały dziwne, przerażające drgawki.

–Proszę tu zostać – powiedział Revson. – Sprowadzę O'Hare.

Kiedy dotarł do sanitarki, zastał tam doktora O'Hare i April. Jak należało się spodziewać, powitało go zdziwione uniesienie brwi.

–Szybko – powiedział. – Zdaje się, że pan Hansen był bardzo głodny i wziął niewłaściwą tackę. Wygląda na to, że kiepsko z nim.

O'Hare poderwał się. Revson zastąpił mu drogę.

–Pański doktor Isaacs przyrzędził chyba mocniejszy wywar niż mu się zdawało. Jeżeli to tak działa, niechże pan tam pójdzie i stwierdzi jakieś zatrucie pokarmowe. Proszę wezwać laboranta czy jak ich tam nazywacie. Nikomu, powtarzam, nikomu nie wolno już dotykać tego

jedzenia. Nie chcę odpowiadać za zbiorowe zabójstwo.

–Rozumiem. – O'Hare wziął do ręki torbę lekarską i pospiesznie wyszedł.

–Jak to się stało, Paul? – spytała April.

–Nie wiem. Jakaś brudna sprawa...Może to moja wina. Nie ruszaj się stąd.

Kiedy dotarł na drugą stronę mostu, Branson stał wyprostowany, a O'Hare z wolna się podnosił. Revson spojrzął na nich, po czym zwrócił się do O'Hare.

–I co?

O'Hare puścił bezwładny przegub, który trzymał w ręku.

–Obawiam się, że pan Hansen nie żyje.

–Nie żyje? – Tym razem Branson był wyraźnie wstrząśnięty. – Jak to nie żyje?

–Proszę pana, w tej chwili ja tu decyduję. Ta plastikowa tacka jest prawie pusta. Hansen zapewne wszystko zjadł.

O'Hare pochylił się nad zmarłym i marszcząc nos wciągnął głęboko powietrze. Potem powoli się wyprostował.

–To nie salmonella. Za mało czasu. Jad kielbasiany też nie. Działa szybko, ale nie aż tak, – O'Hare spojrzął na Bransona. – Chcę porozumieć się ze szpitalem.

–Nie pojmuję. A może najpierw zechce pan porozmawiać ze mną?

W głosie O'Hare brzmiało znużenie.

–Chyba tak. Zapach pochodzący z trzustki nie pozostawia wą-

pliwości. To jakieś zatrucie pokarmowe. Jakie, tego nie wiem. Lekarze mają swoje specjalności. Ja nie znam się na zatruciach. Proszę o kontakt ze szpitalem.

–Pozwoli pan, że będę się przysłuchiwał?

–Niech pan słucha do woli.

O'Hare rozmawiał z aparatu w tyle prezydenckiego autobusu. Branson trzymał słuchawkę telefonu prezydenta, a Revson siedział obok w głębokim fotelu.

–Ile potrzebujecie czasu, żeby porozumieć się z prywatnym lekarzem Hansena? – spytał O'Hare.

–Już jesteśmy w kontakcie.

–Zaczekam.

Wszyscy czekali. Obserwowali się wzajemnie, starannie to ukrywając. W telefonie znów odezwał się głos.

–Doktorze O'Hare?

–Słucham, sir.

–Hansen właśnie wraca, to znaczy wracał, do zdrowia po drugim, niemal śmiertelnym zawale.

–Dziękuję, sir. To wszystko wyjaśnia.

–Niezupełnie. – Branson odzyskał już zwykłe opanowanie. – Chcę, / żeby przysłano tu dwóch laborantów, którzy określą źródło tego zatrucia, jeśli tak to nazywacie. Mam na myśli tackę z żywnością. Chce dwóch oddzielnych analiz. Jeśli nie będą zgodne, jeden z laborantów zleci z mostu.

Głos O'Hare wydawał się jeszcze bardziej zmęczony.

–Mamy odpowiednich specjalistów w San Francisco. Znam dwóch bardzo dobrych. Jedyne, co ich łączy, to całkowita niezgodność opinii.

–W takim razie obu zrzucę z mostu. A pan będzie im towarzyszył.

Niech pan się z nimi natychmiast skontaktuje.

O'Hare wykonał polecenie.

–Tylko Amerykanin może mieć taki dar zawierania przyjaźni i oddziaływania na ludzi – powiedział Revson do Bransona.

–Z panem porozmawiam później. No i co, O'Hare?

–Przyjadą, ale musi pan zagwarantować im nietykalność. Do jasnej cholery, Branson, dlaczego mają narażać życie?

Branson zastanowił się. – Nie będą narażać życia. Niech pan odłoży słuchawkę. Potrzebuję telefonu. – Dał znak przez okno. Po paru sekundach wszedł Van Effen. Niósł swojego schmeissera w dość nieprzyjemny sposób. Branson przeszedł do tyłu. – Połączcie mnie z Hendrixem – powiedział.

Po upływie najwyżej dwóch sekund Hendrix był przy telefonie.

–Hendrix? – Głos Bransona jak zwykle nie zdradzał żadnych uczuć. – Obiecałem nietykalność lekarzom, którzy mają tu przyjechać.

Chcę, żeby zjawili się w towarzystwie pana i wiceprezydenta. – Nastąpiła krótka przerwa, po czym w telefonie dał się znów słyszeć głos Hendrixa.

–Pan Richards wyraża zgodę. Nie może pan jednak zatrzymać wiceprezydenta jako zakładnika.

–Tym razem ja się zgadzam.

–Daje pan słowo?

–O ile jest coś warte. Musi mi pan wierzyć, prawda? Nie ma pan możliwości się targować.

–Nie mam. Jest coś, o czym marzę, Branson.

–Wiem. Ale, moim zdaniem, kajdanki są tak mało eleganckie.

Zobaczymy się już za parę minut. Przyślijcie wóz transmisyjny. I niech ekipy telewizji będą w pogotowiu.

–Znowu?

–Uważam, że trzeba koniecznie uświadomić narodowi, jak wygląda modus operandi naszego establishmentu. – Branson odłożył słuchawkę.

Teraz z kolei Hendrix położył na widełki słuchawkę telefonu w wozie łączności tuż za Presidio i popatrzył na sześciu otaczających go mężczyzn.

–A więc stało się – powiedział do Hagenbacha. – Hansen nie żyje.

W sumie niczyja wina. Skąd można było wiedzieć, że poważnie chorował na serce? Ale jak to możliwe, że nikt o tym nie wiedział?

Dlaczego?

–Ja wiedziałem – odparł ponuro Hagenbach. – Hansen, jak niemal wszyscy wyżsi urzędnicy rządowi, trzymał w absolutnej tajemnicy informacje na temat stanu swego zdrowia. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy był dwukrotnie w Bethesda. Za drugim razem ledwo się z tego wykaraskał. Oficjalnie podano, że jest na leczeniu z powodu

przepracowania i wyczerpania. Jeśli więc ktoś tu zawinił, to tylko ja.

–Wygaduje pan bzdury i dobrze pan o tym wie – stwierdził Quarry.

–Kto mógł przewidzieć, że tak się stanie? To nie pańska wina

i z pewnością nie zawinił też doktor Isaacs. Powiedział nam, że środek jest całkowicie bezpieczny dla przeciętnie zdrowego, dorosłego człowieka. Trudno kwestionować opinię tak cenionego specjalisty. Nie mógł wiedzieć, że Hansen nie jest zdrowy, ani tym bardziej przewidzieć, że przez pomyłkę weźmie niewłaściwą tackę. A więc co będzie dalej?

–Wiadomo, co dalej – odparł Hendrix. – W siódmkę zostaniemy publicznie oskarżeni o morderstwo.

Ekipa telewizyjna dotarła już na środek mostu, ale chwilowo nie miała żadnego zajęcia. Dwaj lekarze specjaliści analizowali próbki pokarmu i mimo przepowiedni O'Hare tym razem wydawali się zgodni. Prezydent rozmawiał cicho z wiceprezydentem. Sądząc z wyrazu ich twarzy, nie mieli specjalnie o czym mówić.

Branson był z Hendrixem sam w autobusie prezydenta.

–Czy naprawdę chce pan mnie przekonać, że obaj z Hagenbachem nic na ten temat nie wiecie? – zapytał.

–Zupełnie nic – odparł zmęczonym głosem Hendrix. W ostatnich dniach notowano w mieście masowe zatrucia jadem kiełbasianym

–wskazał ręką na stojący na środku jezdni telewizor. – Jeśli cokolwiek pan tam ogląda, musiał pan o tym słyszeć. – Spojrzał z kolei na samochód dostawczy, przy którym krzatali się dwaj lekarze. – Oni

wiedzieli, w czym rzecz, zanim tu przyjechali. – Nie dodał natomiast, że polecił lekarzom, aby wykryli najwyżej tuzin zatrutych porcji.

–Odpowiada pan za życie ludzi, Branson.

–Czyż to nie dotyczy nas wszystkich? Niech pan idzie, do telefonu zamówić następne gorące posiłki. Pierwsze trzy porcje, wybrane na chybił trafił, będą dla prezydenta, króla i księcia. Rozumie pan, prawda?

Revson znajdował się w sanitarce z O'Hare i April Wednesday, która leżała pod kocem na składanym łóżku.

–Musiałeś mnie tak urządzić? – zapytała znużonym głosem.

–Musiałem. Przecież nie lubisz miażdżenia palców.

–Nie lubię. Może nie jesteś takim potworem, jak sądziłam. Ale doktor O'Hare...

–Doktor O'Hare, jakby sam powiedział w swoim ojczystym języku, to inna para kaloszy. Co mówił Branson?

–Ta sama lina. Od strony zatoki – powiedziała sennie i zamknęła oczy. O'Hare wziął Revsona pod ramię.

–Ma już dosyć – powiedział ścisząc głos.

–Na jak długo?

–Dwie godziny. Co najmniej.

–Moje flamastry.

O'Hare wyciągnął je z notatnika. – Czy na pewno pan wie, co pan robi?

–Mam nadzieję. – Myślał przez chwilę, po czym dodał: – Będą

pana przesłuchiwali.

–Wiem. Potrzebuje pan latarkę?

–Później.

Kylenski, starszy z dwóch lekarzy badających tacki z żywnością, oświadczył Bransonowi:

–Mój kolega i ja wykryliśmy dwanaście zatrutych porcji.

Branson spojrział, na Van Effena, a potem znów na Kylenskiego.

–Tylko, tyle? Dwanaście? A nie siedemnaście?

Kylenski miał siwą brodę i wąsy oraz arystokratyczne, orle spojrzenie.

–Dwanaście. Nieświeże mięso. Jakaś odmiana jadu kielbasianego.

Nie trzeba nawet próbować. Wystarczy zapach.– To znaczy, mnie wystarczy. Hansen widocznie tego nie poczuł.

–Grozi śmiertelnym zatruciem?

–W tym stężeniu zazwyczaj nie. To nie trucizna zabiła Hansena.

Przynajmniej nie bezpośrednio. Spowodowała jednak z pewnością nawrót poważnych dolegliwości serca, na które od dawna cierpiał, i to go zabiło.

–Jak by to podziało na przeciętnie zdrowego człowieka?

–Obezwładniająco. Gwałtowne wymioty, ewentualne krwawienie żołądka, utrata przytomności albo coś bardzo podobnego.

–Człowiek byłby więc dość bezradny?

–Byłby niezdolny do działania, a zapewne także do myślenia.

–Co za wspaniała perspektywa. Dla niektórych. – Branson znów

spojrzał na Van Effena. – Co ty na to?

–Chcę się dowiedzieć tego samego, co pan. – Van Effen odwrócił się do Kylenskigo. – Czy ktoś mógł celowo zatruc jedzenie?

–Któż, na Boga, chciałby zrobić coś takiego?

–Niech pan odpowie na pytanie – rzucił Branson.

–Każdy lekarz specjalizujący się w tej dziedzinie, każdy naukowiec czy nawet w miarę doświadczony laborant potrafiłby wyhodować odpowiednie toksyny.

–Musiałby jednak być lekarzem albo mieć jakiś związek z medycyną? Znaczący, że wymagałoby to fachowej wiedzy i sprzętu laboratoryjnego?

–Zazwyczaj tak.

Branson zwrócił się do chłopaka z samochodu dostawczego.

–Wyjdź no zza tej lady, Tony.

Tony zrobił, co mu kazano. Najwyraźniej trząśnięty ze strachu.

–Wcale nie ma upału, Tony – stwierdził Branson. – Prawdę mówiąc, robi się dość chłodno. Dlaczego się pocisz?

–Nie lubię przemocy i stosowania broni.

–Na razie nikt nie potraktował cię brutalnie ani nawet nie mierzył do ciebie z pistoletu. Ale i jedno, i drugie może ci się przydarzyć w niedalekiej przyszłości. Myślę, Tony, że masz nieczyste sumienie.

–Ja? Sumienie? – Tony otarł pot z czoła. Może i nie miał nic na sumieniu, coś go jednak z pewnością dręczyło. – Na Boga, panie Branson...

–Nawet w bajkach nie zdarza się naraz tuzin przypadkowych zbiegów okoliczności. Tylko głupiec mógłby w to uwierzyć. Musiał istnieć sposób rozpoznania zatrutych porcji. Jaki sposób, Tony?

–Niech pan mu da spokój, Branson. – Głos wiceprezydenta Richardsa brzmiał szorstko i pogardliwie. – To przecież tylko kierowca furgonetki.

Branson zlekceważył -go.

–Jak można było rozpoznać tacki?

–Nie wiem! Naprawdę! Nie wiem nawet, o czym pan mówi!

Branson zwrócił się do Kowalskiego i Petersa.

–Zrzućcie go z mostu. – Powiedział to takim tonem, jakby prowadził najzwyczajszą rozmowę.

Tony zaryczał jak zwierzę, ale nie opierał się, gdy Kowalski i Peters chwycili go pod ręce i zaczęli prowadzić. Był blady, a strugi potu spływały mu po twarzy. Kiedy wreszcie przemówił, jego pełen niedowierzania głos brzmiał jak nieznośne krakanie.

–Zrzucić mnie z mostu! To morderstwo! Morderstwo! Na Boga, nie wiem...

–Zaraz pewnie mi powiesz, że masz żonę i troje dzieci.

–Nie mam nikogo. – Postawił oczy w śłup. Nogi ugięły się pod nim. Ludzie Bransona musieli ciągnąć go przez jezdnię. Wiceprezydent i Hendrix chcieli zagrozić drogę, całej trójce. Zatrzymali się, gdy Van Effen podniósł lufę swojego schmeissera.

Van Effen odezwał się do Bransona:

–Ktoś, kto potrafiłby te porcje rozpoznać, byłby w posiadaniu ważnej i niebezpiecznej informacji. Czy powierzyłby pan coś takiego Tony'emu?

–Ani na chwilę. Ma już dość?

–Powie wszystko, co wie. Podejrzewam, że nie będzie tego wiele.

–Podniósł głos. – Dajcie go tutaj.

Przyprowadzono Tony'ego i puszczono wolno. Osunął się ciężko na jezdnię, z trudem stanął na nogi i dygocąc oparł się o swoją furgonetkę. Głos drżał mu tak samo jak całe ciało.

–Nie wiem nic na temat tych tacek! Przysięgam!

–Powiedz, co wiesz.

–Czułem, że coś jest nie tak, kiedy mi je ładowali do samochodu.

–W szpitalu?

–Jak to w szpitalu? Ja tam nie pracuję. Pracuję u Selznicka.

–Znam tę firmę. Obsługują imprezy na wolnym powietrzu. No

i co?

–Kiedy przyjechałem, powiedzieli mi, że porcje są gotowe. Zwykle załaduję samochód i odjeżdżam w ciągu pięciu minut. Tym razem trwało to trzy kwadransy.

–Czy czekając u Selznicka widziałeś kogoś ze szpitala?

–Nikogo.

–Jeszcze trochę pożyczysz, Tony. O ile nie ruszysz tego swojego cholernego żarcia. – Zwrócił się do O'Hare. – A więc zostaje tylko pan i delikatna panna Wednesday.

–Sugeruje pan; że któreś z nas przywiozło tajne instrukcje od domniemanych trucicieli? – W głosie O'Hare było więcej pogardy niż niedowierzania.

–Owszem. Poprośmy tu pannę Wednesday.

–Niech pan da jej spokój – powiedział O'Hare.

–Co pan powiedział? Kto tu wydaje polecenia?

–Ja, gdy chodzi o moich pacjentów. Musiałby ją pan tu przynieść.

Śpi w sanitarce. Dostała silne środki uspokajające. Nie wierzy mi pan na słowo?

–Nie. Kowalski, idź sprawdzić. Wiesz jak. Dwa palce pod żołądek.

Kowalski wrócił w ciągu dziesięciu sekund.

–Śpi jak zabita.

Branson spojrzał na O'Hare.

–Jakież to wygodne. Może chciał pan jej zaoszczędzić przesłuchania?

–Nędzny z pana psycholog, Branson. Jak pan wie, panna Wednesday nie jest stworzona do bohaterских czynów. Czy ktokolwiek powierzyłby jej jakieś ważne informacje? – Branson nie odpowiedział.

–Poza tym mówią, że nigdy nie krzywdzi pan kobiet. To ponoć jedyna pańska zaleta.

–Skąd te informacje?

–Od Hendrixa, szefa policji. Wygląda na to, że sporo o panu wie.

–Potwierdza pan to, Hendrix?

–A czemu nie? – odparł Hendrix lakonicznie.

–Zostaje więc tylko pan, doktorze – stwierdził Branson.

–Jako główny podejrzany? Traci pan wycucie sytuacji. – Wskazał głową na nosze z przykrytym ciałem Hansena. – Nie chcę uchodzić za świętoszka, ale jako lekarz zajmuję się ratowaniem życia, a nie odbieraniem go. Nie zależy mi, żeby stracić miejsce w spisie lekarzy. Poza tym od przyjazdu furgonetki z żywnością nie opuszczałem sanitarki. Nie mogłem równocześnie być w sanitarce i zajmować się identyfikacją tych cholernych tacek.

–Zgadza się, Kowalski? – spytał Branson.

–Mogę" za to ręczyć, panie Branson.

–Po swoim powrocie i przed przyjazdem furgonetki rozmawiał pan jednak z ludźmi.

–Rzeczywiście – powiedział Kowalski. – Z wieloma osobami.

Panna Wednesday także.

–O niej zapomnijmy. Chodzi o naszego pocziwego doktora.

–Rozmawiał z wieloma osobami.

–Z kimś w szczególności? Chodzi mi o długie, szczere pogawędki, ... coś w tym stylu.

–Owszem. – Kowalski był wyjątkowo spostrzegawczy albo miał niepokojąco dobrą pamięć. A może jedno i drugie. – Były trzy takie rozmowy. Dwie z panną Wednesday...,

–Zapomnij o tej damie. Miała dość czasu, żeby rozmawiać z nim w karetce w drodze do szpitala i z powrotem. Z kim jeszcze?

–Z Revsonem. To była długa rozmowa.

–Słyszałeś coś?

–Nie. Byli prawie trzydzieści metrów ode mnie i z wiatrem.

–Coś sobie podawali?

–Nie. – Kowalski był tego pewien.

–O czym rozmawialiście? – Branson zwrócił się do O'Hare.

–Tajemnica lekarska.

–Innymi słowy, to nie mój zafajdany interes?

O'Hare nic nie odpowiedział. Branson popatrzył na Revsona.

–Ja nie mam tajemnic – stwierdził Revson. – Mówiliśmy o wszystkim i o niczym. Odkąd przyjechaliśmy, rozmawiałem przynajmniej z trzydziestoma osobami, w tym także z pańskimi ludźmi. Dlaczego ten jeden przypadek ma być szczególny?

–Miałem nadzieję, że pan mi to powie.

–Nie ma o czym mówić.

–Jest pan dość opanowany, prawda?

–Mam czyste sumienie. Powinien pan kiedyś sam spróbować, jakie to uczucie.

–Poza tym, panie Branson – odezwał się ponownie Kowalski

–Revson rozmawiał długo z generałem Cartlandem.

–O! Także o wszystkim i o niczym, generale?

–Nie. Omawialiśmy możliwości oczyszczenia mostu z pewnych niepożądanych elementów.

–W pańskich ustach brzmi to nawet wiarygodnie. Czy rozmowa była owocna?

Cartland przyglądał mu się z lodowatym milczeniem.

Branson spojrzał zamyślony na Van Effena. – Mam wrażenie, po prostu niejasne wrażenie, że jest wśród nas szpicel.

Van Effen patrzył na niego bez słowa z kamienną twarzą.

–Moim zdaniem doktor odpada – ciągnął Branson. – Sprawdziliśmy jego papiery, a poza tym instynkt mi podpowiada, że po moście kręci się jakiś wyszkolony agent. To znów by wykluczało O'Hare.

Znalazł się tu przypadkiem. Podzielasz moje odczucia?

–Tak.

–A więc kto to jest?

–Revson. – Van Effen nie miał wątpliwości.

Branson skinął na Chryslera. – Revson twierdzi, że jest akredytowanym korespondentem londyńskiego "Timesa". Jak szybko możesz to sprawdzić?

–Z pomocą prezydenckiego centrum łączności?

–Tak.

–W parę minut.

Revson odezwał się:

–Pewnie powinienem okazać święte oburzenie, ale nie będę sobie zawracał tym głowy. Dlaczego to miałbym być ja? Dlaczego w ogóle zakładać, że to któryś z dziennikarzy? Czemu nie jeden z pańskich ludzi?

–Ponieważ osobiście ich dobrałem.

–Tak samo jak Napoleon swoich marszałków. Niech pan zauważy,

ilu z nich zwróciło się w końcu przeciw niemu. Nie pojmuję, jak może pan oczekiwać lojalności od takiej zgrai zabijaków, choćby nie wiadomo jak dobranych.

–Na razie wystarczy – powiedział bez pośpiechu Van Effen.

Dotknął ramienia Bransona, wskazując na wschód. – Możemy nie mieć zbyt wiele czasu.

–Masz rację. – Znad Pacyfiku nadciągały ciemne, ciężkie i złowieszcze chmury. Na razie były jeszcze w odległości paru kilometrów.

–Widzowie nie byliby zachwyceni patrząc, jak prezydent i wiceprezydent – że nie wspomnę o ich arabskich przyjaciółach – siedzą tu i mokną w czasie burzy. Powiedz Johnsonowi, żeby ustawił kamery i miejsca do siedzenia. – Czekał, aż Van Effen wypełni jego polecenie, a potem poszedł z nim do miejsca, gdzie samotnie stał Revson.

–Revson twierdzi, że przeszukałeś już jego aparat? – spytał Van Effena.

–Tak. Ale nie rozebrałem go na części.

–Może powinniśmy to zrobić.

–A może nie powinniście. – Tym razem Revson okazał zdenerwowanie. – Wiecie, że trzeba pięciu lat szkolenia, żeby nauczyć się składać taki aparat? Jeśli macie go zniszczyć, zatrzymajcie lepiej ten cholerny sprzęt, dopóki tu zostaniemy.

–Nie daj się nabrać na ten blef. Trzeba go rozłożyć – stwierdził Branson.

–Zgadza się. – Głos Van Effena brzmiał niemal uspokajająco,

gdy odezwał się do Revsona. – Poprosimy o to Chryslera. Ma złote ręce jak nikt inny. Aparat będzie nienaruszony. – Potem zwrócił się do Bransona. – Przeszukałem też jego torbę, obicie fotela, miejsce pod fotelem i półkę u góry. Niczego tam nie ma.

–Zrewiduj go.

–Zrewidować mnie? – Twarz Revsona wyrażała wciąż wojownicze nastawienie. – Już to zrobiono.

–Szukano tylko broni.

Van Effen nie przeoczyłby nawet ziarnka ryżu ukrytego pod podszewką kurtki Revsona. Oprócz kluczy, monet i niegroźnego scyzoryka znalazł jedynie dokumenty.

–To, co zwykle – stwierdził. – Prawo jazdy, ubezpieczenie, karty kredytowe, legitymacje prasowe...

–Legitymacje! – przerwał Branson. – Czy którąś wystawił londyński "Times"?

–Tę. – Van Effen wręczył Bransonowi kartę. – Wygląda dość solidnie.

–Jeśli jest tym, za kogo go bierzemy, nie wynająłby najgorszego fałszerza w mieście. – Oddał kartę, marszcząc nieco brwi. – Masz coś jeszcze?

–Tak. – Van Effen otworzył podłużną kopertę. – Bilet lotniczy. Do Hongkongu.

–Czyżby na jutro?

–Tak. Skąd pan wie?

–Sam mi powiedział. Co o tym sądzisz?

–Nie wiem. – Przez chwilę, gdy Van Effen machinalnie wziął do ręki flamastry Revsona, i on, i Branson byli o włos od śmierci. Van Effen myślał jednak o czymś innym. Włożył je na miejsce, otworzył paszport Revsona i szybko go przekartkował. – Sporo podróżuje. Mnóstwo wyjazdów do południowo-wschodniej Azji, ostatni jakieś dwa lata temu. Cała kolekcja pieczętek z Bliskiego Wschodu. Niewiele z Europy czy Londynu, ale to o niczym nie świadczy. Tam pracuje kupa próżniaków. Brytyjczycy i niemal wszyscy Europejczycy – myślę o Europie Zachodniej – podbijają paszporty przy odprawie tylko wtedy, gdy muszą trochę poćwiczyć. Co pan myśli o tym wszystkim?

–Pasuje do tego, co sam mi powiedział. A twoim zdaniem?

–Jeśli jest podstawiony, trochę za wiele tego kamuflażu. Dlaczego nie Milwaukee? Czy choćby San Francisco?

–Jest pan mieszkańcem San Francisco? – spytał Branson.

–Z wyboru.

–Kto jeździłby przez dwanaście lat po świecie po to tylko, żeby zapewnić sobie taką przeszłość, tego rodzaju alibi? – zastanawiał się Van Effen.

Nadszedł Chrysler. Branson spojrzał na niego z pewnym zdziwieniem.

–Już załatwione?

–Prezydent ma "gorącą linię" z Londynem. Chyba nie zgłasza pan sprzeciwu? Revson jest czysty. Ma pełną akredytację w londyńskim

"Timesie".

Revson odezwał się do Chryslera:

–Branson chce, żeby rozłożył pan na części mój aparat. Wewnątrz jest bomba zegarowa albo radio. Proszę uważać, żeby się pan nie wysadził w powietrze. A potem niech pan zadba, do cholery, żeby wszystko z powrotem złożyć!

Branson skinął głową, na co Chrysler uśmiechnął się, zabrał aparat i wyszedł.

–Czy to już wszystko? – spytał Revson. – A może chcecie znaleźć u mnie skrytki w obcasach?

Bransona wcale to nie bawiło.

–Ciągle nie czuję się przekonany. Skąd mam wiedzieć; że ten Kylenski nie jest w zмовie z trucicielami? Skąd mam wiedzieć, czy nie kazano mu znaleźć tylko dwunastu zatrutych porcji, żeby uśpić nasze podejrzenia? Powinno być siedemnaście spreparowanych tacek. Na moście powinien – musi – znajdować się ktoś, kto potrafi je rozpoznać. Chcę, żeby spróbował pan, Revson, jednej z porcji, które Kylenski uznał za dobre.

–Chce pan, żebym... Chce pan uśmiercić mnie jadem kiełbasianym, jeśli okaże się przypadkiem, że Kylenski się pomylił? Nie, do cholery, nie jestem królikiem doświadczalnym.

–A więc wypróbujemy parę porcji na prezydencie i jego przyjaciółkach. Na królewskich królikach, skoro pan tak chce. Ten przypadek wejdzie do historii...medycyny. Jeśli będą się opierać, nakarmimy

ich siłą.

Revson chciał właśnie zwrócić uwagę na oczywisty fakt, że równie dobrze mogą jego zmusić do jedzenia, ale nagle zmienił zdanie.

Cartland nie miał jeszcze okazji poinformować ludzi z autobusu prezydenta, w jaki sposób rozpoznawać zatrute porcje. Poza O'Hare był jedyną osobą, która mogła to zrobić. Revson rozłożył ręce.

–Bóg jeden wie, do czego pan zmierza, ale ufam naszym lekarzom.

Skoro twierdzą, że inne porcje nie są skażone, jestem skłonny im wierzyć. Ma pan więc swojego królika z plebsu.

Branson przyjrzał mu się uważnie:

–Dlaczego zmienił pan zdanie?

–Wie pan, Branson, pańska przesadna podejrzliwość nie zna granic

–odparł na luzie Revson. – Sądząc z wyrazu twarzy pańskiego zastępcy, Van Effena, chyba się ze mną zgadza. – Revson pomyślał, że nie zaszkodzi posiać ziarna niezgody. – Niektórzy ludzie uznaliby to nawet za przejaw słabości czy zwątpienia. Godzę się, bo nie przepadam za panem. Każda zbroja ma jakieś rysy. Nabieram przekonania, że pańska wiara we własną nieomylność może się opierać na dość kruchych podstawach. Poza tym, plebejuszy składa się w ofierze, a prezydentów i królów nie.

Branson, uśmiechając się z pewnością siebie, zwrócił się do Tony'ego.

–Wyłóż na ladę dziesięć nie skażonych porcji. – Tony wykonał polecenie. – A więc, Revson, którą zechce pan spróbować?

–Myli się pan, Branson. Nadal pan podejrzewa, że potrafię rozpoznać tacki z trucizną. A może wybierze pan za mnie?

Branson skinął głową i wskazał jedną z porcji. Revson podszedł, podniósł wskazaną tackę i powąchał ją, powoli i ostrożnie. Opuszkami palców dotknął ukradkiem od spodu plastikowych uchwytów, nie wyczuwając żadnych nacięć. Ta porcja nie była zatruta. Wziął łyżkę i wbił ją w środek czegoś, co wyglądało na przyrumienioną zapiekankę. Spróbował mięsa, skrzywił się, zaczął je przeżuwać, potem połknął. Po chwili powtórzył to wszystko i odłożył tackę z obrzydzeniem.

–Nie smakuje panu? – spytał Branson.

–Gdybym był w restauracji, odesłałbym to do kuchni. Albo najpewniej sam bym poszedł i rzucił tym w kucharza. Tego, kto to przyrządził, nie powinno się zresztą nazywać kucharzem.

–Sądzi pan, że jest zatrute?

–Nie, po prostu obrzydliwe.

–Może spróbuje pan następną porcję?

–Nie, dziękuję. Poza tym była mowa tylko o jednej.

–No, dalej – powiedział z naciskiem Branson! – Niech pan nie odmawia współpracy.

Revson popatrzył wilkiem, ale zrobił to, o co go proszono. Druga /porcja również nie była znaczone. Odegrał na nowo swoje przedstawienie, a ledwo skończył, Branson wręczył mu trzecią tackę. Ta miała nacięcia pod uchwytami.

Revson rozdarł opakowanie, podejrzliwie pociągnął nosem, wziął

odrobinę jedzenia do ust i natychmiast wszystko wypluł.

–Nie wiem, czy tu jest trucizna, czy nie, ale smakuje i pachnie bardziej obrzydliwie niż tamte dwie porcje. O ile to w ogóle możliwe.

Podsunał tackę pod nos Kylenskiemu, który powąchał ją i podał swemu koledze.

–No i co? – spytał Branson.

Kylenski nie miał pewności.

–To niewykluczone. Jakiś marginalny przypadek. Należałoby zbadać próbkę w laboratorium. – Popatrzył z namysłem na Revsona.

–Czy pan pali?

–Nie.

–Pije?

–Tylko z okazji urodzin i pogrzebów.

–To by wyjaśniało sprawę – stwierdził Kylenski. – Ludzie, którzy nie palą i nie piją, miewają bardzo wyczulony zmysł smaku i węchu.

Revson niewątpliwie się do nich zalicza.

Nie pytając nikogo o zdanie, Revson zbadał następnych sześć tacek.

Odsunął je wszystkie i zwrócił się do Bransona.

–Chce pan znać moje zdanie? – Branson skinął głową. – Te porcje w większości nie nadają się do jedzenia. Nie wszystkie, ale większość.

Niektóre z nich tylko lekko czuć, inne po prostu śmierdzą. Moim zdaniem ta cała partia żywności jest zatruta. Mniej lub bardziej.

Branson spojrzał na Kylenskiego. – Czy to możliwe?

Kylenski poczuł się nieswojo.

–To się zdarza... Jad kielbasiany występuje w bardzo różnych stężeniach. Nie dalej niż w zeszłym roku mieliśmy przypadek zatrucia dwóch rodzin w Nowej Anglii. Pojechali na wycieczkę, w sumie dziesięć osób- Jedli, między innymi, kanapki. Z jadem kielbasianym. Pięć osób zmarło, dwie trochę chorowały, trzem w ogóle nic nie było. We wszystkich kanapkach była ta sama pasta z mięsa.

Branson i Van Effen odeszli na bok.

–Czy nie wystarczy? – spytał Van Effen,

–Chcesz powiedzieć, że nie ma sensu tego ciągnąć?

–Traci pan wiarygodność, panie Branson.

–Słusznie. Nie jestem tym zachwycony, ale masz rację. Problem w tym, że w gruncie rzeczy musimy polegać na słowie Revsona.

–Znalazł przecież w sumie dwadzieścia zatrutych porcji. O trzy więcej niż było trzeba.

–Kto tak twierdzi? Revson?

–Ciągle mu pan nie ufa, mając tyle dowodów?

–Jest zbyt opanowany, "zbyt rozluźniony. Z pewnością doskonale go przeszkolono, ma znakomite kwalifikacje, i to nie jako fotograf. Tego jestem cholernie pewny.

–Może i na tym się zna.

–Bardzo możliwe.

–A więc nadal chce pan to traktować jako przypadek celowego zatrucia?

–Wobec naszej wielkiej widowni? A któż to zakwestionuje? Trzy-

mam w ręku jedyny mikrofon.

Van Effen spojrział w kierunku południowej wieży.

–Jedzie druga furgonetka z żywnością.

Kamerzyści z telewizji, honorowi goście, dziennikarze i fotoreporterzy w ciągu paru chwil zajęli wyznaczone przez Bransona miejsca.

Od zachodu nadciągały powoli w ich kierunku czarne, burzowe chmury. Wszyscy siedzieli tak, jak poprzednio, z tą tylko różnicą, że miejsce Hansena zajął wiceprezydent. Kamery poszły w ruch. Branson, siedzący obok prezydenta, mówił do mikrofonu:

–Wzywam telewidzów w Ameryce i na całym świecie na świadków ohydnej zbrodni, którą popełniono przed godziną na tym moście.

Ufam, że zbrodnia ta przekona państwa, iż nie wszyscy przestępcy stoją poza prawem. Proszę przyjrzeć się tej furgonetce, na której kontuarze widać tacki z żywnością. Pomyślicie pewnie, że wyglądają niezbyt apetycznie, ale niewinnie. Takie jedzenie serwują pasażerom wszystkie większe linie lotnicze. Czy rzeczywiście nadaje się do spożycia? – Zwrócił się do siedzącego obok człowieka. Kamera pokazywała teraz obu mężczyzn. – Oto doktor Kylenski, najlepszy specjalista w dziedzinie medycyny sądowej na Zachodnim Wybrzeżu. Ekspert od zatruc. Doktorze Kylenski, czy ta żywność jest rzeczywiście zdatna do spożycia?

–Nie.

–Musi pan mówić głośniejszym głosem, doktorze.

–Nie. Nie nadaje się. Niektóre porcje są skażone.

–Ile porcji?

-. Połowa. Może więcej. Nie mam tu laboratorium, żeby to stwierdzić.

–Skażone. To znaczy zatrute. Czym są zatrute, doktorze?

–Bakteriami. Jadem kiełbasianym. To główne źródło poważnych zatruc pokarmowych.

–Na ile poważnych? Czy zatrucie bywa śmiertelne?

–Tak.

–Często?

–Tak.

–Zazwyczaj skażenie powstaje samoistnie, w psującym się pokarmie czy czymś takim?

–Tak jest.

–Odpowiednią hodowlę można jednak uzyskać syntetycznie, czyli sztucznie, w laboratorium?

–Upraszcza pan sprawę.

–Mówimy głównie do laików.

–Tak, jest to możliwe.

–A zatem spreparowane pałeczki jadu można wstrzyknąć do gotowych, zdatnych do spożycia potraw?

–Tak sądzę.

–Tak czy nie?

–Tak.

–Dziękuję, doktorze Kylenski. To wszystko,

Revson, nadal pozbawiony aparatu, stał z O'Hare obok sanitarki.

–Jak na kogoś, kto nigdy nie stawał przed sądem, Branson nieźle sobie radzi w roli oskarżyciela.

–To wszystko wina telewizji.

Branson mówił dalej:.

–Informuję wszystkich, którzy nas oglądają, że władze – wojsko, policja, FBI, rząd czy kto tam jeszcze – próbowały z całą premedytacją zamordować lub przynajmniej unieszkodliwić sprawców zatrzymania na moście prezydenta i towarzyszących mu osób. Musi być wśród nas ktoś, kto wiedział, jak rozpoznać zatrute porcje i miał zadbać o to, by trafiły we właściwe ręce, to znaczy do mnie i moich kolegów. Na szczęście próba się nie powiodła. Ktoś jednak padł jej ofiarą, o czym wspomnę później.

Tymczasem proszę zauważyć, że przyjechała właśnie druga furgonetka z żywnością. – Kamera posłusznie skierowała uwagę widzów na ten fakt. – Władze nie będą chyba na tyle ograniczone, by posunąć się jeszcze raz do czegoś podobnego, chociaż z drugiej strony zdążyły już wykazać się niewiarygodną wprost głupotą. Wybierzemy więc pierwsze z brzegu trzy tacki i poczęstujemy prezydenta, króla i księcia. Jeśli przeżyją, będziemy mogli wyciągnąć logiczny wniosek, że żywność nie jest zatruta. Z kolei jeśli poważnie się rozchorują albo stanie się coś gorszego, świat będzie wiedział, że nie my ponosimy za to winę. Jesteśmy w stałym radiowym kontakcie z policją i wojskiem w mieście. Mają minutę, żeby nas zawiadomić, czy przysłana żywność

jest zatruta.

Burmistrz Morrison stanął na nogi. Van Effen uniósł nieco lufę schmeissera, ale Morrison go zignorował, zwracając się do Bransona.

–Pomijając osobiste zniewagi i poniżenie, jakiego nie szczędzi pan prezydentowi i jego królewskim gościom, czy nie mógłby pan wybrać do swoich eksperymentów kogoś niższego rangą?

–Kogoś takiego jak pan?

–Właśnie jak ja.:

–Drogi burmistrzu, pańska osobista odwaga nie podlega dyskusji.

Wszyscy o tym wiedzą. Inteligencją pan jednak nie grzeszy. Muszę poddać próbie właśnie tych trzech ludzi, którzy są dziś zapewne najważniejszymi osobami w całych Stanach. Perspektywa ich przedwczesnego zniknięcia ze sceny powstrzymałaby najskuteczniej zapędy potencjalnych trucicieli. W dawnych czasach poddani próbowali żywienia władców. Czy to nie zabawne, że role się odmiały? Proszę usiąść.

–Pieprzony megaloman! – stwierdził Revson.

O'Hare przytaknął. – Ma pan rację, ale jest w tym coś więcej. On cholernie dobrze wie, że to żarcie nie może być niczym nafaszerowane, a jednak nie rezygnuje z całego przedstawienia. Bawi go nie tylko własny występ. Znajduje w tym wszystkim sadystyczną przyjemność, szczególnie w poniżaniu prezydenta.

–Myśli pan, że ma coś z głową? To znaczy, że jest chory umysłowo?

–Nie jestem psychiatrą. Osiągnąłby wszystko, czego chce, bez tej całej komedii i reklamy w telewizji. Z pewnością żywi jakąś urazę do społeczeństwa w ogóle, a do prezydenta w szczególności. To jasne, że chodzi mu o pieniądze, ale także o coś innego. Chce chyba stać się postacią znaną w całym kraju, a może i na świecie.

i – Jeśli tak jest, to nieźle zaczął. W zasadzie osiągnął już wszystko. Wygląda na to, że teraz coś sobie z nawiązką rekompensuje. Bóg jeden wie, co.

Przyglądali się, jak w stronę ustawionych rzędami krzeseł niesiono trzy tacki z żywnością.

–Sądzi pan, że to zjedzą? – spytał O'Hare.

–Zjedzą. Przedewszystkim nie znieśliby poniżającego karmienia na siłę na oczach setek milionów widzów. Odwaga prezydenta jest powszechnie znana. Pamięta pan pewnie jego życiorys z czasów

drugiej wojny światowej na Pacyfiku. Poza tym jako prezydent musi dawać przykład całemu narodowi. Jeśli jego arabscy przyjaciele zdecydują się jeść, a on odmówi, będzie skończony w następnych wyborach. I na odwrót: przyjaciele prezydenta stracą twarz, jeśli on będzie jadł, a oni nie.

Jedli wszyscy. Branson wskazał głową na tacki, gdy tylko Chrysler przeczącym ruchem dłoni dał mu znak z prezydenckiego autobusu. Prezydent nie pozwolił, rzecz jasna, usunąć się w cień i jako pierwszy chwycił za nóż i widelec. Nie można powiedzieć, by jadł z niepokohowanym apetytem, ale z całą powściągliwością przebrnął przez ponad połowę porcji, zanim odłożył sztućce.

–I co pan powie? – spytał Branson.

–Nie podałem tego gościom w Białym Domu, ale da się zjeść.

–Pomimo całego upokorzenia, jakiego z pewnością doznawał, prezydent zachował zadziwiająco zimną krew. – Nie zaszkodziłoby jednak trochę wina.

–Za parę chwil dostanie go pan, ile zechce. Mam wrażenie, że niedługo wiele innych osób także poczuje chęć, żeby się pokrzepić.

Przy okazji, jeśli to państwa nadal interesuje, jutro o dziewiątej rano będziemy przymocowywać drugi pas z materiałami wybuchowymi.

O dziewiątej naszego czasu, oczywiście. A teraz skierujmy kamery na nosze.

U wezłowia osłoniętych płótnem noszy stało dwóch ludzi. Na polecenie Bransona ściągnęli górną część płótna. Kamery dały zbliże-

nie bladej, wychudłej twarzy martwego człowieka", pokazywały ją przez dziesięć nieskończenie długich i pełnych milczenia sekund, po czym na ekranie pojawił się znów Branson.

–John Hansen, władca waszego imperium energetycznego. Stwierdzono zgon wskutek zatrucia jadem kiełbasianym. Chyba po raz pierwszy w historii poszukiwany przestępca oskarża o morderstwo legalną władzę. Być może jest to morderstwo drugiego stopnia, tym niemniej tak właśnie brzmi moje oskarżenie.

Hagenbach sypał inwektywami jak z rękawa. Niektóre określenia, jak "nikczemny, wykolejony, potworny, zdeprawowany sukinsyn", można było rozróżnić, ale cała reszta nie nadawała się do powtórzenia. Newson, Carter, Milton i Quarry chwilowo milczeli, ale ich twarze dowodziły aż nadto wyraźnie, że zgadzają się w całej rozciągłości z wyrażanymi głośno poglądami Hagenbacha. Hagenbach był jednak tylko człowiekiem i w końcu zabrakło mu tchu.

–Ładnie nas urządził. – Biorąc pod uwagę okoliczności, opanowanie Milтона było godne podziwu.

–Ładnie? – Quarry szukał lepszego słowa, ale dał za wygraną.

–Jeśli zrobi jeszcze jeden taki numer – jeżeli my zrobimy znowu coś takiego – połowa narodu stanie po stronie Bransona. Co teraz?

–Poczekajmy na wiadomość od Revsona – stwierdził Hagenbach.

–Od Revsona? – Admirał Newson nie był zachwycony pomysłem.

–Jak dotąd niczym szczególnym się nie popisał.

–Sto do jednego, że Revson nie zawinił – powiedział Hagenbach.

–Proszę nie zapominać, że to my podjęliśmy ostateczną decyzję.

Wspólnie ponosimy odpowiedzialność, panowie.

Siedzieli wokół stołu, odczuwając nieznośny ciężar odpowiedzialności. Każdy z nich był jak Atlas, dźwigający na ramionach swój własny świat.

ROZDZIAŁ IX

Tego wieczoru wydarzenia na moście rozgrywały się szybko, ale w sposób zorganizowany. Specjalna karetka zabrała nosze ze zwłokami Hansena. Wyglądało na to, że sekcja okaże się tylko stratą czasu. Taki był jednak wymóg prawa w sytuacji, gdy ktoś umierał w niezwykłych okolicznościach. Doktor Kylenski i jego kolega wsiadali do karetki z wyraźną ochotą. Dziennikarze, zakładnicy i porywacze jedli kolację. Trudno się dziwić, że tym pierwszym i tym drugim wyraźnie nie dopisywał apetyt, za to pragnienie mieli tak wielkie, iż trzeba było zamówić dodatkowe napoje. Opuścili most dwa wozy transmisyjne telewizji, a wkrótce potem obie furgonetki z żywnością. Na końcu odjechali wiceprezydent Richards i Hendrix. Wiceprezydent długo i poważnie rozmawiał w cztery oczy z prezydentem, podobnie jak generał Cartland z Hendrixem. Branson przyglądał się temu z pobłażliwą wyrozumiałością, nie okazując jednak szczególnego zainteresowania. Ich ponure i przygnębione twarze nie pozostawiały złudzeń, że rozmowy okazały się całkowicie bezowocne. Trudno było spodziewać się czegoś innego. Niewykluczone, że Bransona ogarnął szal radości po sukcesie, jaki odniósł dzięki ostatniemu wystąpieniu w telewizji. Jego twarz pozostała jednak niewzruszona.

W momencie gdy Richards i Hendrix ruszyli w stronę czekającego na nich wozu policyjnego, Branson podszedł do Kowalskiego.

, – No i jak?

–Ręczę głową, panie Branson. Ani na chwilę nie spuściłem z oka Hendrixa i wiceprezydenta. Revson nie zbliżył się do żadnego z nich nawet na dwadzieścia metrów.

Branson zdawał sobie sprawę, że Kowalski – inteligentny młodzieniec – przygląda mu" się z wyrazem nie zaspokojonego zaciekawienia. Obdarzył go swym typowym, ledwie dostrzegalnym i nic nie znaczącym uśmiechem.

–Zastanawiasz się, dlaczego Revson tak mnie niepokoi?

–Nie zastanawiam się, sir. Intryguje mnie to. Znam pana od trzech lat. Nigdy nie sądziłem, że prześladują pana krasnoludki.

–A teraz? – Branson odwrócił się i zawoławszy "proszę zaczekać" do Richardsa, odezwał się ponownie do Kowalskiego. – Co to niby ma znaczyć?

–Cóż, chodzi o Revsona. Przeszukano go dokumentnie. Przeszedł przez wszystkie próby. Może gdybyśmy wiedzieli, co pan...

–Wszystkie próby. Z rozwiniętym sztandarem. Może jego bandera powiewa zbyt wysoko? Skosztowałbyś tych zachwycających potraw z jadem kiełbasianym?

–Słowo daję, że nie. – Zawahał się przez chwilę. – No, może gdyby pan sam mi kazał...

–I gdybym ci przytknął pistolet do pleców?

Kowalski nic nie odpowiedział.

–Revson nie podlega moim rozkazom – ciągnął Branson. – I nie miał przystawionego pistoletu.

–Może dostaje rozkazy od kogoś innego.

–To całkiem możliwe. Miej go na oku, Kowalski.

–Choćbym miał nie spać całą noc.

–Chyba byłbym ci za to wdzięczny.

Branson odszedł w stronę wozu policyjnego. Kowalski patrzył za nim głęboko zamyślony.

Wiceprezydent i- Hendrix czekali zniecierpliwieni obok otwartych drzwi policyjnego samochodu. Branson zbliżył się i zapytał:

–Pamiętacie, panowie, o nieprzekraczalnym terminie?

–O jakim terminie?

Branson uśmiechnął się. – Niech pan nie próbuje udawać głupiego, panie wiceprezydencie. Chodzi o przelew pewnej sumy do Europy. Pół miliarda dolarów. Plus, oczywiście, moje wydatki w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy. Na jutro. Do południa.

Mrożące spojrzenie Richardsa powinno było natychmiast zmienić Bransona w kamień. Nic takiego się jednak nie stało.

–I proszę pamiętać o dodatku za zwłokę. Dwa miliony dolarów za każdą godzinę opóźnienia. Także o ułaskawieniu, rzecz jasna. Spodziewam się, że to może potrwać. Wasz Kongres będzie pewnie w tej sprawie trochę wybrzydzał. My jednak, to znaczy wasi przyjaciele i ja, możemy wygodnie wypoczywać na Karaibach, aż wszystko zostanie załatwione. Życzę panom miłego wieczoru.

Odszedł i zatrzymał się przy otwartych drzwiach ostatniego autobusu. Był tam Revson, z przewieszonym przez ramię aparatem, który

Chrysler właśnie mu oddał.

–Czysty jak łąza, panie Branson. – Chrysler powiedział to z uśmiechem. – Słowo daję, chciałbym mieć coś takiego.

–Niedługo kupisz sobie tuzin. Miał pan jeszcze jeden aparat, Revson.

–Owszem – westchnął Revson. – Mam go panu przynieść?

–Lepiej nie. Przyniesiesz, Chrysler?

–W piątym rzędzie, miejsce od środka – powiedział usłużnie Revson. – Leży na fotelu.

Chrysler wrócił z aparatem i pokazał go Bransonowi.

–Asahi Pentax. Też mam taki. W środku ma tyle zminiaturyzowanych elementów, że nie można tam schować nawet ziarnka grochu.

–Zakładając, oczywiście, że nie jest to tylko pusta obudowa.

–Aha. – Chrysler spojrzął na Revsona. – Nie ma filmu? – Revson pokręcił przecząco głową. Po chwili dołączył do nich Van Effen.

Chrysler otworzył pokrywę aparatu, odsłaniając jego wnętrze. – Najprawdziwszy egzemplarz – stwierdził, ponownie zamykając pokrywę.

Revson odebrał aparat i odezwał się do Bransona. Wyraz jego twarzy był równie chłodny, co ton głosu.

–Nie chciałby pan obejrzeć mojego zegarka? Może to aparat nadawczo-odbiorczy na tranzystorach? Wszyscy najlepsi detektywi w komiksach mają takie.

Branson nie odezwał się. Chrysler uchwycił przegub dłoni Revsona i sprawdził działanie przycisków po obu stronach zegarka. Świecące

czerwone cyfry wskazywały datę i godzinę. Chrysler puścił trzymaną rękę.

–Zegarek elektroniczny. W czymś takim nie da się schować nawet ziarenka piasku.

Revson obrócił się na pięcie z wyraźną pogardą i odszedł. Chrysler Wsiadł do autobusu.

–Nadal pana niepokoi, panie Branson? – spytał Van Effen. – No cóż, jest rozdrażniony. Też by pan był, gdyby poddawano pana takim próbom. Poza tym, gdyby miał coś do ukrycia, nie złościłby się tak otwarcie, siedziałby bardzo cicho.

–Może chce, żebyśmy tak myśleli. A może jest czysty. – Branson wydawał się głęboko zamyślony, niemal zmartwiony. – Prześladowuje mnie jednak uczucie, że coś jest nie w porządku. Intuicja nigdy mnie dotąd nie zawiodła. Nie wiem dlaczego, ale jestem przekonany, że ktoś na moście kontaktuje się jakoś z kimś z lądu. Chcę, żebyście przeszukali wszystkich centymetr po centymetrze, łącznie z naszymi dostojnymi gośćmi. Do diabła z kurtuazją wobec dam. Sprawdzić dokładnie to, co mają ze sobą. Sprawdzić szczegółowo każdy autobus.

–Tak jest, panie Branson. – Van Effen powiedział to posłusznie, ale bez szczególnego entuzjazmu. – A toalety?

–Też przeszukać.

–A co z sanitarką?

–Tak samo. Tym zajmę się zresztą osobiście.

O'Hare okazał lekkie zdziwienie, gdy Branson wszedł do sanitarki.

–Nie powie mi pan chyba, że mamy kolejne zatrucie?

–Nie. Chcę przeszukać sanitarkę.

O'Hare wstał z krzesła, zaciskając zęby.

— Osobom postronnym nie wolno dotykać moich sprzętów.

–Mnie pan pozwoli. Jeśli zajdzie potrzeba, wezwę jednego z moich ludzi. Potrzyma pana na muszce albo zwiąże, żebym mógł wszystko zrewidować/

–A czego pan właściwie szuka, do cholery?

–To/mój kłopot.

–Nie mogę więc pana powstrzymać. Ostrzegam tylko, że mamy tu sporo niebezpiecznych leków i narzędzi chirurgicznych. Jeśli się pan struje albo przetnie sobie tętnicę, proszę nie liczyć na moją pomoc.

Branson skinął głową na April Wednesday, śpiącą spokojnie na składanym łóżku. – Niech pan ją podniesie.

–Podnieść ją...? Czy pan...

–Niech pan to natychmiast zrobi albo zawołam strażnika.

O'Hare wziął na ręce drobną postać. Branson dokładnie obmacał cienki materac, podniósł go, zajrzał pod spód, po czym powiedział:

–Proszę ją położyć.

Przejrzał szczegółowo całe wyposażenie sanitarki. Dokładnie wiedział, czego szuka, ale żaden ze sprawdzanych przedmiotów nie przypominał w najmniejszym stopniu tego, co miał nadzieję znaleźć.

Rozejrzał się, wziął do ręki latarkę wiszącą na bocznej ścianie sanitarki, włączył ją i pokręcił osłoną, rozszerzając i zwężając wiązkę światła.

–To dość szczególna latarka, doktorze O'Hare.

–To oftalmoskop – odpowiedział znużonym głosem O'Hare. – Ma go każdy lekarz. Badając rozszerzenie źrenic można rozpoznać kilkanaście różnych chorób.

–To może się przydać. Proszę ze mną. – Zszedł po stopniach z tyłu sanitarki, podszedł do drzwi od strony kierowcy i gwałtownie je otworzył. Kierowca, który przeglądał przy słabym już świetle jakieś brukowe pisemko, wydał się zaskoczony.

–Wysiadać! – rozkazał Branson. Mężczyzna wyszedł z wozu.

Branson przeszukał go od stóp do głów bez słowa wyjaśnienia. Potem wskoczył do kabiny kierowcy, sprawdził tapicerkę, otworzył kilka schowków i poświecił latarką do ich wnętrza. Kiedy wysiadł, zwrócił się do kierowcy:

–Niech pan podniesie maskę.

Polecenie wykonano. Korzystając raz jeszcze z latarki obejrzał dokładnie silnik, ale nie znalazł nic godnego uwagi. Wrócił do tylnych drzwi sanitarki i ponownie wszedł do środka. O'Hare był tuż za nim.

Kurtuazyjnie wziął latarkę z rąk Bransona i powiesił ją na miejsce.

Branson wskazał metalowy pojemnik, umocowany na sprężynowym zatrzasku.

–Co to? – zapytał.

O'Hare sprawiał wrażenie człowieka, którego cierpliwość wyczerpywała się. /

–Odświeżacz powietrza w aerozolu. – Był to pojemnik z gazem

obezwładniającym, rzekomy produkt firmy Prestise.

Branson wziął go do ręki. /

–Sandałowiec – stwierdził. Gustuje pan w/egzotycznych zapachach. – Potrząsnął pojemnikiem i usłyszawszy chlupotanie wewnątrz, odstawił go na miejsce. O'Hare miał nadzieję/, że nie widać, jak pot występuje mu na czoło.

W końcu Branson zwrócił uwagę na leżącą na podłodze dużą skrzynię z impregnowanego drewna.

–A to co?

O'Hare nic nie odpowiedział. Branson spojrzał na niego. Doktor niedbale oparł łokieć o szafkę, a jego twarz wyrażała równocześnie z trudem ukrywane zniecierpliwienie i pełną znużenia obojętność.

–Słyszał pan, co powiedziałem?

–Słyszałem. Mam już pana dość, Branson. Grubo się pan myli, oczekując ode mnie posłuszeństwa czy szacunku. Zaczynam podejrzewać, że jest pan analfabetą. Nie widzi pan tych dużych czerwonych liter? Jest tam napisane "zestaw kardiologiczny". To sprzęt pierwszej pomocy dla pacjentów, którzy dostali ataku serca albo u których może on w każdej chwili wystąpić.

–Po co ta duża, czerwona plomba z przodu?

–Ta plomba to jeszcze nie wszystko. Cały zestaw jest hermetycznie zamknięty. Przed opieczętowaniem skrzyni sterylizuje się dokładnie jej wnętrze i zawartość. Nikt nie wbija, nie wyjąłowanej igły w okolice serca pacjenta.

–Co by się stało, gdybym zerwał plombę?

–Panu nic. Z medycznego punktu widzenia popełniłby pan najbardziej karygodne wykroczenie. Cały zestaw stałby się bezużyteczny.

A biorąc pod uwagę pańskie zachowanie, prezydent może dostać zawału w każdej chwili.

O'Hare miał cały czas świadomość, że pojemnik z gazem znajduje się w zasięgu jego ręki. Gdyby Branson zerwał plombę i zaczął szperać głębiej, zamierzał bez namysłu użyć gazu. Nie było szansy, by ktoś taki jak Branson nie rozpoznał pistoletu pneumatycznego z zatrutymi kulami.

Twarz Bransona nie zdradzała żadnych emocji.

–Prezydent...

–Wolałbym zrezygnować z prawa wykonywania zawodu niż ubezpieczyć prezydenta na jakąkolwiek sumę. Jestem lekarzem. Już dwukrotnie pańskie zaczepki i publiczne poniżanie doprowadziły go niemal do apopleksji. Nigdy nie wiadomo: za trzecim razem może się panu udać. No proszę, niech pan zerwie tę cholerną plombę. Cóż to znaczy dla pana mieć na sumieniu śmierć jeszcze jednego człowieka?

–Nigdy w życiu nie byłem winien niczyjej śmierci. – Branson opuścił nagle sanitarkę, nie patrząc nawet na O'Hare, który podszedł do wyjścia i patrzył za nim zamyślony. Revson przechadzał się wolno w poprzek mostu, ale Branson nie raczył się do niego odezwać czy choćby spojrzeć. Jego zachowanie było o tyle dziwne, że zwykle rzucał wszystkim przenikliwe spojrzenia, i to na ogół bez żadnego powodu.

Revson obejrzał się za nim nieco zaskoczony, a potem poszedł powoli w stronę sanitarki.

–Pana też wziął w obroty? – spytał.

–I owszem. – O'Hare był wyraźnie zdenerwowany. – A pana?

–Mnie nie. Tyle razy robili mi rewizję, że nikt nie zawracałby już sobie głowy. Ale przeszukali wszystkich innych. I to chyba dość dokładnie. Słyszałem parę typowo damskich okrzyków protestu. – Popatrzył w ślad za oddalającym się Bransonem. – Naszego geniusza coś bardzo martwi.

–Kiedy wychodził, zachowywał się trochę dziwnie.

–Najwyraźniej nie miał szczęścia.

–Tak.

–Nie sprawdził nawet zestawu dla zawałowców, jedynej zaplombowanej skrzynki?

–Właśnie wtedy zaczął się dziwnie zachowywać. Miał chyba zamiar zerwać plombę, kiedy wspomniałem, że przez to sprzęt straci sterylność i stanie się bezużyteczny. Napomknąłem też, że prezydent jest najpewniejszym kandydatem do zawału, a on będzie głównym winowajcą, jeśli to się zdarzy. Wtedy właśnie się wycofał.

–To chyba zrozumiałe. Nie chce stracić najważniejszego zakładnika.

–Odniosłem całkiem inne wrażenie. Wychodząc powiedział jeszcze coś dziwnego: że nigdy w życiu |nie był winien czyjejś śmierci.

–O ile wiem, to prawda. Może po prostu nie chciał sobie psuć

dobrej opinii.

–Możliwe. Możliwe... – Twarz O'Hare wyrażała jednak nadal konsternację.

Van Effen przyglądał się Bransonowi z zaciekawieniem, którego jednak nie okazywał. Pomyślał, że Branson jest jakby odrobinę mniej energiczny niż zwykle.

–Jak tam karetka i nasz doktorek? W porządku? – zapytał.

**–Karetka tak. Niech to cholera, zupełnie zapomniałem przeszukać O'Hare. **

Van Effen uśmiechnął się.

–To się zdarza. Lekarze uchodzą za wzór uczciwości. Zajmę się nim.

–A jak wam poszło?

–Szukaliśmy w dziesiątkę, i to dość dokładnie. Naraziliśmy się zresztą wielu osobom. Gdyby gdzieś na moście był srebrny dolar, na pewno wpadłby nam w ręce. Ale nie znaleźliśmy ani jednego.

Rzecz w tym, że Branson i jego ludzie przeszukiwali niewłaściwe miejsca i niewłaściwe osoby. Powinni byli zrewidować szefa policji Hendrixa, zanim pozwolono mu opuścić most.

Hagenbach, Milton, Quarry, Newson i Carter siedzieli przy długim, prostokątnym stole w wozie łączności. W przymocowanym do ściany kredensie stały butelki z alkoholem. Sądząc z poziomu płynu w butelkach i w szklankach pięciu mężczyzn, nie znalazły się tam dla czysto dekoracyjnych celów. Wyglądało na to, że cała piątka koncentruje się

tylko na dwóch sprawach: żeby ze sobą nie rozmawiać i nie patrzeć jeden na drugiego. Każdy z nich zdawał się wpatrywać wyłącznie w dno własnej szklanki. W porównaniu z tym zgromadzeniem przeciętny zakład pogrzebowy mógłby uchodzić za wesołe miasteczko[^]

W głębi furgonetki rozległ się cichy dźwięk dzwonka. Siedzący przed całą baterią telefonów policjant w samej koszuli podniósł jedną ze słuchawek i odezwał się przyciszonym głosem. Po chwili odwrócił się i powiedział:

–Panie Quarry, Waszyngton.

Quarry wstał równie ochoczo, jak francuski arystokrata idący na gilotynę, i podszedł do pulpitu łączności. Jego udział w rozmowie polegał na wydawaniu całej serii smętnych pomruków. W końcu powiedział:

–Tak, zgodnie z planem – po czym powrócił do stołu i opadł na krzesło.

–Pieniądze są załatwione, na wypadek, gdyby były potrzebne.

–Przewiduje pan, że mogą nie być potrzebne? – spytał ponuro
: Milton.

–Ministerstwo skarbu jest również zdania, że powinniśmy grać na zwłokę i odczekać nawet całą dobę od jutrzejszego południa.

Milton nie zmienił żałobnego tonu. – Biorąc pod uwagę żądania Bransona oznacza to w przybliżeniu dalszych pięćdziesiąt milionów dolarów. Drobiazg w porównaniu z tym, czego się domaga. – Milton na próżno próbował się uśmiechnąć. – Może w tym czasie w genial-

nym umyśle któregoś z nas zaświta jakiś znakomity pomysł.

Zapadło milczenie, którego nikt jakoś nie miał ochoty przerywać.

Hagenbach sięgnął po butelkę szkockiej, nalał sobie i podał ją dalej.

Wszyscy powrócili do żałobnego rytuału wpatrywania się w dna swoich szklanek.

Butelkę nie na długo pozostawiono w spokoju. Gdy weszli Richards

i Hendrix, bez słowa usiedli ciężko na dwóch wolnych krzesłach

i niemal równocześnie po nią sięgnęli.

–Jak wypadliśmy w telewizji? – spytał Richards.

**–Fatalnie. Ale nie gorzej niż my tutaj. Siedzimy beczynn timer i niko-
go z całej siódemki nie stać na żaden pomysł. – Milton westchnął.**

**–Siedem najtęższych podobno umysłów w rządzie i policji. Potrafimy
tylko pić whisky. Żadnych pomysłów.**

**–Może Revson na coś wpadł – stwierdził Hendrix. Sięgnął do
skarpetki, wydobył stamtąd kawałek papieru i wręczył go Hagen-
bachowi. – To do pana.**

Hagenbach rozwinął kartkę, zaklął i krzyknął do telefonisty:

**–Mój deszyfrator. Szybko! – Znow zaczął normalnie funkcjonować
i -jak było do przewidzenia – zwrócił się do Hendrixa; Richardsa nie
zapytałby nawet o godzinę. – Co się tam dzieje? Jest coś, o czym nie
wiemy? Jak umarł Hansen?**

**–Mówiąc brutalnie, wskutek głodu i łakomstwa. Widocznie, pod-
wędził jedną z tacek, zanim go ostrzeżono, które porcje są niebezpiecz-
ne i jak je rozpoznać.**

Milton westchnął.

–Zawsze był żarłokiem, i to jakby niezależnie od swojej woli.

Chyba miał coś nie w porządku z metabolizmem. O zmarłych nie należy źle mówić, ale tyle razy mu powtarzałem, że własnymi zębami kopie sobie grób. Wygląda na to, że tak się stało.

–Nie ma w tym winy Revsona?

–Absolutnie. Ale jest coś gorszego. Pański Revson wydaje im się bardzo podejrzany. Wszyscy wiemy, że Branson ma głowę na karku. Jest przekonany, że mają w swoim gronie szpicla, a w dodatku niemal pewny, że to właśnie Revson. Facet kieruje się chyba czystą intuicją. Nie może Revsonowi nic zarzucić.

–Revson też ma głowę na karku. – Hagenbach przerwał, po czym przyjrzał się bacznie Hendrixowi. – Skoro Branson tak bardzo Revsona podejrzewa, to czy pozwoliłby mu zbliżyć się do pana choćby na kilometr, wiedząc, że wraca pan na ląd?

–Revson w ogóle się do mnie nie zbliżał. Generał Cartland przekazał mi wiadomość. Dostał ją od Revsona.

–A więc Cartland wie o wszystkim?

–Wie tyle, co my. Revson da mu pistolet z zatrutymi kulami.

Nigdy nie sądziłem, że nasz szef sztabu jest taki krwiożerczy. Jakby nie mógł się doczekać, kiedy go użyje.

–Słyszał pan o Cartlandzie jako dowódcy czołgu w czasie wojny. Skoro wtedy załatwił tylu stosunkowo niewinnych Włochów i Niemców, sądzi pan, że będzie się przejmował kilkoma draniami?

–Pan wie lepiej. Wszedłem, w każdym razie, do jednej z tych okropnych toalet i wepchnąłem kartkę do skarpetki. Przypuszczałem, że przeszukają wiceprezydenta i mnie, zanim opuścimy most. Ale nie. Pański Revson ma rację. Branson jest zanadto pewny siebie, a równocześnie za mało dba o własne bezpieczeństwo.

Revson i O'Hare obserwowali odchodzącego Van Effena. Revson także odszedł parę kroków na bok, dając znak O'Hare, by udał się za nim.

–Trzeba przyznać, że nasz przyjaciel nieźle pana przetrzepał –stwierdził. – Nie był chyba specjalnie zachwycony, kiedy wyraził pan nadzieję, że może kiedyś zostanie pańskim pacjentem. /

O'Hare spojrział na niebo, ciemniejące złowroźnie już niemal nad ich głowami. Powiewy wiatru stawały się coraz chłodniejsze; a na wodach cieśniny, sześćdziesiąt metrów niżej, pojawiły się białe grzywy fal.

–Zanosi się chyba na ciężką noc – zauważył O'Hare. – Myślę, że będzie nam wygodniej w sanitarce. Mam tam trochę znakomitej whisky i brandy. Tylko po to, rzecz jasna, by przywracać do życia chorych i cierpiących.

–Daleko pan zajdzie w swoim fachu. Trafił pan diagnozą w dziesiątkę. Jestem chory i cierpiący. Wolę jednak, żeby udzielił mi pan pomocy tutaj.

–Z jakiego powodu?

Revson popatrzył na niego z politowaniem.

/ – Pana szczęście, że tu jestem, inaczej pan byłby pewnie dla Bransonona głównym podejrzanym. Nie przyszło panu do głowy, że w trakcie rewidowania sanitarki mógł założyć gdzieś elektroniczny podsłuch, którego by pan nie wykrył nawet po tygodniu poszukiwań?

–Nie pomyślałem o tym. W naszym zawodzie nieczęsto ma się do czynienia z krętaczami.

–Ma pan gin?

–Dziwne pytanie. Owszem, mam.

–To coś dla mnie. Powiedziałem Bransonowi, że nie piję i dlatego mam węch jak pies gończy. Wolałbym, żeby nie widział mnie ze szklanką bursztynowego płynu w ręce.

–Oj, krętacze, krętacze... – O'Hare zniknął we wnętrzu sanitarki i za chwilę ponownie się zjawił, niosąc dwie szklanki. Ta z przezroczystym płynem była dla Revsona. – Zdrowie!

–Słusznie. Nie zdziwiłbym się, gdyby w ciągu najbliższej doby zaczęło nam go brakować.

–Jest pan tajemniczy.

–Jestem jasnowidzem. – Revson spojrzął z namysłem na stojący najbliżej śmigłowiec. – Zastanawiam się, czy ten pilot, nazywa się chyba Johnson, ma zamiar przespać noc w maszynie.

O'Hare wzdrygnął się, jakby zrobiło mu się zimno.

–Był pan kiedyś w śmigłowcu?

–Może to dziwne, ale nie.

–A ja byłem. Kilka razy. Zapewniam, że chodziło tylko o udziela-

nie pomocy lekarskiej. Ci piloci siedzą na fotelach z brezentu, rozpostartego na stalowych ramach. Trudno to nazwać fotelem. Moim zdaniem śpi się w nim równie wygodnie jak na gwoździach.

–Tak przypuszczałem. A więc pewnie położy się z całą bandą w ostatnim autobusie.

–Te śmigłowce dziwnie pana interesują.

Revson rozejrzał się wokół jakby od niechcienia. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich podsłuchać.

–Tam w środku jest detonator, który ma spowodować wybuch.

Dziś w nocy zamierzam go unieszkodliwić. Proszę zauważyć, że mówię tylko o zamiarach.

O'Hare milczał przez dłuższą chwilę, po czym odezwał się uprzejmie:

–Chyba potrzebny panu lekarz. Specjalista od tej przestrzeni między uszami. Przez całą noc stoi na warcie przynajmniej jeden uzbrojony strażnik. Od zmroku most tonie w powodzi świateł. A więc pan się po prostu zdematerializuje?

–Strażnikiem mogę się zająć. Światła zgasną, kiedy tylko zechcę.

–Abrakadabra! /

–Wysłałem już wiadomość na ląd.

–Nie wiedziałem, że tajni agenci są równocześnie magikami. Wyciąga pan gołębia z kapelusza...

–Hendrix przekazał, co trzeba.

O'Hare przyjrzał mu się, po czym spytał:

–Napije się pan jeszcze?

–Nie, dziękuję. Dziś w nocy muszę trzeźwo myśleć.

–No to ja się napiję. – Zabrał obie szklanki i wrócił tylko ze swoją.

–Niech pan posłucha. Ten Kowalski ma wygląd i wzrok sokoła. Ja też zresztą nie jestem krótkowidzem. Przez cały czas, gdy byli tu wiceprezydent i Hendrix, nie spuszczał pana z oka. Jestem pewien, że to rozkaz Bransona.

–Też tak myślę. A kogóż by innego? Nie zbliżałem się w ogóle do Hendrixa. Przekazałem wiadomość Cartlandowi, a on Hendrixowi. Kowalski był zbyt zajęty pilnowaniem mnie, żeby troszczyć się o Cartlanda i Hendrixa.

–O której zgasną światła?

–Jeszcze nie wiem. Wyślę sygnał.

–Czy to znaczy, że Cartland jest wtajemniczony?

–Jakżeby inaczej? Przy okazji, obiecałem generałowi broń z zatrutymi kulami. Może mu ją pan przekazać?

–Jakoś to zrobię.

–Domyślam się, że nie można ponownie założyć zerwanej plomby na zestawie kardiologicznym?

–Na wypadek, gdyby nasz podejrzliwy pan Branson znowu odwiedził sanitarkę? Niestety, nie. – Doktor uśmiechnął się. – Tak się jednak składa, że mam/w skrzyni dwie zapasowe plomby.

Tym razem uśmiechnął się Revson.

–Nieźle. Człowiek nie może o wszystkim myśleć. Nadal jest pan po

stronie prawa i /porządku? Ciągłe chciałby pan zobaczyć Bransona

zakutego w śliczne, błyszczące kajdanki?

–Wyraźnie zaczynam za tym tęsknić.

–Może będzie pan musiał nieco odejść od swoich zasad etyki lekarskiej.

–Do diabła z zasadami!

Hagenbach dosłownie wyrwał kartkę maszynopisu z deszyfratora.

Szybko przebiegł wzrokiem tekst i w tej samejchwili zmarszczył brwi.

–Czy Revson zachowywał się całkiem normalnie, kiedy odjeżdżaliście? – spytał Hendrixa.

–Kto to może na pewno wiedzieć?

–Słusznie. Zupełnie nie potrafię się w tym połapać.

–Może zechce się pan z nami podzielić swoimi sekrecikami, Hagenbach – stwierdził cierpko Richards.

–Pisze tak: "Zanosi się na paskudną noc. Pogoda powinna nam sprzyjać. Chcę, żeby zaraz podpalono w dwóch miejscach zbiorniki z ropą. Może być ropa i opony. Jeden pożar ma wybuchnąć na południowy zachód od nas, powiedzmy w parku Lincolna, drugi

–o wiele większy – na wschodzie, dajmy na to w Fort Mason.

W parku Lincolna wnieście ogień o godzinie dwudziestej drugiej.

O dwudziestej drugiej zero trzy zniszczcie za pomocą promieni lasera radiopelengator na dachu ostatniego autobusu. W razie potrzeby użyjcie celownika na podczerwień. Zaczekajcie, aż dam latarką sygnał SOS, potem wnieście drugi pożar. Kwadrans później niech zgasną

światła na moście i w północnej części San Francisco. Byłoby dobrze urządzić równocześnie masowy pokaz sztucznych ogni w chińskiej dzielnicy. Tak, jakby eksplodowała cała fabryka.

O północy będzie potrzebna łódź podwodna. Proszę o dostarczenie radionadajnika na tranzystorach, który zmieści się w podstawie aparatu. Zsynchronizujcie nasze częstotliwości nadawania. Ci z łodzi podwodnej niech też się dostosują".

Zapanowało przydługie milczenie, w trakcie którego Hagenbach –i trudno się temu dziwić – znów sięgnął po butelkę szkockiej.

W krótkim czasie nic w niej"nie zostało. W końcu wyraził swoje zdanie Richards. /

–To jasne, ten człowiek oszalał. Zupełnie oszalał! /

Przez pewien czas nikt nie kwapił się, by zaprotestować./Decyzja należała do Richardsa, który pełnił obowiązki głowy państwa, najwyraźniej jednak nie był w stanie o czymkolwiek decydować. Potrafił tylko wygłaszać uwagi na temat psychicznego niezrównoważenia innych. Wyręczył go Hagenbach.

–Revson jest zapewne bardziej przy zdrowych zmysłach niż którykolwiek z nas. Wykazał się już inteligencją. Z pewnością nie miał czasu pisać o szczegółach. A w końcu czy ktoś z tu obecnych ma lepszy pomysł? Ściślej biorąc, czy ktoś ma w ogóle jakikolwiek pomysł?

Jeśli nawet tak było, nikt się nie przyznał.

–Hendrix, niech się pan skontaktuje z zastępcą burmistrza i dowódcą straży pożarnej. Niech wzniecą te pożary. A co z fajerwerkami?

Hendrix uśmiechnął się.

–W San Francisco sztuczne ognie są zakazane. Po tym, co stało się w tysiąc dziewięćset szóstym. Tak się składa, że wiemy o nielegalnej podziemnej wytwórni w chińskiej dzielnicy. Jej właściciel chętnie pomoże.

Richards pokręcił głową.

–To szaleństwo – stwierdził. – Czyste szaleństwo!

ROZDZIAŁ X

Od strony morza docierały pierwsze słabe błyski piorunów i odległy pomruk nadchodzącej burzy. Przytomna już, choć nieco wyczerpana April Wednesday stała z Revsonem na środku mostu. Spojrzała na granatowe niebo i stwierdziła.

–Zanosi się na ciekawą noc.

–Mnie też się tak wydaje. – Wziął ją pod rękę. – Boisz się burzy, tak jak wszystkiego innego?

–Nie uśmiecha mi się sterczeć na tym moście, kiedy zacznie grzmieć.

–Stoi już prawie czterdzieści lat. Mało prawdopodobne, żeby akurat dziś się zawalił. – Spojrzał w górę, czując pierwsze krople deszczu. – Ale nie mam ochoty zmoknąć. Chodźmy.

Zajęli miejsca w pierwszym autobusie: ona przy oknie, on od strony przejścia. W ciągu paru minut autobus był pełen, a po półgodzinie jego pasażerowie w większości drzemali lub spali. Przy każdym fotelu znajdowała się oddzielna lampka do czytania, ale wszystkie bez wyjątku przyciemniono albo całkiem wygaszono. Nie było na co patrzeć ani co robić. Mieli za sobą długi, męczący, emocjonujący, a pod wieloma względami szarpiący nerwy dzień. Zapadali w sen nie tylko z rozsądku, ale i z konieczności. A szum deszczu, bębniącego o brezent czy metalowy dach, ma szczególnie usypiające działanie. W tym momencie nie było wątpliwości, że deszcz bębni na całego.

Odkład autobus wypełnił się pasażerami, padało z każdą chwilą intensywniej, a teraz była to już istna nawałnica. Nadchodząca burza, choć odległa jeszcze o parę kilometrów, coraz bardziej przybierała na sile. Jednak ani deszcz, ani grzmoty czy błyskawice nie odstraszały Kowalskiego, który ciągle węszył. Obiecał Bransonowi, że przez całą noc, jeśli zajdzie potrzeba, nie spuści oka z Revsona i najwyraźniej zamierzał dotrzymać słowa. Regularnie co piętnaście minut wchodził do autobusu, niedwuznacznie -przyglądał się Revsonowi, a wychodząc rozmawiał chwilę z Bartlettem, który trzymał straż, siedząc bokiem na fotelu obok miejsca kierowcy. Oprócz Revsona Bartlett był jedyną w autobusie osobą, która czuwała. Revson podejrzewał, że działo się tak głównie za sprawą ciągłych wizyt Kowalskiego. W pewnej chwili dosłyszał, jak Bartlett pyta, kiedy zostanie zluzowany, i otrzymuje lakoniczną odpowiedź, że musi pozostać na miejscu do pierwszej w nocy. Revsonowi bardzo to odpowiadało.

O dziewiątej, podczas największej ulewy, Kowalski przeprowadzał kolejną rutynową inspekcję. Revson wyjął biały flamaster i odbezpieczył go. Kowalski odwrócił się do wyjścia i najwyraźniej potknął się akurat w chwili, gdy schodził z pierwszego stopnia, po czym upadł ciężko, głową do przodu, na jezdnię.

Najszybciej znalazł się przy nim Bartlett, zaraz potem Revson.

–Co mu się stało, do cholery? – spytał Revson.

–Chyba się pośliznął. Drzwi autobusu były cały wieczór otwarte i stopnie są śliskie jak diabli.

Obaj mężczyźni pochylili się, by zbadać nieprzytomnego Kowalskiego. Wyglądało na to, że uderzył się z całej siły w czoło, które solidnie krwawiło. Revson delikatnie obmacał mu głowę. Za lewym uchem sterczała na pół centymetra igła. Wyciągnął ją i ukrył w dłoni.

–Mam wezwać lekarza? – spytał.

–Oczywiście. Chyba się bez niego nie obejdzie.

Revson pobiegł do sanitarki. Kiedy tam dotarł, w środku zapaliło się światło. Wziął od O'Hare pojemnik z gazem i wetknął go do kieszeni. Potem obaj pobiegli z powrotem do pierwszego autobusu...

O'Hare miał ze sobą torbę lekarską. Wokół nieprzytomnego Kowalskiego zebrał się tymczasem spory tłum wścibskich reporterów z autobusu. Sprowadziła ich z pewnością wrodzona ciekawość, właściwa wszystkim rasowym dziennikarzom.

–Proszę się odsunąć – zarządził O'Hare. Dziennikarze rozstąpili się z szacunkiem, ale nie cofnęli zanadto. O'Hare otworzył torbę i zaczął ocierać Kowalskiemu czoło kawałkiem gazy. Odstawił torbę na tyle daleko, że Revson – korzystając z półmroku, padającego deszczu i zainteresowania wszystkich obecnym rannym – bez trudu wy dostał z niej wodoodporny pakunek i pchnął go tak, by znalazł się pod autobusem. Nikt oprócz niego nie usłyszał lekkiego uderzenia o krawężnik po drugiej stronie jezdni. Zaraz potem wcisnął się w tłum gapiów.

O'Hare wyprostował się.

–Potrzebuję dwóch ochotników, żeby przenieść go do sanitarki.

Chętnych nie brakowało. Zamierzano właśnie podnieść Kowalskiego, gdy nadbiegł Branson.

–Pański człowiek miał fatalny upadek. Muszę zbadać go w sanitance.

–Upadł czy go popchnięto?

–Skąd mam wiedzieć, do diabła? Traci pan czas, który może być cenny, Branson.

–Naprawdę upadł, panie Branson – potwierdził Bartlett. – Potknął się na górnym stopniu i nie było szans.

–Jesteś pewny?

–Oczywiście, że jestem, do cholery. – Nic dziwnego, że Bartlett był wściekły. Odezwał się ponownie, ale dalsze słowa utonęły w ogłuszającym huku grzmotu. Powtórzył więc raz jeszcze. – Byłem wtedy o pół metra od niego, ale nie miałem jak mu pomóc.

O'Hare nie zwracał już na Bartletta uwagi. Z pomocą dwóch innych ludzi przeniósł Kowalskiego do sanitarki. Branson spojrzał na stojących wciąż w tym samym miejscu dziennikarzy i zauważył Revsona.

–Gdzie był wtedy Revson?

–Nigdzie w pobliżu. Siedział na swoim miejscu, w piątym rzędzie.

Wszyscy siedzieli na miejscach. Na Boga, panie Branson, mówię panu.

To był po prostu cholerny wypadek.

–Zapewne. – ^Branson, ubrany tylko w całkowicie już przemoczoną koszulę i spodnie, zadrżał z zimna. – Boże, co za noc!

Pospieszył/do sanitarki, a dotarwszy tam minął wychodzących właś-

nie dwóch mężczyzn, którzy pomagali doktorowi nieść Kowalskiego.

Wszedł do środka. O'Hare zdjął już Kowalskiemu skórzaną kurtkę, podwinął nad łokciem prawy rękaw koszuli i przygotowywał podskórny zastrzyk.

–Po co to? – spytał Branson.

O'Hare odwrócił się z wściekłością.

–Co pan tu robi, do cholery? To robota dla lekarza. Niech pan się wynosi!

Zaproszenie przeszło bez echa. Branson wziął do ręki kapsułkę, z której O'Hare napełniał strzykawkę.

–Przeciwtężcowy? Ten człowiek ma ranę na głowie.

O'Hare wyciągnął igłę i przykrył ślad ukłucia sterylną gazą.

–Nawet największy ignorant powinien wiedzieć, że w przypadku otwartej rany trzeba dać przede wszystkim zastrzyk przeciwtężcowy.

Pewnie nigdy nie słyszał pan o tężcu?

Ośluchał Kowalskiego stetoskopem, zmierzył mu tętno, a potem temperaturę.

–Niech pan wezwie karetkę ze szpitala. – Podciągnął jeszcze wyżej rękaw koszuli pacjenta i zaczął mierzyć ciśnienie.

–Nie – odpowiedział Branson.

O'Hare nie odezwał się, dopóki nie skończył pomiaru mierzenia ciśnienia, po czym powtórzył.

–Niech pan wezwie karetkę.

–Nie ufam panu i pańskim przeklętym karetkom.

O'Hare nic nie powiedział. Zeskoczył po stopniach sanitarki i wyszedł na deszcz, którego krople odbijały się teraz od jezdni na wysokość kilkunastu centymetrów. Wkrótce wrócił z dwoma mężczyznami, którzy wcześniej pomogli mu przenieść Kowalskiego.

–Panowie Grafton i Ferrers – powiedział. – Dwaj bardzo szanowani, można rzec wybitni dziennikarze. Ich słowa mają swoją wagę. To, co stwierdzą, też będzie się liczyło.

–Co to właściwie ma znaczyć? – Po raz pierwszy od chwili przybycia na most Branson okazał cień zaniepokojenia.

O'Hare zignorował go i zwrócił się do dwóch dziennikarzy.

–Kowalski doznał poważnego wstrząsu, a może nawet pęknięcia czaszki. Nie da się tego stwierdzić bez rentgena. Ma również płytki, urywany oddech, powolne i słabe tętno, wysoką temperaturę i nienormalnie niskie ciśnienie. Może to oznaczać parę rzeczy, na przykład krwawienie wewnątrz mózgu. Biorę panów na świadków, że Branson odmawia wezwania do niego karetki, i jeśli Kowalski umrze, tylko on jeden będzie za to odpowiedzialny. Będziecie świadkami, że Branson jest w pełni świadomy, iż w razie śmierci Kowalskiego winien będzie tej samej zbrodni, o którą niedawno oskarżał nieznanymi sprawców: zbrodni zabójstwa. Tyle tylko, że w tym przypadku stanie przed zarzutem zabójstwa pierwszego stopnia.

–Z całą powagą topoświadczę – potwierdził Grafton.

–Ja także – dodał Ferrers.

O'Hare spojrział na Bransona z pogardą.

–I to pan twierdził, że nigdy w życiu nie był winien niczyjej śmierci.

–Jaką mam pewność, że go nie zatrzymają, kiedy znajdzie się na lądzie? – spytał Branson.

–Traci pan wycucie sytuacji, Branson. – W głosie O'Hare nadal brzmiała pogarda. Wystarczająco długo naradzał się z Revsonem, w jaki sposób najlepiej złamać psychicznie Bransona. – Dopóki ma pan prezydenta, króla i księcia, kto, do cholery, będzie uważał takiego pospolitego przestępcę za kontrzakładnika?

Branson zdecydował się. Trudno powiedzieć, czy skłoniły go do tego groźby, czy faktyczna troska o życie Kowalskiego.

–Jeden z nich będzie musiał powiedzieć Chryslerowi, żeby wezwał karetkę. Nie spuszczę pana z oka, dopóki Kowalski bezpiecznie do niej nie trafi.

–Jak pan sobie życzy – powiedział obojętnie O'Hare. – Panowie?

–Chętnie pomożemy.

Obaj dziennikarze wyszli. O'Hare zaczął przykrywać Kowalskiego kocami.

–Po co pan to robi? – spytał podejrzliwie Branson.

–Niech niebiosy strzegą, mnie przed ignorantami! Pański przyjaciel jest w szoku. W takim przypadku nie wolno dopuścić do utraty ciepła.

Zaledwie to powiedział, tuż nad nimi rozległ się zwielenokrotniony

grzmot, tak bliski i głośny, że aż bolesny dla uszu. Huk trwał kilka

długich sekund, zanim ucichł. O'Hare spojrzał z namysłem na Bran-

sona, po czym odezwał się:

–Wie pan co, Branson? To mi zabrzmiało jak głos przeznaczenia.

–Nalał do szklanki odrobinę whisky i dodał wody destylowanej.

–Ja też się napiję – powiedział Branson.

–Proszę – odparł uprzejmie, O'Hare.

Revson, siedząc względnie wygodnie w autobusie, obserwował odjazd karetki, która zabierała ułożonego na noszach Kowalskiego.

Wygoda była względna, gdyż ubranie miał tak przemoczone, jakby wpadł do cieśniny. Czuł się w tej chwili na tyle zadowolony, na ile mógł być zadowolony człowiek, który powoli zamarza,. Chodziło mu głównie o to, żeby dotrzeć do-żyłki, pojemnika, latarki i aerozolu.

Wszystko się powiodło. Pierwsze trzy przedmioty leżały nadal obok krawężnika pod autobusem. Czwarty spoczywał wygodnie w jego kieszeni. Dodatkową korzyścią był fakt, że osiągnął to kosztem Kowalskiego, – najbardziej nieustępliwego, czujnego i podejrzliwego spośród strażników Bransona. Przypomniał sobie o pojemniku z gazem. Trącił delikatnie łokciem April Wednesday. Nie widział szczególnej potrzeby, żeby zniżyć głos, gdyż nadal trwały mniej lub bardziej ożywione rozmowy na temat ostatniego incydentu.

–Posłuchaj-uważnie i nie powtarzaj za mną, choćby pytanie wydało ci się głupie. Czy młoda i – hm – wrażliwa dama nosiłaby przy sobie miniaturowy odświeżacz powietrza w aerozolu?

Zareagowała jedynie zmrużeniem zielonych oczu.

–W pewnych okolicznościach, chyba tak.

Położył pojemnik z gazem obok niej.

–Włóż to więc, proszę, do torby. Zapach drzewa sandałowego, ale na twoim miejscu bym tego nie wachał.

–Wiem dobrze, co tam jest. – Pojemnik zniknął. – To chyba bez znaczenia, czy mnie z tym złapią? Jeśli zechcą mi miażdżyć palce...

–Nie zechcą. Przeszukali ci już torbę, a ten, kto to robił, z pewnością nie będzie pamiętał zawartości jednej z kilku damskich torebek, które rewidował. Nikt cię nie obserwuje. Jako główny podejrzany nie mam konkurencji.

Przed dziesiątą w autobusie zrobiło się znów cicho i sennie. Deszcz ustawał i była to już tylko zwykła ulewa, ale błyskawice wciąż przecinały niebo, a grzmoty huczały z nie słabnącą energią. Revson spojrzął przez ramię na południowy zachód. Od strony parku Lincoln nie było widać oznak jakichkolwiek niezwykłych poczynań. Zastanawiał się, czy na łódzie źle odczytano jego informację, czy też celowo ją zlekceważono. Obie możliwości wydawały mu się mało prawdopodobne. Pewnie raczej, z powodu ulewnego deszczu, mieli trudności ze wznieceniem ognia.

Siedem minut po dziesiątej na południowym zachodzie ukazała się czerwona łuna. Zapewne nikt na moście nie dostrzegł jej wcześniej niż Revson, ale nie uznał za wskazane zwracać na to uwagi. W ciągu trzydziestu sekund ciemne płomienie palącej się ropy strzelały na wysokość co najmniej piętnastu metrów.

Bartlett pierwszy zwrócił uwagę, że coś się dzieje i uczynił to w bardzo dobitny sposób. Stał w otwartych drzwiach za fotelem

kierowcy i krzyknął:

–Chryste, zobaczcie tylko!

Niemal wszyscy natychmiast się obudzili i chcieli zobaczyć, o co chodzi. Nie dostrzegli jednak zbyt wiele. Na zewnątrz okna były mokre od stale zacinającego deszczu, a w środku mocno zaparowane. Rzucili się do drzwi jak stado lemingów, z samobójczym uporem wskakujących w wodę. Stamtąd widok był zdecydowanie lepszy i wart obejrzenia. Płomienie, strzelające już na wysokość trzydziestu metrów i zwieńczone kłębiącymi się chmurami czarnego dymu, z każdą chwilą sięgały wyżej. Nie bacząc na deszcz, lekkomyślni jak lemingi, zaczęli biec przez most, żeby widzieć jeszcze lepiej. Pasażerowie autobusu prezydenta i ostatniego autobusu kolumny robili dokładnie to samo. Nic nie pociąga ludzi bardziej niż perspektywa efektownej katastrofy. Revson nie próbował do nich dołączyć, choć wyszedł jako jeden z pierwszych. Okrążył bez pośpiechu przód autobusu, cofnął się parę kroków, pochylił i odszukał wodoszczelny pakunek. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nawet gdyby był widoczny zza karoserii, nie miałyby to większego znaczenia, gdyż wszyscy biegli i patrzyli w przeciwną stronę. Wyjął latarkę, skierował pod kątem czterdziestu pięciu stopni w prawo i nadał pojedynczy sygnał SOS. Potem włożył ją do kieszeni i zaczął przechodzić bez pośpiechu na drugą stronę mostu, oglądając się od czasu do czasu przez lewe ramię. Był w połowie drogi, kiedy dostrzegł niezbyt efektowną racę, zakreślającą łuk na niebie w kierunku południowo-wschodnim.

Dotarł do barierki ochronnej i podszedł do O'Hare, który stał

w pewnej odległości od pozostałych,

–Byłby z pana niezły podpalacz – stwierdził O'Hare.

–To dopiero początek. Niech pan poczeka na następny pożar. Nie wspomnę już o sztucznych ogniach. To czysta piromania. Popatrzmy, sobie teraz na przód ostatniego autobusu.

Tak właśnie zrobili. Ułynęła cała minuta i nic się nie zdarzyło.

–Hm. Coś nie tak? – zagadnął O'Hare.

–Nie sądzę. Pewnie tylko trochę się spóźniają. Niech pan dobrze patrzy.

O'Hare patrzył uważnie i w końcu zobaczył to, o co chodziło: małą, białobłękitną iskrę, której intensywny błysk trwał zaledwie kilka milisekund.

–Widział pan? – odezwał się.

–Tak. Widać było o wiele mniej niż myślałem.

–Koniec z radiopelengatorem?

–Nie ma wątpliwości.

–Czy ktoś w autobusie mógł to usłyszeć?

–Czysto teoretyczne pytanie. Tam nikogo nie ma. Wszyscy są tutaj, na moście. Coś się jednak dzieje z tyłu w autobusie prezydenta. Założę się, że Branson zadaje jakieś pytania.

Branson faktycznie zadawał pytania, rozmawiając energicznie przez telefon. Obok niego stał Chrysler.

–A więc niech się pan dowie, i to natychmiast!

–Staram się. – W głosie Hendrixa słychać było zmęczenie. – Mogę odpowiadać za wiele rzeczy, ale nie za siły przyrody. Nie zdaje pan sobie sprawy, że to największa od lat burza w tym mieście? Wybuchło kilkadziesiąt drobnych pożarów. Dowódca straży powiedział mi, że wszystkie jednostki są w akcji.

–Czekam, Hendrix.

–Ja także. Jeden Bóg raczy wiedzieć, czemu pan się obawia tego pożaru w parku Lincolna. Pewnie, że lecą stamtąd kłęby czarnego dymu, ale wiatr wieje z zachodu i dym do pana nie dotrze. Boi się pan własnego cienia, Branson. Chwileczkę. Mam meldunek. – Po krótkiej przerwie Hendrix mówił dalej. – Trzy zaparkowane cysterny z ropą. Z jednej wystawał wąż do przetaczania paliwa, była więc uziemiona. Świadkowie widzieli, że właśnie w nią uderzył piorun. Na miejscu są dwa wozy strażackie i pożar opanowano. Jest pan zadowolony?

Branson odłożył słuchawkę nie udzielając odpowiedzi.

Pożar rzeczywiście opanowano. Strażacy, nie spiesząc się zbyt, polewali teraz pianą beczki płonącej ropy. Ogień ugaszono zaledwie w kwadrans od wybuchu pożaru czy raczej dostrzeżenia go. Widzowie stojący przy zachodniej barierce nie kwapili się zbyt z powrotem do autobusu. Byli już tak przemoknięci, że nie mogli zmoknąć bardziej. Ale wieczór rozrywek dopiero się zaczął.

Następny pożar wystrzelił na północy. Rozszerzał się i przybierał na sile nawet szybciej niż poprzedni, aż płomienie stały się tak jasne i intensywne, że nawet światła betonowych wieżowców w centrum San

Francisco wyglądały przy nich blado. Branson, który zdążył już wrócić do swojego pojazdu, pobiegł znów do autobusu prezydenta. W dziale łączności z tyłu dzwonił telefon. Branson chwycił słuchawkę. Telefonował Hendrix.

–Cieszę się, że choć raz pana ubiegłem. Nie, tego pożaru też nie wznieciliśmy. Po jakiego diabła mielibyśmy to robić, skoro cały dym leci na wschód, nad zatokę? Dyżurny meteorolog mówi, że co trzy-cztery sekundy uderza piorun. Wyładowania nie następują między chmurami, tylko w zetknięciu z ziemią. Twierdzi, że statystycznie biorąc co dwudzieste trafia w coś łatwo palnego. Będę w kontakcie. Jeszcze ani razu Hendrix nie zakończył rozmowy w ten sposób.

Branson powoli odłożył słuchawkę. Po raz pierwszy pojawiły się w kącikach jego ust oznaki zdenerwowania.

Błękitne języki ognia wznosiły się już na wysokość stu osiemdziesięciu – dwustu metrów, dorównywały więc najwyższemu budynkowi w mieście. Dym był gęsty i gryzący, jak to zwykle bywa, gdy do płonącej ropy dorzuci się kilkaset zużytych opon. Działo się to jednak pod ścisłym nadzorem kilku olbrzymich wozów straży pożarnej i kilku ruchomych agregatów pianowych. Na moście co bardziej nerwowi dziennikarze i operatorzy zastanawiali się, czy pożar obejmie miasto. Obawy były o tyle bezpodstawne, że wiatr wiał w przeciwnym kierunku. Burmistrz Morrison stał z zaciśniętymi pięściami przy wschodniej barierce. Twarz miał całą we łzach i klął siarczyście z żelazną konsekwencją.

–Ciekawe, czy król i księżę dostrzegają ironię całej sytuacji – powiedział O'Hare do Revsona. – Pali się chyba ich własna ropa.

Revson nic nie mówił. O'Hare dotknął jego ramienia.

–Czy aby tym razem trochę pan nie przedobrzył, mój stary?

–W chwilach napięcia wychodziło na jaw jego angielskie wykształcenie.

–Nie ja to podpalałem. – Revson uśmiechnął się. – Nie ma obawy, oni wiedzą, co robią. Nie mogę się już doczekać pokazu sztucznych ogni.

W prezydenckim centrum łączności znowu zadzwonił telefon. *Branson odebrał go w jednej chwili.

–Mówi Hendrix. To zbiornik ropy w Fort Mason. – W Fort

Mason nie było żadnego zbiornika ropy, ale Branson nie był z Kalifornii, ani tym bardziej z San Francisco, nie mógł więc raczej o tym wiedzieć. – Rozmawiałem właśnie przez radio z pełnomocnikiem straży. Uważa, że pożar tylko tak groźnie wygląda i nie jest niebezpieczny.

–A cóż to znowu, do ciężkiej cholery?! – Głos Bransona zmienił się w krzyk, a jego kamienny spokój przynajmniej czasowo uległ zachwianiu.

–Co takiego?

Opanowanie Hendrixa pogłębiło jedynie niepokój Bransona.

–Sztuczne ognie! Dziesiątki sztucznych ogni! Nie widzi pan?!

–Z tego miejsca nie widzę. Niech pan zaczeka. – Hendrix podszedł

do tylnych drzwi wozu łączności. Branson nie przesadzał. Na niebie rzeczywiście było pełno sztucznych ogni o różnych kolorach i kształtach. Przynajmniej połowa z nich eksplodowała w postaci świecących, spadających gwiazd. Hendrix pomyślał, że gdyby Branson był opanowany i spostrzegawczy jak zazwyczaj, zauważyłby może, iż niemal wszystkie mają trajektorię czterdziestu pięciu stopni i lecą na północny wschód, czyli w kierunku najbliższego zbiornika wody. Wszystkie bez wyjątku gasną z sykiem w zatoce San Francisco. Hendrix powrócił do telefonu.

–Wygląda mi to na chińską dzielnicę. Na pewno jeszcze nie czas, żeby świętowali swój Nowy Rok. Zadzwonię do pana.

Revson odezwał się do O'Hare:

–Niech pan zdejmie biały fartuch. Za bardzo rzuca się w oczy, a w każdym razie będzie się rzucał, kiedy zrobi się ciemno.

Dał O'Hare biały flamaster.

–Wie pan, jak go używać?

–Nacisnąć uchwyt, a potem przycisk u góry.

–Zgadza się. Jeśli ktoś podejdzie zbyt blisko, no cóż, proszę celować w twarz. Będzie pan musiał wyjmować igłę.

–Ja i moja etyka lekarska...

Branson podniósł słuchawkę.

–Słucham.

–To było w chińskiej dzielnicy. Piorun uderzył w fabrykę sztucznych ogni. Ta przekłeta burza najwyraźniej nie chce dać nam spokoju,

Bóg jeden wie, ile jeszcze pożarów wybuchnie dziś w nocy.

Branson wysiadł z autobusu i podszedł do Van Effena, stojącego przy wschodniej barierce. Van Effen odwrócił się.

–Nierzęsto widzi się coś takiego, panie Branson.

–Chyba nie jestem w nastroju, żeby się tym cieszyć.

–Czemu?

–Mam przeczucie, że ktoś robi to przedstawienie specjalnie dla nas.

–W jaki sposób może to nas dotyczyć? Jesteśmy ciągle w tej samej sytuacji. Nie zapominajmy, że prezydent, król i księżę są naszymi zakładnikami.

–Mimo wszystko...

–Mimo wszystko pańskie czujki coś sygnalizują?

–Nie tylko sygnalizują. Podnoszą alarm! Nie wiem, co się teraz stanie, ale mam przeczucie, że nie będzie mi się to podobało.

W tej samej chwili na moście i w całej północnej części San Francisco zgasło światło.

Na kilka sekund zapanowała absolutna cisza. Niewiele brakowało, by ciemność była także absolutna. Światelka nad fotelami w autobusach w większości wyłączono, a pozostałe przygaszono, aby nie rozładować akumulatorów. Stanowiły one – wraz z pomarańczowo-czerwoną łuną odległego pożaru – jedyne oświetlenie mostu.

–Pańskie czujki, panie Branson. Wynajmując je zrobiłby pan majątek.

–Trzeba uruchomić prądnicę. Oświetlimy reflektorami północną

i południową wieżę. Dopilnuj, żeby przygotowano, załadowano i obsadzono samobieżne działa. Przy każdym ma być trzech ludzi z automatami. Ogłaszamy pogotowie, ja od strony południowej, ty od północnej. Potem sam zajmiesz się obydwoma kierunkami. Spróbuję dowiedzieć się od tego drania Hendrixa, o co tu chodzi.

–Nie spodziewa się pan chyba czołowego ataku, panie Branson?

–Sam nie wiem, czego się mam, do cholery, spodziewać. Wiem tylko, że nie będziemy ryzykować. Pospiesz się!

Branson pobiegł w kierunku południowym. Mijając ostatni autobus krzyknął:

–Chrysler! Prądnica! Szybko, na Boga!

Prądnica zaczęła pracować, zanim Branson i Van Effen znaleźli się na ustalonych przyczółkach obrony. Potężne reflektory oświetliły obie wieże, wskutek czego środkowa część mostu pogrążyła się w jeszcze głębszym mroku. Przygotowano działa, a ludzie z automatami zajęli swoje pozycje. Van Effen pozostał na miejscu. Branson pobiegł z powrotem do środkowego autobusu. Obaj koncentrowali jednak uwagę na niewłaściwych sprawach i miejscach. Powinni być tam, gdzie Revson przykucnął w przedniej części kabiny pierwszego śmigłowca. Światło latarki, którą trzymał w ręce, sączyło się przez otwór niewiele większy od główki szpilki. Bez trudu odnalazł radiodetonator. Znajdował się między fotelem pilota a miejscem po przeciwnej stronie. Ostrzem scyzoryka odkręcił cztery śruby mocujące górną pokrywę i ściągnął ją. Urządzenie było bardzo proste. Na zewnątrz znajdowała

się pionowa dźwignia, ustawiona w górnym położeniu. Jej naciśnięcie powodowało wprowadzenie miedzianego ramienia pomiędzy dwa wewnętrzne, sprężynujące elementy z miedzi. W ten sposób obwód się zamykał. Od miedzianych elementów poprowadzono dwa odcinki giętkiego, izolowanego przewodu do zacisków szczękowych, które były przymocowane do biegunów dwóch połączonych szeregowo kadmowo-niklowych baterii. Dałyby one łączne napięcie zaledwie trzech wolt. Można by sądzić, że to za mało, by uruchomić radio-detonator. Revson nie wątpił jednak ani przez chwilę, że Branson dawno już wszystko po mistrzowsku obliczył.

–Nie starał się niczego przecinać ani rozłączać. Ściągnął tylko zaciski szczękowe z końcówek, wyjął baterie, przerwał połączenie między nimi i wetknął po jednej do obu kieszeni kurtki. Gdyby rozłączył czy przeciął cokolwiek, Branson mógł znaleźć sposób, żeby to naprędce poskładać. Poszedłby jednak o duży zakład, że Branson nie miał zapasowych baterii. Nie było po temu najmniejszego powodu. Zabrał się do przykręcania z powrotem górnej pokrywy.

Rozdrażnienie Hendrixa sięgało zenitu.

–Kim ja według pana jestem, Branson? Jakimś cholernym magikiem? Siedzę sobie tutaj, strzelam palcami i jak na zamówienie gasną światła w północnej części miasta? Powiedziałem już panu i powtarzam raz jeszcze, że wysiadły dwa główne transformatory. Nie znam na razie powodów, ale nie trzeba być geniuszem, żeby wiedzieć, że nasz stary druh w niebiosach znowu wziął się do roboty. Czego się

pan po nas spodziewał? Że rzucimy przeciwko panu pułk czołgów?

Wiemy, że ma pan te swoje ciężkie działa i reflektory. No i bezcennych zakładników. Uważa pan nas za kretynów? Zaczynam podejrzewać, że to pan jest niespełna rozumu. Myślę, że traci pan wyczucie sytuacji.

Zadzwonię znowu.

Hendrix odłożył słuchawkę. Branson uczynił to samo, o mało nie rozbijając przy tym aparatu. Już po raz drugi w krótkim czasie dano mu do zrozumienia, że nie panuje nad sytuacją. Zaciśnął zęby. Nie zamierzał się tą uwagą przejmować ani tym bardziej nad nią zastanawiać. Pozostał na miejscu.

Revson zamknął ostrożnie drzwi w kabinie śmigłowca i zeskoczył lekko na ziemię. O parę kroków dalej, na tle wciąż wysokich, choć gasnących już płomieni, zobaczył sylwetkę O'Hare. Przywołał go cicho i doktor podszedł.

–Przejdźmy na drugą stronę – powiedział Revson. – Nie postrzelał pan sobie?

–Nikt tu nie podchodził ani nawet nie popatrzył w tym kierunku.

A choćby i ktoś spojrzeł, wątpię, by cokolwiek zobaczył. Każdemu, kto przez dłuższą chwilę oglądał pożar i sztuczne ognie, wydawałoby się, że środek mostu pogrążony jest w zupełnych ciemnościach. Rozumie pan, w nocy nic nie widać. – Wręczył Revsonowi biały flamaster.

–Oddaję pańską zabawkę. Nie musiałem łamać swoich zasad.

–A ja mogę panu oddać latarkę. – Revson zrobił, jak powiedział.

–Radzę zanieść ją z powrotem do sanitarki. Proponuję też, żebyśmy

wyciągnęli pistolet i dali go generałowi Cartlandowi. Myślę, że pan powinien to zrobić. Nie chcę, żeby widziano mnie z nim w zbyt zażyłych stosunkach. Niech mu pan powie, żeby nie używał broni, dopóki nie dostanie instrukcji. Widział pan kiedyś coś takiego?

Wyjął z kieszeni baterijkę i podał O'Hare, który obejrzał ją w zupełnej niemal ciemności.

–To jakaś bateria?

–Tak. Były takie dwie. Drugą też mam. Użyto ich jako źródeł energii w detonatorze do wysadzenia ładunków.

–Nie zostawił pan śladów swojej wizyty?

–Żadnych.

–Podejdźmy więc do balustrady.

Rzucili baterie do wody i poszli do sanitarki. O'Hare puścił Revsona przodem, potem wszedł sam i zamknął drzwi.

–Powinniśmy chyba skorzystać z latarki – powiedział. – Nagłe pojawienie się światła w oknie może wzbudzić podejrzenia. Właściwie należałoby teraz być na moście i podziwiać widoki.

W ciągu niespełna dwóch minut O'Hare zerwał plombę na skrzyni z zestawem kardiologicznym, wydobył ze środka jakieś sprzęty, po kilku zawyłych operacjach otworzył skrytkę w dnie, wyjął pistolet z zatrutymi kulami, wsadził całą resztę z powrotem, po czym założył i ponownie zaplombował wieko. Umieścił broń w wewnętrznej kieszeni fartucha i powiedział tonem skargi:

–Teraz znów zacznę postępować etycznie.

Hendrix mówił do telefonu:

–Okazało się w sumie, że to nie transformatory. Dziś w nocy w miejskiej sieci jest tyle przerw i zwarć, że nawaliły przeciążone zwoje generatorów.

–Ile to potrwa? – spytał Branson.

–Najwyżej parę minut.

Generał Cartland, zgodnie ze swoim zwyczajem, stał samotnie przy wschodniej barierce. Odwróciwszy się zobaczył O'Hare, który powiedział cicho:

-Jedno słowo, sir, jeśli pan pozwoli.

Pięć minut później w San Francisco i na moście zapaliły się światła.

Branson opuścił autobus prezydenta i poszedł na spotkanie z Van Effenem.

–Nadal myślisz, że zrobiłbym majątek wynajmując moje czujki?

–zapytał z uśmiechem.

Van Effen nie podzielał jego optymizmu.

–Niech mi pan wyświadczy przysługę – powiedział. – Proszę ich jeszcze nie wyłączać.

–Czyżby twoje też działały?

–W każdym razie są w pogotowiu.

Wypaliły się ostatnie sztuczne ognie, płonąca ropa w Fort Mason dogasała smętną czerwoną łuną, pioruny i grzmoty nieco ucichły, deszcz jednak nie ustawał. Gdyby tej nocy wybuchł pożar w San Francisco, ulewa z pewnością by go wygasiała. Z chwilą gdy dobieg-

ło końca wieczorne przedstawienie, wszyscy zdali sobie sprawę, że zrobiło się przenikliwie zimno. Jak na komendę wracano do autobusów.

Kiedy April Wednesday dotarła na miejsce, Revson siedział przy oknie. Zawahała się przez chwilę, po czym usiadła obok niego.

–Skąd ta zmiana? – spytała. – Sądziłam, że miejsce przy oknie proponuje się zwykle damie?

–Żeby w nocy nie spadła pomiędzy fotele? Czyżbyś nie wiedziała, że ruch wyzwolenia kobiet przeżywa złoty wiek? Ale nie o to naprawdę chodzi. Czy mogę stąd wyjść tak, żebyś nie musiała mnie przepuszczać?

–Głupie pytanie.

–Czy tak? To znaczy, czy to możliwe?

–Widzisz, że nie.

–Byłabyś skłonna przysiąc, oczywiście, o ile nie zaczną ci miażdżyć palców, że przez całą noc ani razu nie musiałaś mnie przepuszczać?

–A więc będę musiała?

–Owszem. Przysięgniesz?

Uśmiechnęła się.

–Chyba już udowodniłam, że potrafię okłamać najlepszego z nich.

–Jesteś i piękna, i dobra.

–Dziękuję. Dokąd się wybierasz?

–Naprawdę chcesz wiedzieć? Lepiej nie. Pomyśl o miażdżeniu palców, torturach, łamaniu kołem...

–Ale szef policji, Hendrix, mówił, że Branson nigdy nie traktuje brutalnie kobiet.

–To było kiedyś. Teraz jest podenerwowany i zdrowo wystraszony.

Okoliczności mogą zmusić go do wyzbycia się skrupułów.

Cienka, jedwabna sukienka April była zupełnie przemoczona, ale dziewczyna drżała z innego powodu.

–Chyba lepiej, żebym nie wiedziała. Kiedy masz zamiar...

–Tuż przed północą.

–A więc do tego czasu nie zmruję oka.

–Świetnie. Szturchnij mnie za pięć dwunasta.

Revson zamknął oczy i wyglądało na to, że wygodnie układa się w fotelu.

Pięć minut przed północą cały autobus wydawał się pogrążony we śnie. Mimo zimna i niewygód, od ponad godziny niemal wszyscy spali.

Zasnęła nawet April Wednesday. Zupełnie nieświadomie oparła głowę na ramieniu Revsona i przytuliła się do niego, żeby nie zmarznąć.

Nawet strażnik, Bartlett, bardziej drzemał, niż czuwał, zapewne z braku częstych wizyt Kowalskiego, które trzymały go w pogotowiu.

Głowa zwisała mu na piersi i jedynie od czasu do czasu, coraz zresztą rzadziej, podrywał ją do góry. Tylko Revson, mimo zamkniętych

oczu, był czujny i przytomny jak kot na nocnych łowach. Trącił

łokciem April i szepnął jej coś do ucha. Przebudziła się gwałtownie i spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem.

–Już czas – powiedział łagodnie. W autobusie było prawie zupełnie

ciemno. Oświetlała go tylko przyćmiona lampka znad fotela kierowcy

i światła mostu. – Daj mi gaz.

–Co takiego? – Nagle oprzytomniała. W ciemności zabłysły ogromne białka oczu. Kolor źrenic trudno było określić. – Aha. – Sięgnęła pod fotel i wyjęła pojemnik z gazem. Revson wsunął go do lewej, wewnętrznej kieszeni kurtki.

–Jak długo cię nie będzie? – spytała.

–Przy odrobinie szczęścia dwadzieścia minut. Może pół godziny.

Wróć"

Pocałowała go w policzek.

–Uważaj na siebie.

Zbył milczeniem tę zupełnie niepotrzebną radę.

–Wstań. Najciszej jak potrafisz.

Minął ją i bezszelestnie ruszył naprzód, trzymając w ręku biały flamaster. Bartlett siedział z głową zwieszoną na piersi. Zbliżywszy się na odległość zaledwie kilkunastu centymetrów Revson wcisnął guzik i wpakował mu igłę za lewe ucho. Potem ułożył go tak, by głowa zwisała naoparcie fotela. Zastosowany narkotyk powodował prócz utraty przytomności także czasowy paraliż, było więc mało praw-

dopodobne, by Bartlett zsunął się z miejsca. April obserwowała to wszystko z kamienną twarzą. Jej uczucia zdradzał jedynie fakt, że czubkiem języka próbowała zwilżać wyschnięte wargi.

Revson wiedział, że po moście chodzi na pewno wartownik, którym będzie się musiał zająć. Widział go nawet kilka razy. Wyjrzał ostrożnie

przez otwarte drzwi od strony kierowcy. Strażnik rzeczywiście się zbliżał. Nadchodził od południa. Szedł dwa metry od autobusów, niosąc na ramieniu karabinek maszynowy. Revsonowi zdawało się, że rozpoznaje w nim Johnsona, jednego z pilotów, nie był jednak tego pewny. Wyłączył przyćmione światło nad fotelem Bartletta i pozostał na miejscu. Trzymał w ręku pojemnik z gazem, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar i wyjął flamaster. Po zastosowaniu obojętnej igły człowiek budzi się w niezłej kondycji i sądzi na ogół, że po prostu się zdrzemnął. Przytomniejąc natomiast po odurzeniu gazem, jak przekonał się na własnej skórze tego ranka, ma się uczucie mdłości, totalnego kaca i żadnych złudzeń, że było się pod wpływem znieczulenia. Źle by się stało, gdyby Johnson doniósł o tym Bransońowi. Revson nacisnął guzik i równocześnie zeskoczył, aby złapać Johnsona, zanim ten upadnie na jezdnię. Chodziło nie tyle o względy humanitarne, ile o to, by uderzając o nawierzchnię karabinek nie wydał metalicznego dźwięku. Wyjął igłę z czaszki Johnsona, wciągnął go najciszej jak mógł do środka autobusu i ułożył w bardzo niewygodnej pozycji naprzeciwko fotela kierowcy. Johnson i tak nie odczuwał żadnych niewygód, a Revson wolał nie ryzykować – choć było to wysoce nieprawdopodobne – że któryś z pasażerów obudzi się i znajdzie między fotelami nieprzytomnego człowieka.

April Wednesday zaczęła znowu oblizywać wargi.

Revson wyszedł przednimi drzwiami od strony krawężnika. Most był tak jasno oświetlony, że z równym powodzeniem mógł opuścić

autobus w środku dnia. Nie miał wątpliwości, że jego poczynania są uważnie obserwowane przez potężne lornetki z północnego i południowego brzegu. Tym się jednak nie martwił. Ważne, że nie widziano go z pozostałych dwóch autobusów, chociaż mocno wątpił, czy ktokolwiek pełni tam straż albo przynajmniej czuwa. W rzeczywistości Van Effen i Chrysler rozmawiali cicho w ostatnim autobusie, nie byli jednak w stanie dostrzec Revsona.

Przeszedł przez barierkę ochronną, podciągnął się do balustrady i spojrzął w dół. Panowała tam całkowita ciemność. Łódź podwodna równie dobrze mogła przyplłynąć albo nie. Musiał mieć nadzieję, że przyplynie.

Schylił się i wyjął spod autobusu wodoszczelny pakunek. Wewnątrz znajdowała się żyłka wędkarska i obciążony pojemnik na próbki laboratoryjne. Był obciążony, bo wiał ciągle silny wiatr, a żyłka musiała zwisać jak najbardziej pionowo.

Odciął haczyki i przynęty z końca żyłki i przymocował do niej pojemnik. Przerzucił go następnie przez balustradę i zaczął odwijać żyłkę z kwadratowej drewnianej ramki. Po około trzydziestu sekundach zrobił przerwę. Trzymając żyłkę lekko między palcem wskazującym a kciukiem czekał na potwierdzające szarpnięcie z dołu. Nie było odpowiedzi. Odwinął jeszcze trzy metry żyłki. Nadal nic. Może łodzi tam nie było, a może kapitan nie potrafił utrzymać jej w miejscu ze względu na przyplwy i silne prądy. Admirał Newson powiedział jednak, że zna człowieka odpowiedniego do tego zadania, a ktoś taki

jak Newson raczej nie popełnia błędów. Revson opuścił żyłkę następane trzy metry i odetchnął z ulgą, gdy poczuł dwa zdecydowane szarpnięcia.

Powtórzyły się w dwadzieścia sekund później. Zaczął zwijać żyłkę najszybciej jak mógł. Kiedy stwierdził, że zostało jej już tylko około dwóch metrów, wychylił się za balustradę i ciągnął o wiele wolniej. Nie chciał nawet lekko uderzyć radiem w stalową konstrukcję mostu.

W końcu trafiła do jego rąk wodoszczelna torba, mocno przewiązana u góry żyłką. Przykucnął obok autobusu, żeby obejrzeć zdobycz.

Przeciął żyłkę scyzorykiem i zajrzał do środka. Leżał tam mały, błyszczący, tranzystorowy radionadajnik.

–Dziwna pora na ryby, Revson – odezwał się tuż za jego plecami Van Effen. Revson znieruchomiał, ale tylko na chwilę. Trzymając torbę na piersi, ukradkiem sięgnął ręką do lewej wewnętrznej kieszeni.

–Chętnie zobaczę, co można złapać nocą w wodach cieśniny. Niech pan się odwróci, Revson, spokojnie i powoli. Mam zszarpane nerwy, a wie pan, czym to grozi, gdy trzyma się palec na spuście.

Revson odwrócił się powoli i spokojnie, jak człowiek, który doskonale wie, co znaczą palce nerwowo naciskające spust. Pojemnik z gazem był już w torbie.

–Cóż, za dobrze chyba szło – powiedział z rezygnacją.

–A więc Branson miał rację. – Van Effen stał jakieś półtora metra od Revsona. Jego okrągła twarz była jak zwykle pozbawiona wyrazu.

Obiema rękami trzymał pistolet maszynowy. Trzymał go luźno, ale

widać było, że palec wskazujący spoczywa na spuście. Revson byłby martwy, zanim pokonałby połowę dzielącej ich odległości. Van Effen najwyraźniej jednak nie spodziewał się oporu z jego strony.

–Zobaczmy, co pan tam ma. No już, powoli i spokojnie. Powoli i spokojnie.

Bez pośpiechu i ostrożnie Revson wyjął pojemnik z gazem. Był tak mały, że mieścił się prawie w jego dłoni. Wiedział, że ciśnienie gazu jest trzykrotnie wyższe niż normalnie, a zasięg rażenia wynosi trzy metry.

Tak przynajmniej poinformował go O'Hare, a Revson miał do niego zaufanie.

Van Effen mocniej uchwycił broń prawą ręką i skierował lufę wprost na Revsona.

–Niech mi pan to pokaże.

–Powoli i spokojnie?

–Właśnie.

Revson bez pośpiechu wyprostował rękę. Kiedy nacisnął rozpylacz, twarz Van Effena była niecały metr od niego. Puścił pojemnik z gazem, aby pochwycić upuszczony pistolet. Tak jak poprzednio, chciał uniknąć odgłosu upadającego metalu. Spojrzał na leżącą u swoich stóp postać. Darzył Van Effena pewnym szacunkiem, jako człowieka i zawodowca. Nie było jednak czasu na sentymenty. Podniósł pojemnik z gazem, wziął do ręki radio i uruchomił je.

–Mówi Revson.

–Tu Hagenbach. – Revson ściszył odbiór.

–Czy mamy zamknięty obwód VHF? Nie ma możliwości pod-
słuchu?

–Absolutnie.

–Dziękuję za radio. Mam pewien problem. Chodzi o pozbycie się
kogoś. Van Effen mnie przyłapał, ale go załatwiłem. Gazem. Poznał
mnie, oczywiście, więc nie może zostać na moście. Mógłbym wrzucić
go do wody, ale nie chcę. Nie zasłużył na to. Może jeszcze przydać się
jako świadek. Chciałbym porozmawiać z dowódcą łodzi podwodnej.

Po chwili odezwał się inny głos.

–Mówi kapitan. Komandor Pearson.

–Gratuluje, kapitanie, i dzięki za radio. Słyszał pan, o czym
mówiłem panu Hagenbachowi?

–Tak.

–Byłby pan gotów przyjąć jeszcze jednego pasażera, mimo że jest
nieprzytomny?

–Jesteśmy do usług.

–Znajdzie pan na pokładzie kabel czy linę, którą mógłbym wciągnąć
tu na górę, ale na tyle mocną, żeby wytrzymała ciężar człowieka?
Potrzebowałbym tego jakieś sto pięćdziesiąt metrów.

–Na Boga, nie. Niech pan zaczeka, aż sprawdzę. – Po krótkiej
przerwie znów odezwał się głos Pearsona. – Mamy trzy zwoje liny po
trzydzieści sążni. Gdyby je połączyć, powinno być aż nadto.

–Świetnie. Spuszczę z powrotem na dół moją żyłkę. Jeszcze chwila.
Muszę ją czymś obciążyć.

Zawiesił radio na szyi, żeby mieć wolne ręce, i niemal od razu jego wzrok padł na pistolet maszynowy Van Effena. Przymocował żyłkę do kabłąka spustu i zaczął ją natychmiast opuszczać. Nadał wiadomość przez radio.

–Spuszczam żyłkę. Obciążylem ją pistoletem Van Effena. Jest przywiązana do kabłąka spustu. Nie chciałbym, żeby ktoś przypadkiem się postrzelił.

–Marynarze mają wprawę w obchodzeniu się z bronią, panie Revson.

–Nie chciałem nikogo urazić, kapitanie. Kiedy dostanę linę, przetrzucę ją przez balustradę i zwiążę Van Effena. Podwójne węzły wokół ud, okrętka w pasie i ręce związane z tyłu, żeby lina nie zsunęła mu się z ramion.

–Chętnie widzielibyśmy u siebie takich pomysłowych młodzieńców jak pan.

–Nie zmieściłbym się chyba w limicie wieku. Czy dwóch albo trzech waszych ludzi może opuścić go na dół, gdy wszystko będzie gotowe? Ja się tego za żadne skarby nie podejmę. Mówiłem już, nie ten wiek.

–Nie uwierzyłby pan, jak nowoczesnym sprzętem dysponuje obecnie marynarka. Użyjemy wyciągu.

–Jestem tylko szcurem lądowym – stwierdził Revson tonem usprawiedliwienia.

–Mamy pańską żyłkę i broń. Nikt nikogo nie postrzelił. – Na-

stąpiła krótka przerwa. – Niech pan ciągnie.

Revson wciągnął linę. Nie była grubsza niż sznur od bielizny, nie wątpił jednak, że Pearson zna się na rzeczy. Skrępował Van Effena tak, jak to opisał, po czym zawlókł go do balustrady.

–Jesteście gotowi przejąć ciężar? – spytał przez radio.

–Tak jest.

Zluzował linę. Postać Van Effena zawisała na moment w powietrzu, po czym zniknęła, osuwając się w mrok. Po chwili przerzucona przez balustradę lina zwiotczała, a z radia rozległ się głos Pearsona.

–Mamy go.

–Dotarł cało?

–Bez szwanku. To wszystko na dziś?

–Tak. Dziękuję za współpracę. – Revson pomyślał przez chwilę, jak zareaguje Van Effen, kiedy ocknie się w łodzi podwodnej, po czym znów odezwał się przez radio.

–Panie Hagenbach?

–Tak?

–Słyszał pan wszystko?

–Owszem. Niezła robota.

Obsypywanie podwładnych pochwałami nie było w zwyczaju Hagenbacha.

–Miałem szczęście. Detonator jest unieszkodliwiony. Na stałe.

–Dobrze. Bardzo dobrze.

W ustach Hagenbacha brzmiało to jak rzymski hołd, składany

wybitnemu generałowi, który podbił drugi czy trzeci z kolei kraj.

–Burmistrz Morrison będzie doprawdy rad z tej wiadomości.

–Dopiero, gdy do niego dotrze. Proponuję, żeby za dwie godziny znowu wygasić światła na moście i obsadzić południową wieżę po wschodniej stronie. Ma pan odpowiednich ludzi, sir?

–Specjalnie dobranych.

–Niech pan nie zapomni im powiedzieć, żeby usunęli zapalniki z ładunków. Tak na wszelki wypadek.

–Aha! – Wyniosłość Hagenbacha topniała jak płatek śniegu w rzece. – Oczywiście.

–Myślałem o czymś jeszcze. Zanim wyłączycie światła, można by unieszkodliwić laserem południowy reflektor.

–Zrobimy to, mój chłopcze.

–Proszę nie łączyć się ze mną. Mając przy sobie radio mógłbym znaleźć się w bardzo niezręcznej sytuacji, gdyby sygnał wywoławczy odezwał się na przykład w trakcie mojej rozmowy z Bransonem.

–Będziemy stale na nasłuchu.

Hagenbach popatrzył na kolegów. Niewiele brakowało, by się uśmiechnął i zmienił opinię na swój temat. Patrzył na wszystkich po kolei, próbując ukryć zadowolenie, choć właściwie nie za bardzo się starał. W końcu zwrócił się do wiceprezydenta.

–Użył pan słowa "szaleniec", sir. Stwierdził pan, że "całkiem oszalał".

Richards nie dał się zbić z tropu.

–Cóż, może to boska odmiana szaleństwa. Unieszkodliwienie detonatora to już duży krok naprzód. Jak sam pan mówi, szkoda, że Morrison o tym nie wie.

–Jego pomysłowość nie zna chyba granic. – stwierdził Quarry.

–Oto co znaczy właściwy człowiek na właściwym miejscu i do tego w stosownym czasie. Problem zakładników pozostaje jednak otwarty.

–Nie ma potrzeby się martwić, – Hagenbach zasiadł wygodnie w fotelu. – Już Revson coś wymyśli.

ROZDZIAŁ XI

Revson myślał tylko o tym, jak przyjemnie byłoby zapaść na parę godzin w błogi sen. Johnson, który leżał w niewygodnej pozycji przed fotelem kierowcy, zaczynał się już poruszać. Revson wywlókł go stamtąd i usadowił na drugim schodku w drzwiach autobusu, opierając mu głowę i ramiona jako tako wygodnie o poręcz. Pomyślał, że za jakieś dwie minuty powinien się ocknąć. Nawet Bartlett zaczynał kręcić się niespokojnie przez sen. Ludzie obezwładniani za pomocą igieł odzyskiwali przytomność w różnym czasie. Johnson i Bartlett mieli najwidoczniej bardzo podobny czas reakcji.

Revson przeszedł cicho między fotelami. April Wednesday nie spała. Przepuściła go na miejsce przy oknie, po czym znów usiadła. Zanim zdjął i rzucił na podłogę przemoczoną kurtkę, podał jej pojemnik z gazem. Pochyliła się i wetknęła go na dno torby.

–Myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę – wyszeptała. – Jak poszło?

–Nie najgorzej.

–Co się stało?

–Chcesz wiedzieć? Naprawdę?

Zastanowiła się i pokręciła głową. Wyobrażenia wciąż podsuwała jej obrazy narzędzi tortur. Powiedziała za to cicho:

–Co masz na szyi?

–O Boże!

Nieco już senny Revson oprzytomniał w jednej chwili. Na szyi miał ciągle zawieszony miniaturowy radionadajnik. Cóż za widok dla wężącego Bransona! Zdjął radio i po odpięciu rzemyka włożył je pod pokrywę aparatu fotograficznego.

–Co to? – spytała April.

–Po prostu maleńki aparacik. –

–Nieprawda. To radio.

–Nazywaj to jak chcesz.

–Skąd je masz? Przecież cały autobus, wszystko przeszukano od góry do dołu.

–Przechodził tędy mój przyjaciel. Wszędzie mam przyjaciół. Być może ocaliłaś mi życie. Chętnie bym cię za to pocałował.

–No więc?

Jeśli chodzi o pocałunki, nie była bynajmniej tak krucha, jak wyglądała.

–To była najprzyjemniejsza część dzisiejszego wieczoru – stwierdził Revson. – Całego dnia. Wielu dni. Kiedyś, jak wydostaniemy się z tego cholernego mostu, musimy spróbować jeszcze raz.

–Dlaczego nie teraz?

–Jesteś bezwstydna... – Chwycił ją za ramię i skinął głową. Gdzieś z przodu ktoś się poruszył. Okazało się, że to Johnson. Nadspodziewanie szybko stanął na nogi i rozejrzał się po moście. Revson potrafił sobie wyobrazić, nad czym się zastanawia. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, były zapewne stopnie przy drzwiach autobusu. Będzie

naturalnie sądził, że tylko na chwilę usiadł, żeby odpocząć. Jedno było pewne: nigdy nie przyzna się Bransonowi, że choćby na moment zasnął. Wszedł do autobusu i szturchnął Bartletta lufą automatu.

Bartlett oprzytomniał i spojrzał na niego.

–Śpisz? – zapytał Johnson.

–Ja? Czy ja śpię?! – Bartlett był zdziwiony i oburzony. – Nie można na chwilę przymknąć oczu, bo zaraz mają do człowieka pretensje!

–Uważaj, żeby ci się nie zamknęły na dłużej. – W głosie Johnsona była obłuda. Zszedł ze stopni i ruszył dalej.

Revson odezwał się cicho do April:

–Odeszła mi chęć do spania, a udawanie śpiącego tu nie wystarczy.

Mam poważne podejrzenia, że wkrótce zrobi się trochę zamieszania, a wtedy chcę naprawdę spać. Nie wzięłaś przypadkiem tabletek nasennych?

–A niby po co? To miała być przecież jednodniowa przejażdżka.

Zapomniałaś już?

–Nie zapomniałem – westchnął. – Nie ma więc innego wyjścia. Daj mi pojemnik z gazem.

–Po co?

–Chcę się nim tylko trochę zaciągnąć. Potem zabierz go ode mnie i schowaj z powrotem.

April zawahała się.

–Pamiętaj o kolacji, o wielu kolacjach, na które miałem cię zaprosić, jak tylko zejdziemy na ląd.

–Niczego takiego sobie nie przypominam.

–No to teraz już nie zapomnij. Ale nigdzie cię nie wezmę, jeżeli będę leżał na dnie cieśniny, prawda?

April wzdrygnęła się i sięgnęła niechętnie do torby.

Chrysler położył rękę na ramieniu Bransona i delikatnie nim potrząsnął. Znajdowali się w ostatnim autobusie. Mimo wyczerpania Branson natychmiast obudził się i oprzytomniał.

–Jakieś kłopoty?

–Sam nie wiem. Niepokoję się, panie Branson. Van Effen powiedział, że idzie sprawdzić, czy wszystko w porządku, i jeszcze nie wrócił.

–Kiedy wyszedł?

–Pół godziny temu, sir.

–Na Boga, Chrysler, czemu nie obudziłeś mnie wcześniej?!

–Z dwóch powodów. Wiedziałem, że musi się pan przespać, a nasz los jest w pańskich rękach. Poza tym nigdy nie znałem człowieka, który dbałby o swoje bezpieczeństwo bardziej niż Van Effen.

–Miał swój pistolet maszynowy?

–A widział pan, żeby go choć na chwilę odłożył, odkąd jesteśmy na moście?

Branson wstał z fotela, wziął do ręki broń i powiedział:

–Chodź ze mną. Widziałeś, dokąd poszedł?

–Na północ.

Ruszyli do autobusu prezydenta. Strażnik Peters siedział bokiem na fotelu kierowcy i palił papierosa. Odwrócił się błyskawicznie usłyszaw-

szy ciche stukanie do drzwi, wyjął klucz z wewnętrznej kieszeni

i przekręcił go w zamku. Branson otworzył drzwi z zewnątrz i spytał półgłosem:

–Nie widziałeś przypadkiem Van Effena?

Prawdę mówiąc, mógł podnieść głos o kilkadziesiąt decybeli i nie sprawiłoby to różnicy. Jeśli chodzi o hałaśliwe chrapanie, żaden prezydent, król, generał, burmistrz czy minister nie różni się od przeciętnego zjadacza chleba.

–Owszem, panie Branson. Jakies pół godziny temu. Widziałem, jak szedł do toalety.

–Zauważyłeś, jak wychodził?

–Nie. Szczerze mówiąc, nie patrzyłem na zewnątrz. Nie obchodzi mnie, co tam się dzieje. Mam pilnować, żeby żaden z tych dżentelmenów nie podchodził do pulpitu łączności ani nie próbował mi odebrać broni i klucza. Nie byłbym zachwycony, gdyby ktoś wycelował mi w głowę mój własny pistolet. Pilnuję tego, co dzieje się w autobusie, a nie na zewnątrz.

–I słusznie robisz. Jesteś w porządku, Peters.

Branson zamknął drzwi i usłyszał odgłos przekręcanego klucza.

Poszli do najbliższej toalety. Starczył rzut oka, żeby przekonać się, że jest pusta, w drugiej także nie było nikogo. Udali się do sanitarki.

Branson otworzył drzwi z tyłu i posługując się małą latarką odszukał kontakt. Światło zalało wnętrze pojazdu. O'Hare, przykryty pojedynczym kocem, spał twardo w samej koszuli na składanym łóżku

z boku. Branson próbował go obudzić. Musiał długo potrząsać.

O'Hare otworzył zaczerwienione oczy, skrzywił się na widok oślepiającego światła, spojrzął na obu mężczyzn, a potem na zegarek.

–Za pięć pierwsza! Czego chcecie, do diabła, o tej porze?

–Van Effen zniknął. Widział go pan?

–Nie, nie widziałem. – O'Hare okazał coś w rodzaju zawodowego zainteresowania. – Coś mu dolegało?

–Nie.

–Więc po co zawracacie mi głowę? Może spadł z mostu – powiedział z nadzieją.

Branson przyjrzał mu się uważnie. Był na tyle doświadczony, żeby stwierdzić, że nieco podpuchnięte oczy O'Hare świadczą o zaspaniu, a nie bezsenności. Dał Chryslerowi znak, żeby wyszedł, ruszył za nim, wyłączył światło i zamknął za sobą drzwi.

Johnson zmierzał właśnie w ich stronę z automatem na ramieniu.

Zbliżył się, zatrzymał i powiedział:

–Dobry wieczór, panie Branson. A raczej: dzień dobry.

–Widziałeś Van Effena?

–Van Effena? Kiedy?

–W ciągu ostatnich trzydziestu minut.

Johnson z przekonaniem pokręcił głową.

–Na pewno nie.

–Ale on był na moście, tak samo jak ty. Jeżeli był tutaj, musiałeś go widzieć.

–Niestety, nie. Mogłem go nie zauważyć, nawet gdyby wtedy prze-

chodził. Spaceruję cały czas tam i z powrotem, to najlepszy sposób, żeby nie zasnąć. Nie mogę się bez przerwy oglądać. – Johnson zastanawiał się nad czymś, a przynajmniej na to wyglądało. – Może był tutaj, ale poszedł gdzie indziej. Chodzi mi o to, że mógł z jakichś sobie znanych powodów przejść na drugą stronę, za autobusy.

–Po co miałby to robić?

–Skąd mam wiedzieć? Może chciał się ukryć? Mógł mieć jakikol-

wiek powód. Skąd mogę wiedzieć, co Van Effenowi chodzi po głowie?

–To prawda. – Branson wolał nie zrażać sobie Johnsona, byłego oficera marynarki, który jako doświadczony pilot śmigłowca miał odegrać znaczącą rolę w planowanej ucieczce. Powiedział więc spokoj-

nie: – Proponuję tylko, żebyś stanął na środku mostu i od czasu do czasu się rozejrzył. Na stojąco nie powinieneś zasnąć. Za piętnaście minut ktoś cię zmieni.

Branson i Chrysler poszli w kierunku pierwszego autobusu. Z przodu widać było przygaszone światło i żar cygara, które palił Bartlett.

–Wygląda na to, że Wszyscy strażnicy czuwają – stwierdził Branson. – Tym trudniej zrozumieć zniknięcie Van Effena.

–Dzień dobry, panie Branson – odezwał się energicznie Bartlett. – Robi pan obchód? Tutaj wszystko gra.

–Widziałeś Van Effena? Chodzi o ostatnie pół godziny.

–Nie. Nie może go pan znaleźć?

–Powiedzmy, że zniknął.

Bartlett zamyślił się.

–Nie będę zadawał głupich pytań w rodzaju: Jak to możliwe". Kto go ostatnio widział?

–Peters. Ale to niewiele daje. Czy ktoś w ciągu ostatnich trzydziestu minut wychodził z autobusu?

–Odkąd wróciliśmy po pożarze, nikt się stąd nie ruszał.

Branson podszedł do fotela Revsona. April Wednesday nie spała. Revson miał zamknięte oczy i oddychał ciężko, głęboko. Branson poświecił mu w twarz latarką. Nie było reakcji. Podniósł powiekę. Nie zareagowała mimowolnym drgnieniem ani skurczem mięśni, jaki poja-

wia się zawsze w takim przypadku u osoby, która nie śpi. Skoncentrował promień światła na jednym oku. Było szkliste i patrzyło niewidząco, bez mrugnięcia. Opuścił powiekę.

–Śpi jak zabity – stwierdził. – To pewne. – Jeśli w jego głosie brzmiała nuta rozczarowania, dobrze to ukrywał. – Kiedy się pani obudziła, panno Wednesday?

–W ogóle nie zasnęłam. Może nie powinnam była wracać na most.

–Uśmiechnęła się żałośnie. – Taki ze mnie tchórz, panie Branson. Nie znoszę burzy.

–Nie zrobię pani krzywdy, panno Wednesday.

Wyciągnął rękę i delikatnie przesunął palcem po jej ustach. Patrzyła na niego zdumiona. Wargi miała zupełnie wyschnięte. Branson przypomniał sobie opinię O'Hare na temat jej równowagi emocjonalnej i psychicznej, czy raczej braku zrównoważenia.

–Pani naprawdę się boi. – Uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu. – Nie ma czego. Już prawie po burzy.

Branson wyszedł.

April bała się, ale z zupełnie innego powodu. Myślała z przerażeniem, co będzie, jeśli Branson zechce Revsona potrząsnąć albo poklepać po policzku i stwierdzi, że nie można go obudzić.

Dwadzieścia minut później Branson i Chrysler stali przy drzwiach

ostatniego autobusu.

–Z całą pewnością nie ma go na moście, panie Branson – stwierdził Chrysler.

–Też tak myślę. Chciałbym wiedzieć, co o tym sądzisz, Chrysler.

Chrysler machnął ręką z dezaprobatą.

–Ja wykonuję rozkazy, a nie dowodzę.

–Mimo wszystko.

–No to spróbuję. Mogę mówić, co myślę? – Branson przytaknął.

–Po pierwsze, Van Effen nie skoczył z mostu. Jest ostatnią osobą, którą bym posądzał o skłonności samobójcze, tym bardziej że już za parę dni miał dysponować siedmiocyfrową fortuną. Nie wierzę też, żeby zdradził. Powiedział pan, że mogę mówić, co myślę. Również w tym przypadku straciłby fortunę, a poza tym był panu całkowicie oddany. Żeby uciec, musiałby przejść sześćset metrów w kierunku jednej z wież i Johnson na pewno by to zauważył. A więc przydarzył mu się wypadek. Jest pan pewny, że to nie doktor?

–Absolutnie.

–Revson też nie. Zostaje tylko generał Cartland. Może być niebezpieczny. Ale Peters... – Chrysler przerwał, bo coś mu przyszło do głowy. – Wie pan, panie Branson, to by się nie zdarzyło, gdyby Kowalski stał na straży. – Milczał przez chwilę. – Zastanawiam się, czy ten jego wypadek to był naprawdę tylko wypadek.

–Sam się nad tym zastanawiałem. Jakie wnioski, Chrysler?

–Jest w tym stadku jakaś czarna owca. Może ktoś z nas.

–Niepokojąca myśl, ale trzeba się z tym liczyć. Chociaż kto

wyrzucałby w błoto takie pieniądze...

–Może rząd obiecał komuś podwójną dolę w zamian za...

–To tylko czcze spekulacje. – Zmarszczone brwi Bransona przeczyły jego słowom. – Podejrzewanie wszystkich wokół prowadzi tylko do hysterii, a na to nie możemy sobie pozwolić. Co więc ostatecznie stało się z Van Effenem?

–Myślę tak jak pan. Leży na dnie cieśniny.

Van Effen siedział tymczasem w wozie łączności na brzegu. Hagenbach i Hendrix usadowili się po drugiej stronie stołu. Przy drzwiach stało dwóch uzbrojonych policjantów. Twarz Van Effena nie była, jak zazwyczaj, pozbawiona wyrazu. Wydawał się nieco oszołomiony, choć trudno powiedzieć, z jakiego powodu. Może doznał wstrząsu zrozumiawszy swoje położenie, a może nadal odczuwał skutki działania gazu.

–A więc nie doceniłem Revsona? – odezwał się.

–Kiedy trafi pan do San Quentin, spotka pan wielu takich, którzy podzielą pańskie zdanie. – Hagenbach spojrział na Van Effena. – Skoro mowa o San Quentin: zdaje pan sobie chyba sprawę, że dostanie pan co najmniej dziesięć lat, bez szansy na darowanie kary?

–W każdej pracy jest ryzyko zawodowe.

–Można tego uniknąć.

–Nie rozumiem.

–Możemy ubić interes.

–Nie zgadzam się.

–Nie ma pan nic do stracenia, a zyskać można wiele. Mówiąc dokładnie, dziesięć lat życia.

–Nie zgadzam się.

Hagenbach westchnął...

–Mogłem się spodziewać, że tak się pan zachowa. To godne podziwu, ale nieroztropne. – Spojrzał na Hendrixa. – Zgodzi się pan?

Hendrix wydał polecenia policjantom.

–Zakuć go w kajdanki i zabrać do szpitala wojskowego, na oddział zamknięty. Powiedzcie lekarzom, że pan Hagenbach przyjdzie za parę minut. Nie zapomnijcie włączyć magnetofonów.

–Szpital? Magnetofony? – odezwał się Van Effen. – A więc chodzi o narkotyki.

–Skoro odmawia pan współpracy, będziemy musieli ją wymusić.

Pomoże nam pan, że tak powiem, nieświadomie.

Na okrągłej twarzy Van Effena pojawił się pogardliwy uśmiech.

–Wie pan, że żaden sąd nie przyjmie wymuszonych zeznań.

–Nie potrzebujemy od pana żadnych zeznań. Mamy dość dowodów, żeby pana wsadzić na długie lata. Chcemy tylko kilku użytecznych informacji. Po odpowiedniej mieszance tiopentalu i paru innych ziółek będzie pan śpiewał jak z nut.

–Może i tak. – Twarz Van Effena nadal wyrażała pogardę. – Ale nawet wy musicie przestrzegać panującego w tym kraju prawa. Stróże porządku, którzy zdobywają informacje nielegalnymi metodami, pod-

legają automatycznie ściganiu i karze więzienia.

–Mój Boże! – Hagenbach powiedział to niemal dobrodusznie.

–Sądziłem, że nawet pan musiał słyszeć o prezydenckim prawie łaski.

Czyżby zapomniał pan, że porwaliście prezydenta?

O drugiej pięćdziesiąt nad ranem pełniący służbę na południowym brzegu porucznik lotnictwa pokręcił dwiema gałkami bardzo skomplikowanego urządzenia, nastawiając ultrafioletowy teleskopowy celownik na sam środek reflektora, który Branson skierował na południową wieżę. Tylko jeden raz wcisnął guzik.

O drugiej pięćdziesiąt pięć trzech mężczyzn weszło do dziwnego, nisko zawieszzonego pojazdu. Nie był widoczny z mostu, gdyż zasłaniał go wóz łączności. Za kierownicą usiadł jakiś osobnik w szarym płaszczu. Dwaj pozostali siedzieli z tyłu. Byli ubrani w szare kombinезony i zadziwiająco do siebie podobni. Nazywali się Carmody i Rogers. Obaj mieli po trzydziestce i sprawiali wrażenie nieustępliwych i znających swój fach dżentelmenów. Nie wiadomo, czy byli dżentelmenami. Ich nieustępliwość i fachowość nie budziła natomiast wątpliwości. Nie wyglądali na specjalistów- od materiałów wybuchowych, a jednak na nich także się znali. Obaj mieli pistolety zaopatrzone w tłumiki. Carmody niósł brezentową torbę, a w niej zestaw narzędzi, dwa pojemniki z gazem, motek grubego sznura, przyłepiec i latarkę. Rogers miał podobną torbę z krótkofalówką, termosem i kanapkami. Widać było, że są odpowiednio zaopatrzeni, żeby wykonać swoje zadanie, i gotowi pozostać przez dłuższy czas w jed-

nym miejscu.

O trzeciej zgasły światła na moście i w sąsiadujących z nim rejonach miasta. Człowiek w szarym płaszczu włączył silnik i elektryczny pojazd o niskim podwoziu z cichym szumem ruszył w kierunku południowej wieży.

Pełniący służbę policjant odebrał telefon w wozie łączności. Dzwonił Branson i nie był bynajmniej w radosnym nastroju.

–Hendrix?

–Szefa tu nie ma.

–Więc sprowadźcie go.

–Gdyby zechciał mi pan powiedzieć, o co chodzi...

–Na moście znowu zgasły światła. Dajcie Hendrixa.

Policjant odłożył słuchawkę i przeszedł na tył furgonetki. Hendrix siedział na stołku przy otwartych drzwiach, z krótkofalówką w jednej ręce i filiżanką kawy w drugiej. Nadajnik zatrzeszczał.

–Mówi Carmody, szefie. Jesteśmy wewnątrz wieży, a Hopkins przejechał już wózkiem pół drogi z powrotem.

–Dziękuję. – Hendrix odłożył krótkofalówkę. – To Branson?

Trochę zaniepokojony?

Hendrix bez pośpiechu skończył kawę, przeszedł na drugi koniec furgonetki, podniósł słuchawkę i ziewnął.

–Zdrzemnąłem się. Nie musi pan nic mówić. Znowu zgasły światła.

W całym mieście mamy dzisiaj awarie. Proszę poczekać.

Branson czekał przy telefonie w autobusie prezydenta. Nagle nad-

biegł Chrysler. Prezydent spojrział na niego zamglonym wzrokiem.

Naftowi potentaci dalej spokojnie chrapali. Branson obejrzał się, nie odkładając słuchawki.

–Reflektor przy południowej wieży nie działa – wyrzucił z siebie Chrysler.

–Niemożliwe. – Twarz Bransona zaczynała zdradzać coraz większe napięcie. – Co się stało?

–Bóg raczy wiedzieć. Jest ciemno. Generator chyba w porządku.

–A więc biegnij do reflektora przy północnej wieży i odwróć go!

Nie. Zaczekaj! – Hendrix był przy telefonie. – Mówi pan, że za

minutę? – Odwrócił się do Chryslera. – W porządku. Zaraz włączą

światła. – Po chwili znów mówił do słuchawki. – Niech pan pamięta.

Punktualnie o siódmej chcę rozmawiać z Quarrym.

Odłożył słuchawkę i poszedł wzdłuż autobusu. Zatrzymał go prezydent.

–Kiedy skończy się ten koszmar?

–To zależy od pańskiego rządu.

–Nie wątpię, że zgodzą się na pańskie żądania. Intryguje mnie pan,

Branson. I nie tylko mnie. Skąd ta zapiękła niechęć do społeczeństwa?

Branson uśmiechnął się, jak zwykle bez wyrazu.

–Społeczeństwo mnie nie obchodzi.

–Jaką więc urazę żywi pan do mnie? Po co mnie publicznie

poniżać? Wszystkich innych traktuje pan uprzejmie. Nie dość, że

trzyma pan w szachu cały naród, musi pan jeszcze ze mnie robić

głupca?

Branson nie odpowiedział.

–Może nie podoba się panu moja polityka?

–Polityka mnie nudzi.

–Rozmawiałem dzisiaj z Hendrixem. Powiedział mi, że pański ojciec jest bardzo zamożnym bankierem w jednym ze wschodnich stanów. To multimilioner. Zazdrości pan człowiekowi, któremu udało się osiągnąć szczyty kariery. Nie mogąc się doczekać, aż przypadnie panu w udziale jego bank i miliony, wybrał pan jedyną drogę, jaka pozostała: występki. I nie udało się. Nie zdobył pan sławy – chyba tylko wśród szefów policji. A więc przegrał pan. Stąd uraza, którą w symboliczny sposób przenosi pan na pierwszego obywatela Ameryki.

–Kiepski z pana diagnosta, panie prezydencie, i jeszcze nędzniejszy psycholog – powiedział Branson ze znużeniem. – Tak, wiem, znów pana obrażam, ale tylko w cztery oczy. Proszę się nie obawiać, będę się już hamował. Kiedy jednak pomyślę, że pańskie decyzje mogą wpłynąć na losy ponad dwustu milionów Amerykanów...

–Do czego pan zmierza?

–Chodzi o to, jak bardzo się pan myli. Branson-senior, ten wzór uczciwości i przyzwoitości, to skończony łajdak. Był też – jest zresztą nadal – nielichym oszustem. Jego bank inwestycyjny cieszy się, rzecz jasna, sławą, ale nie wyszło to na dobre inwestorom. Ci ludzie dysponowali na ogół skromnymi funduszami. Ja okradam przynaj-

mniej bogate firmy. Dowiedziałem się o wszystkim, gdy tam pracowałem. Nie wziąłbym od niego ani jednego zawzonego dolara. Nie dałem mu nawet satysfakcji wydziedziczenia mnie. Wygarnąłem, co myślę o nim i jego parszywym banku, i wyszedłem. A co do sławy, komu to potrzebne?

–W ciągu ostatnich osiemnastu godzin osiągnął pan z pewnością więcej niż pański ojciec przez całe życie. – Prezydent powiedział to ze zrozumiałym przekąsem.

–To tylko rozgłos. Też nikomu niepotrzebny. Jeśli chodzi o pieniądze, jestem już multimilionerem.

–I chce pan mieć więcej?

–Czym się kieruję, to moja sprawa. Przepraszam, że zakłóciłem pański sen.

Branson wyszedł. Z fotela obok odezwał się Muir.

–No, no. To było dość osobliwe.

–Więc pan nie spał.

–Człowiek nie chce przeszkadzać. Nocną porą Branson jest zupełnie inny niż w ciągu dnia. Skłonny do współpracy, uprzejmy – jakby szukał dla siebie usprawiedliwienia. Ale z całą pewnością ma o coś cholerne pretensje.

–Skoro nie szuka sławy i nie potrzebuje pieniędzy, po jakiego diabła tkwimy na tym przeklętym moście?

–Cii...! Burmistrz Morrison może pana usłyszeć. Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Za pozwoleniem, panie prezydencie, chciał-

bym jeszcze pospać.

Carmody i Rogers dotarli na szczyt południowej wieży i wyszli z windy. Carmody sięgnął do kabiny, wcisnął guzik i cofnął rękę, gdy drzwi zaczęły się zamykać. Obaj mężczyźni odeszli na bok i w milczeniu spojrzeli w dół na most, pogrążony w ciemnościach i ledwo widoczny z odległości stu pięćdziesięciu metrów. Minutę później Carmody wyjął z brezentowej torby krótkofalówkę, wyciągnął antenę i powiedział:

–Możecie wyłączyć prąd. Winda jest od trzydziestu sekund na dole.

Schował krótkofalówkę i zdjął kombinezon. Miał na sobie specjalnie dobraną, ciemną koszulę, a na niej skórzaną uprząż ze stalową klamrą na plecach. Przymocowaną do klamry nylonową linką był kilkakrotnie owinięty w pasie. Odwiązywał ją właśnie, gdy zapaliły się znowu latarnie na moście i światła ostrzegawcze dla samolotów na wieżach.

–Myślisz, że mogą nas zauważyć? – spytał Carmody.

–Chodzi ci o te światła ostrzegawcze? – Carmody przytaknął. – Nie ma obawy. Stamtąd niczego nie zobaczą. Poza tym, o ile wiem, ich reflektor przy południowej wieży nie za dobrze działa.

Carmody odwiązał resztkę linki i podał jej koniec Rogersowi.

–Owiń się parę razy, Charles, a potem bądź łaskaw mocno trzymać.

–Bądź spokojny. Gdybyś poleciał w dół, musiałbym to draństwo

sam rozbrajać, i to bez asekuracji.

–Powinni nam dawać premię za niebezpieczną robotę.

–Jesteś zakałą oddziału saperów.

Carmody westchnął, uchwycił się potężnej liny i zaczął usuwać zapalniki z ładunków.

Była szósta trzydzieści nad ranem, gdy Revson poruszył się i obudził. Spojrzał na April i zauważył, że jej zielone oczy wpatrują się w niego. Były mocno podkrążone, a jej blada zwykle twarz jeszcze bardziej nienaturalnie pobladła.

–Nie wyglądasz na wypoczętą – stwierdził.

–Całą noc nie spałam.

–Co takiego? Mimo że jestem przy tobie?

–Nie chodzi o mnie. Martwię się o ciebie.

Revson nic nie odpowiedział.

–Jesteś skacowany po tej... tabletkie nasennej?

–Nie. Chyba w końcu normalnie zasnąłem. Tylko tym się martwisz;

–Nie tylko. Branson był tu tuż przed pierwszą. Świecił ci w oczy latarką, żeby sprawdzić, czy jeszcze śpisz.

–Ten facet nie da człowiekowi spokoju. Czy myślisz...

–Myślę, że znów jesteś głównym podejrzanym.

–Podejrzanym o co?

–Van Effen zniknął.

–Coś podobnego!

–Nie przejąłeś się tym zbyttnio.

–Co znaczy dla mnie Van Effen albo ja dla niego? Nic więcej się nie działo?

–O trzeciej na moście znowu zgasły światła.

–Aha!

–Nic cię jakoś nie dziwi.

–Dlaczego mam się dziwić, że zgasły światła? Mogło być po temu kilkanaście różnych powodów.

–Myślę, że winowajca siedzi koło mnie.

–Ja spałem.

–Nie spałeś, kiedy wyszedłeś o północy na most. Założę się, że ten twój nowy – hm – aparacik też nie leżał beczynnio. – Pochyliła się ku niemu i spojrzała głęboko w oczy. – Nie zdarzyło ci się przypadkiem w nocy zabić Van Effena?

–Kim ja według ciebie jestem? Płatnym zabójcą?

–Nie wiem, co myśleć. Nie zapominaj, że znam treść tej depeszy, którą wysłałeś, kiedy zabrali mnie do szpitala. Pamiętam dokładnie każde słowo. "Jedynie Branson i Van Effen to urodzeni przywódcy. Ich dwóch mógłbym zabić."

–Faktycznie tak napisałem. Ale nie zabiłem Van Effena. Rękę głową. Moim zdaniem żyje i ma się dobrze, chociaż nie jest pewnie zachwycony.

–Branson tak nie uważa.

–Skąd wiesz?

–Kiedy Bartlett wyszedł, to znaczy został zluźowany...

–Nie wspomniał przypadkiem Bransonowi, że być może na chwilę się zdrzemnął?

–Co masz na myśli?

–Nie, nic. Więc był przytomny i czujny jak wszyscy diabli. A co potem?

–Potem zjawił się ten... ten goryl.

Revson spojrzał na nowego strażnika. Był owłosiony, miał niewiarygodnie krzaczaste brwi i ledwo widoczne czoło. Porównanie, którego użyła April, wcale nie schlebiało gorylom.

–To Yonnie – stwierdził Revson. – Zdolny do myślenia czołg Bransona.

–Parę razy był tu Chrysler. Słyszałam, jak mówił temu człowiekowi, że ich zdaniem Van Effen leży na dnie cieśniny.

–Chciałbym zobaczyć minę Bransona, kiedy stwierdzi, pewnie po raz pierwszy w życiu, jak bardzo się myli.

–Nie chcesz mi nic powiedzieć?

–Nie. Ty też tego nie chcesz.

–Jesteś bardzo pewny swoich racji.

–Tym razem tak.

–Potrafisz z tym wszystkim skończyć?

–To już, niestety, osobna sprawa. – Myślał o czymś przez chwilę, po czym, uśmiechnął się. – Czy mogę cię zabrać dziś wieczorem na kolację, jeśli dobrze się spiszę?

–Dzisiaj?

–Nie przesłyszalaś się.

–Możesz mnie zaprosić do Timbuktu, jeśli chcesz.

–Masz tupet, dziewczyno. Nie da się ukryć.

Punktualnie o siódmej w centrum łączności autobusu prezydenta odezwał się dzwonek telefonu. Branson podniósł słuchawkę.

–Tak?

–Mówi Quarry. Zgodziliśmy się na pańskie absurdalne żądania i wszczęliśmy niezbędne kroki. Czekamy na wiadomość od pańskiego łącznika w Nowym Jorku.

–Czekacie na wiadomość? Powinniście ją mieć dwie godziny temu!

–Oczekujemy, aż znowu się odezwie – powiedział znużony Quarry.

–Kiedy dzwonił?

–Tak, jak pan powiedział – przed dwoma godzinami. Załatwia coś z jakimiś "europejskimi przyjaciółmi".

–Miał podać panu hasło.

–Podał. Mało oryginalne, moim zdaniem. "Peter Branson".

Branson uśmiechnął się szeroko i odłożył słuchawkę. Gdy wysiadł z autobusu w pierwszych promieniach słońca, nadal się uśmiechał.

Natknął się na Chryslera, który nie okazywał bynajmniej radości. Był wyczerpany, bo zastępował chwilowo Van Effena i Kowalskiego.

Martwił się jednak z zupełnie innego powodu.

–Sprawy finansowe mamy załatwione – oznajmił Branson.

–Znakomicie, panie Branson.

–Nie jesteś zbyt uradowany. – Z twarzy Bransona zniknął uśmiech.

–Chciałbym coś panu pokazać.

Chrysler zaprowadził go do skierowanego na południe reflektora.

–Pewnie pan wie, że reflektor różni się od zwykłej latarki czy lampy błyskowej. Chodzi o to, że nie ma w nim żarówki. Źródłem światła jest łuk elektryczny, powstający między dwiema elektrodami. To coś w rodzaju świecy zapłonowej w samochodzie, tyle że tam iskra jest przerywana, a łuk w reflektorze jest ciągły. Niech pan spojrzy na lewą elektrodę.

Branson przyjrzał się jej.

–Wygląda na stopioną, wygiętą czy coś w tym rodzaju. A te elektrody są pewnie tak skonstruowane, żeby wytrzymać bardzo wysokie temperatury, jakie wytwarza łuk.

–Właśnie. Jeszcze czegoś pan nie zauważył. Tu w szkle jest niewielki otwór.

–O co właściwie chodzi, Chrysler?

–To nie wszystko. – Odprowadzając Bransona Chrysler wskazał na dach ostatniego autobusu. – Radiopelengator jest załatwiony. Nie działa. Sprawdziliśmy raz i drugi, czy na moście nie ma żadnych nadajników oprócz naszych, a potem nie zawracaliśmy sobie nim głowy. Dziś rano przypadkiem go sprawdziłem. Wszedłem na górę, żeby rzucić okiem. W podstawie wału obrotowego jest wypalony ślad.

–Czy to mógł być piorun? W obu przypadkach? W końcu Bóg świadkiem, że tej nocy ich nie brakowało.

–Chciałbym zauważyć, panie Branson, że ani radiopelengator, ani reflektor nie mają uziemienia. Stoją na ogumionych kołach.

–Ale radiopelengator...

–Autobus ma opony – wyjaśnił cierpliwie Chrysler.

–A więc?

–Myślę, że wycelowali w nas laser.

Kiedy zadzwonił telefon, siódemka decydentów, mimo wczesnej pory, siedziała w komplecie wokół stołu w wozie łączności. Pełniący służbę policjant podniósł słuchawkę.

–Mówi Branson. Chcę rozmawiać z generałem Carterem.

–Musi gdzieś tu być. Proszę zaczekać. – Policjant zakrył słuchawkę dłonią. – Branson do pana, panie generale.

–Niech pan włączy głośnik, żebyśmy wszyscy słyszeli, co mówi.

Proszę mu powiedzieć, że właśnie się zjawilem.

–Generał w tej chwili przyszedł.

Carter przejął słuchawkę.

–Branson?

–Carter, jeszcze raz użyje pan promieni lasera, a zrzucimy kogoś z mostu. Powiedzmy, że na początek pana Muira.

Sześciu ludzi przy stole spojrzało na siebie, pojmując w mig, o co chodzi. Pomyśleli pewnie z ulgą, że to Carter musi odbić piłeczkę.

–Proszę wyrażać się jaśniej.

–Jeden z naszych reflektorów i radiopelengator zostały uszkodzone. Wszystko wskazuje na to, że to był laser.

–Jest pan głupcem.

Nastąpiła chwila ciszy. Bransona najwyraźniej na chwilę zamurowało. Potem odezwał się:

–Muir będzie innego zdania, spadając do wody.

–Powtarzam, że jest pan głupcem i jeśli zechce pan posłuchać, powiem dlaczego. Po pierwsze, nie zna się pan na tym i nie rozpoznaby pan śladów działania lasera, nawet gdyby podetkano je panu pod nos. Po drugie, w rejonie zatoki nie ma takich urządzeń – gdyby były, pierwszy bym o tym wiedział. Po trzecie, mając lasery, moglibyśmy unieszkodliwić każdego z pańskich spacerujących po moście opryszków. Czyżby pan nie wiedział, jak dokładne i śmiercionośne są te promienie? Dysponując odpowiednim teleskopowym celownikiem można przebić piłkę z odległości dziewięciu kilometrów.

–Wie pan podejrzanie dużo o laserach, generale.

Była to nic nie znacząca uwaga. Branson namyślał się albo grał na zwłokę.

–Nie przeczę. Przeszedłem przeszkolenie w tej dziedzinie, pomagałem nawet je udoskonalać. Każdy generał ma swoją branżę czy specjalność. Generał Cartland zna się na materiałach wybuchowych. Ja jestem inżynierem-elektronikiem. O czym to mówiłem? Aha. Po czwarte, moglibyśmy unieruchomić pańskie śmigłowce, a pan nawet by o tym nie wiedział, dopóki nie próbowałyby wystartować. Sam mi pan podsuwa pomysły, Branson. Reasumując, te uszkodzenia są pewnie skutkiem wyładowania elektrycznego. Czyli pioruna. *

–Ani reflektor, ani radiopelengator nie były uziemione. Stoją na gumowych kołach.

Carter nie ukrywał już rozdrażnienia.

–Na pańskim miejscu poprzestałbym na okradaniu banków. Piórunk uderza i bez uziemienia. Setki razy w roku przytrafia się to samolotom na wysokościach do siedmiu i pół tysiąca metrów. Czy pańskim zdaniem, są uziemione? Poza tym metal skutecznie przyciąga pioruny. – Przerwał na chwilę. – Ma pan, oczywiście, prądnicę do zasilania reflektora, i to zapewne benzynową, a skoro nie chce pan otruć się tlenkiem węgla ze spalin, nie trzyma jej pan w autobusie. Proszę mi powiedzieć: czy stosuje ją pan też do ładowania akumulatorów – rzecz jasna, za pośrednictwem transformatora?

Branson zastanowił się przez ułamek sekundy, po czym odpowiedział twierdząco. Carter westchnął.

–Czy muszę za pana myśleć, Branson? Ma pan tam ogromną kupę metalu, solidnie uziemionego i połączonego bezpośrednio z reflektorem i radiopelengatorem. Wymarzony cel dla przypadkowego piórunka. Chce pan ode mnie czegoś jeszcze?

–Tak. Niech pan przekaże, komu trzeba, że na dziewiątą rano mają być gotowe kamery telewizyjne.

Carter odłożył słuchawkę.

–Niezły występ jak na początek dnia – pochwalił Richards. – Generał to coś więcej niż parę gwiazdek, jak sądzę. Mam wrażenie, że nasz Branson musi się już czuć nieco znękanym. Kiedy pokażemy

w telewizji własny program?

–Myślę, że zaraz po Bransonie – powiedział Hagenbach. – Około dziewiętej trzydzieści. W psychologicznie najlepszym momencie, jak to się mówi.

–Czy. jako nasz – hm – szef programu ma pan już gotowy tekst?

Hagenbach nie raczył odpowiedzieć.

–No i co wy na to? – zagał Branson.

–Carter nie jest głupcem, to pewne. – Chrysler był niezdecydowany. – Ale jeśli piorun trafił w prądnicę, dlaczego nie przeskoczył po prostu między elektrodami, tylko zrobił otwór w szkle reflektora?

Dokąd właściwie leciał?.

–Chyba się na tym nie znam.

–Zaczynam myśleć tak samo. Jestem za to cholernie pewny, że coś tu nie gra. – Zawahał się przez chwilę. – Może tym razem się nie popisałem, ale mam pewien pomysł, panie Branson.

–Właśnie tego mi trzeba. Mnie już nic nie przychodzi do głowy.

Chrysler pomyślał, że w ustach Bransona takie stwierdzenie było czymś niezwykłym.

–Robię, co mogę, ale daleko mi do Van Effena. Poza tym jestem już wykończony. Nawet pan nie może być na nogach dwadzieścia cztery godziny na dobę. Potrzebny panu nowy zastępca, ktoś ze świeżymi siłami. Przy całym szacunku dla moich kolegów, no cóż...

–Darujmy to sobie.

–Skoro nasi ludzie opanowali już stanowiska radarów na Mount

Tamalpais. Parker może chyba sam się wszystkim zająć. Proponuję wysłać śmigłowiec po Giscarda. Zna go pan nawet lepiej niż ja. Jest twardy, umie rządzić ludźmi, ma dobre pomysły, nie wpada w panikę i w pewnym sensie jest bardzo przebiegły. Jakby nie było – przy całym szacunku dla pana, panie Branson – nie trafił jeszcze nigdy na sale rozpraw. Zdjąłby panu z ramion cholerny ciężar.

–Pewnie, że masz rację. Gdybym był w formie, sam powinienem na to wpaść. Złap Johnsona albo Bradleya. Nie, Bradleya! Johnson był na warcie. Niech zaraz leci. Ja zadzwonię do Giscarda. Ostrzegę też naszych przyjaciół na lądzie, co im grozi, jeśli spróbują się wtrącać. Pewnie zresztą sami już wiedzą.

Branson zadzwonił, gdzie trzeba. Skrzywił się, słysząc ogłuszający łoskot śmigłowca, który gładko wystartował z mostu i poleciał na północ. Przynajmniej tym razem Carter mówił prawdę: śmigłowca nie poczęstowano promieniami lasera.

Revson zagadnął April:

–Nie chcę być niedelikatny, ale czy mogłabyś pójść, hm, przyprzodować sobie nos?

Wlepiała w niego wzrok.

–A niby po co? No tak, pewnie jest jakiś powód.

–Owszem. Rób to, co ja.

Powtórzyła czterokrotnie wszystko, co jej pokazywał. Potem zapytała:

–Tylko tyle?

-Tak.

-Raz by wystarczyło.

-Cóż, w dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, czego oczekiwać od służby.:

-Czemu sam tego nie zrobisz?

-Sprawa jest pilna i trzeba ją załatwić natychmiast. Na moście są cztery kobiety i przynajmniej pięćdziesięciu mężczyzn. Masz o wiele większe szansę na znalezienie spokojnego kąta.

-A co ty będziesz robił? Wyglądasz niezbyt schludnie.

-Parafrazując starą piosenkę, "moja maszynka została w San Francisco", zjem śniadanie. Furgonetka ma przyjechać o siódmej trzydzieści.

-Szkoda, że mnie apetyt nie dopisuje.

Wstała z fotela i rozmawiała przez chwilę z Yonnie'em, który wyszczerzył zęby w przerażającym grymasie. Zapewne uważał, że to czarujący dowód łaskawego przyzwolenia.

Nadajnik Hagenbacha sygnalizował połączenie. Przysunął go do siebie i nastawił głośniej. Pozostała szóstka pochyliła się ku niemu w pełnym napięcia oczekiwaniu. Mogła to być tylko jedna osoba.

A jednak mylili się. –

-Pan Hagenbach? – Głos należał do kobiety.

-Tak, to ja.

-Mówi April Wednesday.

Hagenbach przyjął to z godnym podziwu opanowaniem.

–Słucham, moja droga.

–Pan Revson chce wiedzieć możliwie szybko, czy ostateczny środek musi być śmiertelny. Chce panu dać jak najwięcej czasu, żeby to sprawdzić. Dlatego się z panem kontaktuję.

–Spróbuję. Nie mogę niczego gwarantować.

–Prosi, żeby minutę wcześniej postawić zasłonę dymną. Da panu znać przez radio z minutowym wyprzedzeniem, kiedy to zrobić.

–Ja też muszę z Revsonem pilnie porozmawiać. Czemu sam się nie zgłasza?

–Bo jestem w damskiej toalecie. Ktoś nadchodzi.

Głos zmienił się w szept, po czym nadajnik zamilkł.

Hagenbach krzyknął w stronę pulpitu łączności:

–Skontaktować się ze zbrojownią! Alarm, generale Carter! Tym razem będę potrzebował pańskiej pomocy,

–Damska toaleta? – powiedział z niedowierzaniem Quarry. – Czy ten pański człowiek przed niczym się nie cofnie?

–Niech pan będzie rozsądny. Nie uważa pan chyba, że powinien sam tam pójść. Znając Revsona, dałbym mu w tym przypadku piątkę za dżentelmeńskie zachowanie.

–W szpitalu mówił nam pan, że nie wie, jaki jest ten "ostateczny środek"? – Wiceprezydent Richards powiedział to wolno i dobitnie.

Hagenbach obrzucił go chłodnym spojrzeniem.

–Wiceprezydent powinien wiedzieć, że szefem FBI może zostać tylko pierwszorzędny łgarz.

O siódmej trzydzieści dotarło na most śniadanie. Branson nie chciał nic jeść. Może i dobrze zrobił, biorąc pod uwagę wstrząs, jaki czekał jego system nerwowy. O siódmej czterdzieści pięć wylądował precyzyjnie śmigłowiec Bradleya. Wysiadł z niego Giscard, nieugięty i zdecydowany. Ciekawe, że mundur sierżanta policji doskonale na nim leżał. W ciągu następnych pięciu minut zrobiono mu chyba więcej zdjęć niż w całym dotychczasowym życiu. Nietrudno zresztą było to osiągnąć.

Jako zawodowy ochroniarz nie pozwalał się nigdy fotografować.

Jednak nawet groźny Giscard przybył za późno. O godzinie ósmej zaniepokojony już Branson – choć na jego opanowanej i spokojnej twarzy nie było widać śladu zatroskania – otrzymał pierwszą i aż nadto wyraźną zapowiedź zbliżającego się końca.

Branson zajęty był rozmową z wypoczętym i pewnym siebie Giscardem, kiedy nadbiegł Reston, pełniący straż w autobusie prezydenta.

–Telefon, panie Branson.

–Zajmę się wszystkim, panie Branson – powiedział Giscard.

–Niech pan spróbuje trochę odpocząć. – Dotknął lekko jego ramienia. – Nie ma się czym martwić.

Giscard nie mógł wiedzieć, że była to najbardziej mylna przepowiednia, jaką zdarzyło mu się w życiu wygłosić.

Dzwonił Hagenbach.

–Mam dla pana złe wieści, Branson – oznajmił. – Kyronis nie chce pana widzieć. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

–Kto?

Branson zauważył, jak pobieleły mu kostki w zaciśniętej na słuchawce dłoni i całym wysiłkiem woli próbował się odprężyć,

–K-Y-R-O-N-I-S. Prezydent tej pana rajskiej wyspy na

Karaibach. Obawiam się, że będzie pan tam niemile widziany.

–Nie wiem, o co chodzi.

–Wie pan aż za dobrze. Niestety, ta pańska międzynarodowa kampania reklamowa ciężko biedaka przeraziła. Nie musieliśmy go szukać: sam do nas zadzwonił. Jest właśnie na linii. Mam go przełączyć?

Branson nie odpowiedział, czy chce z nim rozmawiać, czy nie.

Usłyszał cienki głos z wyraźnym karaibskim akcentem.

–Branson, ty głupcze! Ty szaleńcu! Ty gadatliwy samochwało!

Musiałeś powiedzieć całemu światu, że jedziesz na Karaiby? Musiałeś wszystkim wygadać, że na wyspie jest otoczone palisadą więzienie?

Cały świat musiał się dowiedzieć, że nie mamy umowy o ekstradycji ze Stanami Zjednoczonymi? Przeklęty głupcze! Ile czasu, twoim zdaniem,

potrzebuje amerykański wywiad, żeby poskładać to do kupy? Za-

dzwoniłem do nich, nie czekając, aż mnie znajdą. Ich flota wypłynęła

już z bazy Guantanamo na Kubie. Ich C-54 stoją na pasach star-

towych w Fort Lauderdale, z Bóg wie iloma gotowymi do akcji

spadochroniarzami i żołnierzami piechoty morskiej. Mogą zająć nasze

państewko w dziesięć minut, a wasz wiceprezydent zapewnił mnie, że

zrobiliby to z przyjemnością.

Kyronis przerwał, żeby złapać oddech, po raz pierwszy bodaj,

odkąd zaczął swą tyradę.

Branson milczał.

–Megalomania, Branson. Megalomania. Zawsze ostrzegałem, że to właśnie może cię zgubić. Zwyczajna, cholerna megalomania.

Branson odłożył słuchawkę.

ROZDZIAŁ XII

Giscard przyjął wiadomość nad podziw spokojnie.

–Zatem Kyronis nas zdradził. Świat się na tym nie kończy i nie sądzę, by to cokolwiek zmieniało. Moim zdaniem to tylko element wojny nerwów, rozumie pan, psychologicznej walki na wyczerpanie przeciwnika. A więc dobrze. Jest pan tutaj... ile to już? – Dwadzieścia trzy godziny! Nie wiem, jak wiele wysiłku to pana kosztowało. Jedno jest pewne: nie potrafią dobrać się panu do skóry, więc próbują pana zmusić do popełnienia błędu. Przypomina to trochę grę w pokera, ale nie mając kart w ręku, mogą tylko blefować. – Giscard wskazał głową autobus prezydenta. – Cóż znaczy ich blef, gdy ma pan wszystkie atuty?

–Tak sugeruje zdrowy rozsądek, prawda? – Branson uśmiechnął się. – Zapominasz, że znam głos Kyronisa.

–Wiem o tym. Nie wątpię, że to był Kyronis. Nie mam też wątpliwości, że rząd skorzystał z pomocy CIA czy FBI, żeby do niego dotrzeć.

–Dlaczego tak myślisz?

–Ponieważ Kyronis zna częstotliwość pańskiego VHF. Mógł bezpośrednio się z panem skontaktować przez radio, zamiast powodować całe to zamieszanie. Ale to nie odpowiadałoby naszym przyjaciołom z departamentu wojny psychologicznej.

–Coś mi przyszło do głowy, panie Branson. – Od przybycia

Giscarda Chrysler wyraźnie się ożywił. – Po co nam Kyronis? Prezydenckim boeingiem da się dotrzeć do kilku krajów w dowolnym miejscu świata, które nie mają umowy o ekstradycji z USA. Może nawet do kilkunastu. Ale nie musimy lecieć dalej niż na Karaiby. Miał pan zawsze pomysły na dużą skalę, panie Branson. Trzeba się tego trzymać.

Branson potarł czoło.

–Więc myśl na głos. Ktoś musi.

–Hawana. Nie ma z nimi umowy o ekstradycji. Jest, co prawda, porozumienie o wydawaniu porywaczy, ale nikt nie wyda sprawcy porwania prezydenckiego boeinga, zwłaszcza gdy prezydent będzie miał pistolet przystawiony do głowy. Zgoda, Amerykanie są gotowi zająć wysepkę Kyronisa. Ale Kuba to zupełnie inna sprawa. Castro ma pierwszorzędną armię, lotnictwo i marynarkę. Wszelkie próby wydostania prezydenta siłą doprowadziłyby do otwartej wojny. Nie można też zapominać, że Castro jest pupilkiem Moskwy. Zbrojna inwazja na Kubie spowodowałaby gwałtowną reakcję i nie przypuszczam, żeby Stany były gotowe ryzykować bezpośredni konflikt nuklearny z powodu marnych pięciuset milionów dolarów.

Branson powoli pokiwał głową!

–Ciekawe, że tam właśnie chciał lecieć Van Effen. I to z tych samych powodów.

–A nie pomyślał pan, jaki zachwycony byłby Castro? Pojawiłby się w telewizji, biadolił, lamentował i załamywał ręce, mówiąc jak bardzo

chciałby pomóc i jakie ma ograniczone możliwości. A kiedy wyłączą kamery, będzie się pokładał ze śmiechu.

–Panowie, ocaliliście moją wiarę w człowieka – stwierdził Branson.

–A przynajmniej w samego siebie. Lecimy do Hawany. A teraz do roboty. O dziewiątej mamy następny program. Cały sprzęt i materiały wybuchowe jak poprzednio. Peters może znów poprowadzić wózek elektryczny. Bartlett i Boyard mocowali ostatnio ładunki; niech teraz idą Reston i Harrison. – Branson uśmiechnął się. – Uważają, że są lepsi niż Bartlett i Boyard, i powinni byli mieć pierwszeństwo. Trzeba dopilnować, żeby zabrali krótkofalówki. A propos, Chrysler, chcę mieć stale pod ręką telefon, żebym nie musiał ciągle biegać do autobusu prezydenta. Potrzebuję bezpośredniego połączenia z Hagenbachem i jego kompaniami. Możesz założyć aparat w naszym autobusie?

–Musiałbym łączyć przez miejscową centralę.

–I co z tego? Niech tak będzie. Powiedz im, że linia ma być stale do dyspozycji. Chcę mieć kabel doprowadzony tam, gdzie będę siedział w czasie transmisji telewizyjnej. Czy można też dostać połączenie przez radiotelefon z pierwszym śmigłowcem?

–Wystarczy przekręcić gałkę. Po co to wszystko, panie Branson?

–Może nam być kiedyś potrzebne. Lepiej szybko niż wcale.

Był kolejny cudowny poranek w tonacji błękitu i złota, z bezchmurnym niebem i baśniową oprawą, która w niewiarygodny sposób przemieniała nawet ponurą fortecę Alcatraz w urokliwą wysepkę.

Podobnie jak dzień wcześniej z zachodu nadciągała gęsta, opadająca mgła. Tylko w jednym z trzech autobusów siedział człowiek, który nie delectował się urokami poranka ani nie pełnił warty, jak ludzie Bransona.

Revson siedział w fotelu, opierając łokieć o krawędź okna i zasłaniając dłonią usta, aby nie było widać, że porusza wargami.

–Niech pan ściszy radio i przyłoży je do ucha – powiedział Hagenbach.

–To niemożliwe., Mam głowę i ramiona na wysokości okien. Mogę się na chwilę schylić. Ale niech się pan pospieszy.

Revson trzymał na kolanach aparat podstawą do góry. Nadajnik spoczywał w odkrytej wnęce. Ściszył go i pochylił głowę. Mniej więcej po piętnastu sekundach wyprostował się i beztrosko rozejrzał wokół; Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nastawił głośniejszy odbiór.

–No i co? – Głos Hagenbacha brzmiał gderliwie. – Nie jest pan zaskoczony? –

–Nie tak bardzo. Powie mu pan?

–Proszę pamiętać, żeby nie dawał pan sygnału do rozpoczęcia akcji, zanim tu wszystkiego nie załatwię.

–Będę pamiętał. Co z CUB?

–Eksperci nie są zachwyceni tą perspektywą.

–Użyjcie więc tylko paru sztuk, resztę załatwią granaty z gazem.

Ma pan kontakt z tymi dwoma na wieży?

–Tak. To Carmody i Rogers.

–Niech im pan powie, że jeśli-ktoś wpadnie w ich ręce, mają go sprowadzić na dół, pod filar wieży.

–Po co?

–Proszę słuchać. Za bardzo rzucam się w oczy. Czy jest tam admirał?

Hagenbach powstrzymał się od zadawania pytań, choć musiało go to kosztować sporo wysiłku. W słuchawce odezwał się Newson.

–Czy ma pan jakieś niewielkie, ciche łodzie, sir? – spytał Revson.

–Z elektrycznym napędem?

–Najlepiej.

–Całe mnóstwo.

–Czy któraś mogłaby podpłynąć do filaru południowej wieży, kiedy nadciągnie mgła?

^ Załatwione.

–Z wyrzucanym kołem ratunkowym i odpowiednimi linami?

–Nie ma problemu.

–Dziękuję, sir. Panie Hagenbach?

–Słucham. Cholernie pan tajemniczy, prawda?

–Tak, sir. Czy laser jest gotowy do akcji? To dobrze. Proszę go wycelować w wał napędowy wirnika pierwszego śmigłowca – to znaczy tego, który stoi najdalej od was. Niech wszystko będzie nastawione, żeby można trafić w cel nawet w gęstym dymie.

–Po co, u licha...

–Ktoś idzie.

Revson rozejrzał się wokół. Nikt nie nadchodził. Nie miał po prostu ochoty wdawać się w słowne potyczki z Hagenbachem. Zamknął pokrywę aparatu, przewiesił go przez ramię i wyszedł z autobusu. Chrysler podał Bransonowi krótkofalówkę.

–Jakieś kłopoty, sir.

–Mówi Reston. – Reston i Harrison wyruszyli niecałe dziesięć minut wcześniej w stronę południowej wieży. – Winda nie działa.

–Cholera! Zaczekajcie.

Branson spojrzął na zegarek. Była ósma dwadzieścia pięć. Jego występ miał się zacząć o dziesiątej. Przeszedł do ostatniego autobusu, w którym Chrysler miał już bezpośrednie połączenie z centrum łączności na lądzie.

–Mówi Branson.

–Tu Hendrix. Nie musi mi pan mówić, o co chodzi. Sam wiem.

Rozmawiałem przed chwilą z nadzorem mostu. Twierdzą, że w nocy przepalił się wyłącznik wind na wieży.

–Czemu go nie naprawiają?

–Pracują przy nim od trzech godzin.

–A jak długo jeszcze...

–Pół godziny. Może godzinę. Nie mają pewności.

–Niech pan da znać, jak tylko to naprawią.

Branson powrócił do swojej krótkofalówki.

–Przykro mi, ale będziecie musieli się wspinać. Winda jest w na-
prawie.

Po chwili milczenia odezwał się Reston.

–Boże, taki kawał?

–Właśnie. To nie Everest. Da się zrobić. Poza tym macie informator.

Odłożył krótkofalówkę i powiedział do Giscarda:

–Nie zazdroszczę im. Myślisz, że to kolejny chwyt psychologiczny?

–Możliwe. Ale po takiej nocy, no cóż...

Revson spotkał O'Hare przy barierce po zachodniej stronie mostu.

Zapytał bez wstępów:

–Na ile szczelne są tylne drzwi sanitarki?

O'Hare nie dziwiło już nic, co mówił Revson.

–Dlaczego pan pyta?

–Powiedzmy, że w powietrzu zabraknie tlenu. Jak by pan sobie poradził?

–Mamy, oczywiście, butle tlenowe. Nie mówiąc o tlenie w zestawie kardiologicznym.

–Może być panu potrzebny. Słyszał pan kiedyś o CUB-55? To skrót nazwy bomb kasetowych. – O'Hare pokręcił głową. – Cóż, może ich tu parę spaść w ciągu najbliższych godzin. Niewykluczone, że jeszcze dziś rano. To bomby duszące o śmiertelnościami działaniu. Jedno z najbardziej zachwycających osiągnięć współczesnej sztuki wojennej. Wyszysają tlen z powietrza i nie pozostawiają żadnych śladów na ciałach ofiar.

–Pewnie pan się na tym zna, ale... cóż, brzmi to niewiarygodnie.

–Szkoda, że nie mógł pan o to zapytać setek ofiar spod Xuan Loc.

Rząd Kambodży często stosował te bomby w Południowo-Wschodniej Azji. Z przykrością stwierdzam, że dostarczała ich wówczas marynarka Stanów Zjednoczonych.

–Czy to tajne informacje?

–Nie. W swoim czasie Hanoi narobiło sporo szumu na ten temat.

–A pan zamierza z tych bomb skorzystać?

–Tak. Staram się doprowadzić do zubożenia ładunków, to znaczy zmniejszenia ich śmiertelnościowego potencjału. Ściślej biorąc, robią to specjaliści.

–Z jakim skutkiem?

–Nie wykazują nadmiernego optymizmu.

–Kto to wymyślił? Pan? – Revson tylko raz skinął głową. – Ależ z pana zimny drań, Revson. Nie przyszło panu do głowy, że niewinni ludzie ucierpią na równi z winowajcami, może nawet zginą?

–Nie pierwszy raz powtarzam, że lekarzy trzeba poddawać testowi na inteligencję, zanim dostaną zezwolenie na rozpoczęcie praktyki. Niewinni nie ucierpią. Będą siedzieli w autobusach, a ponieważ ma być gorąco, powinna działać klimatyzacja. Oznacza to zamknięte drzwi i recyrkulację oczyszczanego powietrza. Kiedy spadnie pierwsza bomba dymna, niech się pan schowa.

Revson podszedł do Graftona i dotknął jego ramienia.

–Czy mogę z panem pomówić?

Grafton zawahał się, pokręcił głową ze zdziwieniem, a potem

poszedł za nim. Revson zatrzymał się, kiedy był pewien, że nikt już nie może ich usłyszeć.

–Czy musimy iść na spacer, żeby porozmawiać? – spytał Grafton.

–W tym przypadku tak. Nie poznaliśmy się jeszcze. Pan Grafton z United Press, prawda? Senior wśród obecnych na moście dziennikarzy?

–Owszem, jeśli już chce mi pan schlebiać. A pan jest Revson, kiper ich królewskich mości?

–To tylko uboczne zajęcie. "

–Działa pan w innej branży. Spróbuję zgadnąć. – Grafton takso-
wał go chłodnym spojrzeniem bystrych szarych oczu. – Federalne
Biuro Śledcze.

–Dzięki, że nie muszę pana o tym przekonywać. Jeden kłopot
mniej. Cieszę się, że nie nazywa się pan Branson.

Generał Cartland stwierdził:

–Jeśli te CUB-55 nie zostaną osłabione, jak to pan określa, miejski
zakład pogrzebowy będzie miał niezły interes.

–Jest pan gotów użyć zatrutych kul?

–Touche.

Kilka minut przed dziewiątą wszystko było gotowe do kolejnego
występu Bransona. Wydawał się, jak zwykle, spokojny i odprężony.
Zmienił się jedynie jego stosunek do prezydenta: traktował go uprzej-
mie, niemal z szacunkiem. O dziewiątej zaczęły pracować kamery.
O tej samej porze Reston i Harrison, pocąc się obficie i narzekając

na obolałe nogi, dotarli do szczytu ostatniej drabinki. Rogers wycelował w nich pistolet z tłumikiem i powiedział współczująco:

–Pewnie jesteście, panowie, wykończeni po takiej wspinaczce...

Giscard szepnął Bransonowi do ucha:

–Niech się pan lepiej pospieszy. Wygląda na to, że most znajdzie się zaraz we mgle.

Branson skinął głową i mówił dalej do mikrofonu:

–Jestem więc przekonany, że ucieszycie się państwo nie mniej niż ja z wiadomości, iż rząd przychylił się do naszych nader rozsądnych życzeń. Zanim jednak zostanie to ostatecznie potwierdzone, możemy chyba pożytecznie spędzić czas, dostarczając państwu kształcącej rozrywki. Mówiąc żargonem show-biznesu, o jedenastej i o pierwszej będą programy na bis. Namawiam gorąco do ich obejrzenia. Na pewno nigdy w życiu nie zobaczycie państwo czegoś podobnego.

Widzimy, tak jak poprzednio, że w stronę południowej wieży odjeżdża wózek elektryczny z ładunkami wybuchowymi i sprzętem. Na zbliżeniu zobaczymy zaraz, jak na jej szczycie ukaże się dwóch moich kolegów.

Kamera posłusznie pokazała zbliżenie, ale na wieży nie było żywej duszy. W ciągu następnej minuty nic się nie zmieniło.

–Mamy chyba niewielki poślizg – powiedział swobodnie Branson.

–Chwilowe opóźnienie. Proszę nie opuszczać miejsc.

Uśmiechał się jak człowiek, który ma pewność, że żadnemu z milionów widzów nie przyjdzie do głowy, żeby gdziekolwiek iść. W tym

momencie zadzwonił telefon, stojący na jezdni obok jego krzesła.

Branson posłał uśmiech milionom ludzi po drugiej stronie kamery, powiedział "przepraszam", zakrył ręką mikrofon i podniósł słuchawkę.

–Mówi Hendrix. Winda już działa.

–Niech pan posłucha. Ile trzeba czasu, żeby wspiąć się na wieżę?

–Nie chce pan chyba powiedzieć, że pańscy ludzie próbowali... czy raczej próbują się tam dostać? To szaleństwo! Jest pan szaleńcem, jeśli ich pan wysłał.

–Mają informator.

–Jaki informator?

–Kopię oryginału.

–Więc mogą szukać drogi przez kilka dni. Ten informator poszedł na przemiał już dwadzieścia lat temu, ze względu na zmiany wewnątrz wież. Mogą tam spędzić cały dzień.

Branson odłożył słuchawkę. Zakrywając nadal mikrofon, zwrócił się do Giscarda.

–Winda już działa. Ściągnij tu zaraz Bartletta i Boyarda. Niech nie zapomną o obciążeniu.

Powrócił do mikrofonu.

–Przepraszam państwa. Mamy niewielkie trudności.

Przez następnych dziesięć minut telewizywi oglądali w nagrodę szereg panoramicznych ujęć Złotych Wrót i zachwycającą scenerię całej okolicy, słuchając sporadycznych komentarzy Bransona. Po

upływie tego czasu. Branson powiedział:

–W porządku. Teraz znów południowa wieża.

Bartlett i Boyard już tam byli, unosząc wysoko ręce na powitanie.

Wspólnie z Petersem powtórzyli akcję z poprzedniego dnia i nadzwyczaj szybko zamocowali drugi pas z ładunkami wybuchowymi obok pierwszego. Potem jeszcze raz pomachali rękami i zniknęli wewnątrz wieży. Rogers obserwował ich zza pistoletu z tłumikiem.

–Naprawdę znacie się na rzeczy. Szkoda. Teraz będziemy musieli drugi raz wyciągać zapalniki.

W momencie gdy Branson wygłaszał do kamery mowę pożegnalną, zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

–Mówi Hagenbach. Przykro mi, że muszę się włączyć i przerwać, ale mamy do pokazania własny program. Zdjęliśmy pana z wizji.

Pańska publiczność ogląda teraz nas. Na tym samym kanale. Obejrzeliliśmy dopiero co pańskie znakomite przedstawienie. Może teraz zechce pan zobaczyć nasze.

Na ekranie pojawiła się twarz Hagenbacha. Mieszkańcy San Francisco bez trudu rozpoznali w tle Presidio.

Hagenbach oświadczył:

–Niewiele możemy zrobić, żeby przeszkodzić Bransonowi w osiągnięciu zamierzonych celów. Niewykluczone jednak, że z tej całej sprawy wyniknie jeszcze jakiś pożytek. Oddaję głos panu Richardsowi, wiceprezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Przy mikrofonie pojawiła się okazała postać Richardsa. W sprzyja-

jących warunkach był człowiekiem towarzyskim i nad wyraz elokwentnym. Przewodnicząc przez wiele lat zjazdom i biorąc udział w kampaniach wyborczych na terenie całego kraju rozwijał naturalne zdolności mówcy, aż doszedł do takiej wprawy, że mógłby recytować od końca alfabet i nadal urzezać publiczność. Tego ranka jednak nie popisywał się swymi zdolnościami. Nie był to stosowny moment na wesołość ani retorykę. Jak przystało człowiekowi, który znalazł się w samym centrum ogólnokrajowego kryzysu, mówił z powagą, spokojnie, a przy tym wyjątkowo krótko i na temat.

–Niestety, to co usłyszeliście państwo przed chwilą, jest zgodne z prawdą. Bez względu na przykre i upokarzające położenie, w jakim się znaleźliśmy, nie może być mowy o narażaniu na szwank prezydenta, jego dostojnych gości i dobrego imienia Ameryki. Spełnimy żądania szantażysty. Wszystko wskazywałoby na to, że Bransonowi ujdzie na sucho szantaż, który powinno się karać jak zabójstwo, chcę jednak, żeby uważnie mnie wysłuchał. Sądząc z otrzymanej dziś informacji, informacji, co się zaraz okaże, z bardzo wiarygodnego źródła, Branson jest blisko kresu swej drogi. Przypuszczam, że będzie \vkrótce samotny i opuszczony. Zapewne do nikogo na świecie nie będzie mógł się zwrócić. Będzie miał wszystkich przeciw sobie. Przypuszczam też, że najbardziej będą chcieli dostać go w swoje ręce i wykończyć jego oddani wspólnicy, którzy mylnie sądzą, że ich przywódca jest człowiekiem honoru i nieposzlakowanej uczciwości.

Na chwilę Richards popadł w retorykę.

–To właśnie ich ręce najdosłowniej go uśmiercą, tak jak on,

mówiąc obrazowo, zamierza wbić im sztylet w plecy.

Niektórzy ludzie Bransona patrzyli na niego niepewnie i z mieszanymi uczuciami, nie wiedząc, o co chodzi. Revson i O'Hare wymienili pytające spojrzenia. Jedynie Branson zachowywał się zupełnie swobodnie. Siedział rozwalony na krześle, pogardliwie się uśmiechając.

–Jak powiedziałem, mam informacje z bardzo wiarygodnego źródła. Zarzucano mi nieraz, jako wiceprezydentowi, brak zbyt skłonności do niedomówień. Tym razem jest inaczej. Mam niepodważalny dowód. Panie i panowie, szanowni telewidzowie na całym świecie, pozwalam sobie przedstawić człowieka, który jeszcze dziś rano był wiernym zastępcą Bransona. Pan Johann Van Effen.

Kamera pokazała z pewnej odległości pięciu mężczyzn, zajmujących krzesła obok siebie. W środku siedział niewątpliwie Van Effen, który wydawał się, jak zwykle, odprężony i przyjaźnie gawędził ze swymi towarzyszami. Nie był na tyle blisko, żeby dało się zauważyć jego szkliste oczy, dowód działania narkotyków. Pod ich wpływem mówił jak najęty, gdy przez długie trzy godziny przesłuchiwał go doświadczony policyjny psychiatra, ponaglany z kolei przez Hagenbacha.

Richards ciągnął dalej: " "

–Od lewej do prawej siedzą: admirał Newson, komandor marynarki Zachodniego Wybrzeża, szef policji San Francisco Hendrix, pan Van Effen, pan Hagenbach, szef FBI, oraz generał Carter, dowódca wojsk na Zachodnim Wybrzeżu. Wybaczcie, państwo, ten kiepski żart,

ale chyba nigdy dotąd Van Effen nie znalazł się w równie prawomyślnym gronie.

Branson nie siedział już rozwalony na krześle i zdecydowanie przestał być na luzie. Wychylił się do przodu i choć raz nie ukrywał uczuć. Na jego twarzy malowało się totalne osłupienie.

–Van Effen – mówił Richards – zdezerterował o świcie. Uważam, że miał po temu uzasadnione powody. Uciekł z tej prostej przyczyny, że jest wciąż człowiekiem dość młodym i chciałby jeszcze trochę pożyć. Nawiasem mówiąc, ponieważ pełnię obowiązki głowy państwa, zagwarantowałem mu już nietykalność wobec prawa. Dostarczył nam bezcennych informacji, także na temat ośmiu poważnych napadów rabunkowych z ostatnich trzech lat, które – jak się dowiedzieliśmy –zorganizował Branson.

Odbiegam jednak od tematu. Van Effen uciekł, ponieważ obawiał się o swoje życie. Ponieważ Branson zaproponował, żeby podzielili między siebie pieniądze z okupu. Pozostali mieli pójść do diabła i zapewne skończyć w więzieniu. Van Effen wierzy jednak w złodziejską uczciwość, a poza tym rozumiał aż nazbyt dobrze, że jeśli się na to zgodzi, sam skończy z nożem w plecach, i to dosłownie. Chciałby bardzo, żeby jego byli kompani mieli świadomość tego, co ich czeka. Powiedział, że udało mu się już namówić do ucieczki dalszych czterech ludzi Bransona. Wkrótce powinni tu być. Kiedy się zjawią, pokażemy ich na ekranie. Radzę nie oddalać się zbytnio od telewizorów, jeżeli w ogóle macie państwo taki zamiar.

O'Hare odezwał się:

–Boże! Ktoś tu mówi o sianiu ziarna niezgody! Jak Branson. da sobie z tym radę, jak się z tego otrząśnie? Znakomite. Jak mówi Veep: który z jego ludzi mu teraz zaufa? To pański pomysł, Revson?

–Żałuję, ale nie. Nawet ja nie jestem aż tak sprytny, zły i przewrotny. Widzę w tym nieomylnie rękę Hagenbacha.

–Nigdy bym nie przypuszczał, że Van Effen...

–Cokolwiek chce pan powiedzieć, on tego nie zrobił. Hagenbach zadbał, żeby nie pokazywać twarzy Van Effena. Gdyby tak się stało, nawet laik by zauważył, że odurzili-go narkotykami.

–Odurzili? Skoro uciekł...

–Wbrew swojej woli. Uśpiłem go gazem i spuściłem z mostu do, uhm... przepływającej łodzi podwodnej,

–Oczywiście. A jakżeby inaczej? Przepływająca łódź podwodna

–O'Hare obdarzył go spojrzeniem psychiatry, który ma do czynienia z trudnym przypadkiem.

–No proszę. Nie wierzy mi pan.

–Ależ skąd, mój chłopcze.

–Znów jest pan pod wpływem stresu – stwierdził uprzejmie Revson. – Mówi pan jak Anglik. – Postukał w podstawę aparatu. – Skąd, pańskim zdaniem, zdobyłem w środku nocy nowe radio?

O'Hare wpatrywał się w niego. W końcu powiedział z wysiłkiem:

–A pozostała czwórka uciekinierów? Wszyscy z łodzi podwodnej?

–Nie, do diabła. Uprowadzono ich siłą w ciągu ostatnich trzydzies-

tu minut.

O'Hare wciąż mu się przyglądał.

Parker, do niedawna prawa ręka Giscarda, odwrócił się od ekranu telewizora na stacji radarów Mount Tamalpais i spojrzął na czterech otaczających go mężczyzn.

–Oszukał nas – stwierdził.

Sądząc z ciszy, jaka zapadła po tej uwadze, pozostali mieli najwyraźniej podobne zdanie. Ich milczenie nie było jednak zgodne.

Richards starał się nie okazywać, jak świetnie się bawi. Odezwał się do mikrofonu:

–Widzę, że nad most nadciąga mgła, a więc za parę minut straci mnie pan z oczu. Chyba jednak nie potrwa to długo. Kiedy mgła się rozproszy, pokażemy panu czterech następnych wiernych wasali, którzy pana opuścili. Na koniec jeszcze jedna uwaga. Pieniądze ma pan w kieszeni, ale proszę pomyśleć, dokąd pan poleci. Główne pasy startowe lotniska w Hawanie można zablokować dokładnie w sześć minut.

Twarz Bransona pozostała bez wyrazu. Wstał i poszedł do ostatniego autobusu. Giscard ruszył za nim. Dało się zauważyć, że ludzie patrzą na Bransona z zakłopotaniem albo zadumą, a czasem po prostu odwracają wzrok. Po wejściu do autobusu Giscard przeszedł się do tyłu i wrócił z butelką szkockiej i dwoma szklankami. Nalał do pełna i powiedział:

–Ja też nie jestem za tym, żeby pić od rana.

Branson, co było do niego niepodobne, opróżnił jednym haustem

połowę szklanki. Potem zapytał.

–Jak tam twój kręgosłup, Giscard?

–Pracuję dla pana od jedenastu lat i mam siedmiocyfrowe konto w banku. Nie widzę powodu, żeby nawalał mi kręgosłup. Ale powinniśmy skończyć tę komedię, panie Branson. To może być cholernie poważna sprawa. Wszyscy ci ludzie, oprócz Van Effena, Yonnie'ego i mnie, znają pana krócej niż rok. Aha, zapomniałem o Chryslerze.

Ale pozostali... Widział pan ich twarze, gdy tu szliśmy?

Branson powoli pokręcił głową.

–Nie wiedzą, co o tym sądzić. Potępiasz ich za to?

–Nie. A czy Van Effen zdradził?

–Gdybym wierzył, że słońce dzisiaj nie zajdzie, uwierzyłbym też w jego ucieczkę. Nie zdradził. Zwróciłeś uwagę, że kamera nie pokazywała jego twarzy i że nie pozwolili mu nic powiedzieć?

Urwał, gdyż w drzwiach pojawił się Chrysler.

–W porządku – powiedział Branson. – Wejdz. Wygląda na to, że coś cię gryzie.

–Zgadza się. Słyszałem, co mówił Giscard. Pokazali Van Effena z daleka, bo był odurzony narkotykami. Założę się, że opowiedział im cały życiorys, nie zdając sobie z tego sprawy. Van Effen miałby zdradzić? Nigdy. Martwi mnie coś jeszcze. Bartlett i Boyard powinni być już z powrotem, a nie pojawili się nawet koło południowej wieży. I co więcej, wcale się nie zjawiają. Wiem już, kim będą czterej następni,

tak zwani uciekinierzy.

–A więc narkotyki – stwierdził Branson. – Nie uciekł. Zmuszono go siłą. Co do tego jesteśmy zgodni. Ale w jaki sposób Van Effen zszedł z mostu?!

–Bóg raczy wiedzieć – odparł Giscard. – Mnie przy tym nie było. Może podczas jednego z tych zaciemnień, które mieliście ostatniej nocy?

–Był wtedy ze mną, i za pierwszym, i za drugim razem – powiedział Branson. – Masz jakiś pomysł, Chrysler?

–Żadnego. Jest tak, jak mówiłem, panie Branson. Mamy w stadzie jakąś czarną owcę. – Spojrzał smętnie na snującą się nad mostem mgłę. – Przestaje mi się już tu podobać.

Carmody usunął ostatni zapalnik z drugiego pasa ładunków wybuchowych i ostrożnie wrócił do Rogersa na szczyt południowej wieży.

, Wziął do ręki krótkofalówkę.

–Proszę z generałem Carterem.

Carter odezwał się po upływie kilku sekund. Carmody zameldował:

–Mamy ich, sir. Czy nie powinienem przejść się z Rogersem na drugą stronę? O ile wiem, Branson obiecał następne przedstawienie o jedenastej. Tym razem ma to być lina po stronie zachodniej. Rola komitetu powitalnego całkiem nam odpowiada.

–To niezły pomysł, ale nie przypuszczam, żeby Branson posyłał następnych ludzi na południową wieżę i ryzykował, że ich straci.

–A propos, czy nasi czterej przyjaciele dotarli na ląd, sir?

–Są ze mną. Szkoda, że pan i Rogers nie macie tam na górze telewizora. Szykuje się dzisiaj znakomity program.

–Będą powtórki. Musimy już iść, sir. Mgła na dole szybko się przerzedza.

Rzeczywiście, w ciągu niespełna pięciu minut mgła przesunęła się nad zatokę, pozostawiając most w pełnym blasku słońca. Branson przechadzał się tam i z powrotem po krótkim odcinku przeszła. Staął, gdy podszedł do niego Chrysler.

–Dzwoni Hagenbach, panie Branson. Mówi, żeby za dwie minuty włączyć telewizor.

Branson skinął głową.

–Wiemy wszyscy, co to będzie.

Tym razem mistrzem ceremonii był Hagenbach. Nie przygotował swojego wystąpienia tak starannie, jak wiceprezydent, ale to, co powiedział, miało należyty wydźwięk.

–Zdaje się, że przestępcze imperium Bransona zaczyna pękać w szwach, a może nawet rozpadać się. Wiceprezydent obiecał państwu, że pojawią się kolejni uciekinierzy, że Van Effen namówił jeszcze czterech ludzi do opuszczenia tonącego okrętu. Cóż, właśnie to zrobili, jak sami państwo widzicie.

Ujęcie z innej kamery pokazało stolik i siedzącą przy nim czwórkę mężczyzn. Każdy trzymał w ręku szklankę. Na środku stołu stała butelka. Nie sprawiali wrażenia wesołej i radosnej grupki, ale też nie mieli po temu powodów.

Hagenbach znalazł się w zasięgu obiektywu kamery.

–Oto oni, proszę państwa. Zaczynając od lewej: panowie Reston, Harrison, Bartlett i Boyard. Nawiasem mówiąc, jeden z głównych wspólników Bransona leży w szpitalu z pękniętą czaszką. Ciekawe, co zdarzy się dalej. Dziękuję państwu za uwagę. ‹

Zaledwie skończyły pracować kamery, do Hagenbacha podbiegł policjant.

–Telefon do pana, sir. Z Mount Tamalpais.

W dziesięć sekund później Hagenbach znalazł się w wozie łączności i uważnie słuchał. Odłożył słuchawkę, po czym spojrzął na Hendrixa, Newsona i Cartera.

–Ile czasu zajmie przygotowanie dwóch śmigłowców, jednego z kamerą telewizyjną i załogą, drugiego z uzbrojonymi policjantami?

–Dziesięć minut – odpowiedział Carter. – Najwyżej dwanaście.

Giscard mówił z goryczą:

–Nieustanna wojna na wyczerpanie. Ciągłe zaczepki. Stopniowe podważanie zaufania w tych spośród nas, którzy pozostali. I zupełnie nic nie może pan na to poradzić. Nic by nie usprawiedliwiło brutalnego odwetu na zakładnikach. Wykorzystują telewizję, żeby rozegrać po swojemu pańską grę, panie Branson.

–To prawda. – Branson nie okazywał nadmiernego zdenerwowania. To, co zobaczył, nie zaszokowało go ani nie zaskoczyło. – Trzeba przyznać, że nieźle im to wychodzi. – Spojrzął na Giscarda i Chryslera.

–Cóż, panowie, ja się już zdecydowałem. A wy, co powiecie?

Giscard i Chrysler popatrzyli na siebie. Branson nie miał zwyczaju zasięgać niczyich opinii.

–Trzymamy zakładników w pułapce – stwierdził Chrysler. – Ale teraz to ja zaczynam się czuć na tym cholernym moście jak w potrzasku. Nie mamy swobody ruchów.

–Ale mielibyśmy ją w boeingu prezydenta – odezwał się Giscard.

–Jest tam też najlepszy na świecie system łączności.

–A więc, na wszelki wypadek, szykujemy się do awaryjnego startu.

Zgoda. Zapłacą za wszystko. Zburzę ten ich cholerny most, żeby udowodnić, że mówię serio. A co do północnej wieży, mocowanie jeszcze dwóch ładunków do liny po zachodniej stronie nie byłoby chyba zbyt rozsądne.

–Pewnie nie – stwierdził Giscard. – Chyba, że chce pan znowu mieć dwóch mimowolnych uciekinierów.

–A więc przywiążemy ładunki do liny tu, gdzie jesteśmy. W najniższym punkcie, między śmigłowcami. Myślę, że to powinno wystarczyć.

Mniej więcej pół godziny później, gdy tylko po stronie zachodniej przymocowano do liny dwa ostatnie pasy ładunków wybuchowych, Chrysler podszedł do Bransona.

–Wiadomość od Hagenbacha. Mówi, że za dwie minuty nadadzą jakiś ciekawy program. Pięć minut później ma do pana zadzwonić.

Podobno chodzi o dwie bardzo ważne informacje ze wschodu.

–Ciekawe, co to diabelskie nasienie znowu knuje?

Branson poszedł zająć swoje miejsce przed telewizorem. Krzesła

obok niego i za nim zapełniły się niemal automatycznie. Na ekranie pojawił się obraz.

Przedstawiał coś, co wyglądało jak ogromna, biała piłka golfowa.

Była to jedna z anten radarowych na Mount Tamalpais. Potem kamera pokazała w zbliżeniu grupę około dziesięciu ludzi, policjantów w koszulach bez marynarek, uzbrojonych w pistolety maszynowe.

Nieco przed nimi stał -z mikrofonem w dłoni Hendrix. Kamera skoncentrowała się na nim, gdy ruszył w stronę otwierających się drzwi, w których pojawiło się pięciu mężczyzn z wysoko podniesionymi rękami. Pierwszy z nich stanął, kiedy był metr od Hendrixa.

-Pan nazywa "się Parker? – spytał Hendrix.

-Tak.

-Jestem Hendrix, szef policji z San -Francisco. Czy poddajecie się panowie dobrowolnie?

-Tak.

-Dlaczego?

-Lepsze to, niż dać się wam złapać i zastrzelić albo skończyć z nożem w plecach z powodu tego sukinsyna Bransona.

-Jesteście aresztowani. Proszę do furgonetki. – Hendrix popatrzył za nimi, po czym znów odezwał się do mikrofonu. – Obawiam się, że, jeśli chodzi o przemawianie, nie dorównuję klasą panu wiceprezydentowi ani panu Hagenbachowi, nie będę więc nawet próbował. Mogę tylko powiedzieć, z właściwą nam wszystkim skromnością, że dziesięciu uciekinierów to niezły bilans jak na jeden ranek, który w dodatku

jeszcze się nie skończył. Nawiasem mówiąc, nie wchodzimy teraz na antenę wcześniej niż za godzinę.

Revson wstał i rozejrzał się wokół jakby od niechcienia. W ciągu zaledwie dwóch sekund napotkał spojrzenia generała Cartlanda i Graf-
tona. Dziennikarze i zakładnicy zaczęli powoli, ociągając się, wracać do swoich autobusów. Ci pierwsi zapewne po to, żeby zredagować depesze do redakcji albo włożyć filmy do aparatów, ci drudzy niewątpliwie w poszukiwaniu czegoś na wzmocnienie. Szczególnie prezydentowi chciało się pić. Poza tym upał na moście stawał się trudny do zniesienia i wszyscy woleli wygodne, klimatyzowane wnętrza autobusów.

–Głupiec! Cholerny głupiec! – powiedział ze złością Giscard. – Cemu dał się tak łatwo podejść?

Z głosu Bransona można było wyczuć, że rozumie, jak to się stało.

–Nie miał przy sobie Giscarda, ot co.

–Mógł do pana zadzwonić. Mógł zadzwonić do mnie!

–Co by było, gdyby... To chyba najstarszy, zwrot we wszystkich językach. Właściwie nie mam nawet do niego pretensji.

–Czy przyszło panu na myśl, panie Branson, że kiedy wypuści pan zakładników po otrzymaniu pieniędzy, mogą chcieć je odzyskać w zamian za uwolnienie więźniów? – zapytał Chrysler. – To nie są durnie.

Wiedzą cholernie dobrze, że nie zostawiłby pan swoich ludzi.

–Nie będzie żadnych transakcji. Fakt, że to trochę wszystko skomplikuje, ale transakcji nie będzie. Chyba lepiej pójść zobaczyć,

czego chce nasz przyjaciel Hagenbach.

Branson wstał i odszedł w kierunku ostatniego autobusu, pochylając w zamyśleniu głowę.

Strażnik Mack zaczekał, aż ostatni z jego zakładników wejdzie do autobusu prezydenta, po czym zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni. W jednej ręce trzymał niedbale pistolet maszynowy. Gdy się odwrócił, ujrzał o niecały metr od siebie pistolecik Cartlanda.

–Proszę bez żadnych sztuczek – odezwał się Cartland. – Jeśli spróbuje pan strzelać, będzie to ostatnia rzecz, jaką pan zrobi w życiu.

–Opanowany, beznamiętny głos Cartlanda brzmiał nader przekonująco. – Panowie, wzywam was na świadków, że...

–Grozi mi pan tym śmiesznym korkowcem? – Mack mówił to z nieukrywaną pogardą. – Nawet by mnie pan nie zranił, a ja zdążyłbym posiekać pana na kawałki.

–Bądźcie, panowie, świadkami, że ostrzegałem tego człowieka, iż ten "korkowiec" naładowany jest kulami zatrutymi cyjankiem. Wystarczy zadraśnięcie i nawet pan nic nie poczuje. Będzie pan martwy, zanim upadnie pan na podłogę.

–W moim kraju – zauważył król – już by nie żył.

Żaden z ludzi Bransona, może z wyjątkiem Yonnie'ego, nie był głupcem. Nie był nim także Mack. Oddał broń. Cartland odprowadził go na tył autobusu, wepchnął do toalety, wyjął tkwiący w środku klucz i zamknął drzwi od zewnątrz.

–Co teraz? – zapytał prezydent.

–W ciągu najbliższych dwóch minut na zewnątrz zrobi się gorąco i dość nieprzyjemnie. Nie chcę w ostatniej chwili ryzykować życia któregoś z panów. Drzwi mają być szczelnie zamknięte, bo nasi przyjaciele z tamtej strony mostu użyją specjalnych, śmiercionośnych bomb, które wysysają tlen z atmosfery i zabijają. Po trzecie, zjawi się tu natychmiast Branson, żeby zastrzelić któregoś z was, jeśli nie zaprzestaną ataku. Ale przez zamknięte drzwi nie dostanie się do środka, a do kuloodpornych szyb może sobie strzelać cały dzień i na nikim nie robi to wrażenia. Po czwarte, kiedy stąd wyjdziemy, bo w końcu trzeba będzie, nie użyjemy broni, mimo że mamy teraz dwa pistolety. Nie chcę tu żadnej strzelaniny. Zapakują nas do śmigłowca, który nigdzie nie poleci.

–Skąd pan to wszystko wie? – zapytał prezydent.

–Z dobrze poinformowanego źródła. Od człowieka, który dał mi ten pistolet. Nazywa się Revson.

–Revson. Co on ma z tym wspólnego? Nie znam faceta.

–Pozna go pan. Ma być następcą Hagenbacha w FBI.

–Zawsze to mówię: nikt mnie o niczym nie informuje – stwierdził z rezygnacją prezydent.

Revson był o wiele bardziej małomówny i mniej skłonny do udzielania wyjaśnień. Stwierdziwszy, że wchodzi do autobusu jako ostatni, odwrócił się i w momencie, gdy Peters przekręcił klucz w zamku, uderzył go niespodziewanie poniżej prawego ucha. Zabrał mu klucz i pistolet maszynowy, wciągnął go do środka i wcisnął na fotel

kierowcy, po czym wyjął radio.

–Mówi Revson.

–Tu Hendrix.

–Jesteście gotowi?

–Hagenbach rozmawia jeszcze przez telefon z Bransonem.

–Zawiadomcie mnie natychmiast, gdy skończy.

–A więc pieniądze są w Europie – mówił do słuchawki Branson.

–Znakomicie. Ale miało być hasło.

–Owszem. Tym razem bardzo stosowne. – Głos Hagenbacha

brzmiał oschle. – Przesyłka na morzu.

Branson pozwolił sobie na zdawkowy uśmiech.

Revson usłyszał w telefonie głos Hendrixa:

–Skończyli.

–Hagenbach jest gotowy?

–Tak.

–Zaczynajcie.

Revson nie włożył radia z powrotem do aparatu. Wsadził je do

kieszeni, a aparat zdjął z ramienia i położył na podłodze. Przekręcił

klucz, zostawiając go w zamku, po czym otworzył ostrożnie drzwi

i wyjrzał przez szparkę. Pierwsza bomba dymna eksplodowała w od-

ległości niecałych dwustu metrów, w chwili gdy Branson wychodził

z ostatniego autobusu. Następny wybuch, bliższy o dwadzieścia met-

rów, miał miejsce w dwie sekundy później. Branson stał jak sparaliżo-

wany, w przeciwieństwie do O'Hare, który /- jak zauważył Revson

–wsiadł szybko do sanitarki, zatrzasnął za sobą tylne drzwi.

Kierowca był już zapewne w środku.

Branson otrząsnął się z osłupienia, wskoczył do autobusu, podniósł słuchawkę telefonu i wrzasnął:

–Hagenbach! Hendrix!

Najwyraźniej przeoczył fakt, że skoro pięć minut wcześniej Hendrix znajdował się na Mount Tamalpais, nie zdążyłby stamtąd wrócić.

–Mówi Hagenbach.

–Co pan wyprawia, do cholery?!

–Nic nie wyprawiam.:

Obojętny ton głosu Hagenbacha mógł doprowadzić człowieka do szału.

Gęste kłęby dymu były odległe najwyżej o sto metrów.

–Idę do autobusu prezydenta! – Branson nadal krzyczał. – Wie pan, co to oznacza!

Rzucił słuchawkę i wyciągnął pistolet.

–Giscard, powiedz ludziom, żeby przygotowali się do odparcia ataku od południa. Oni poszaleli!

Johnson i Bradley wyszli z autobusu, ale Branson wepchnął ich z powrotem.

–Was nie mogę stracić. Jeszcze nie pora. Zostańcie na miejscu. To dotyczy także ciebie, Giscard. Przekaż ludziom, co trzeba, wróć tutaj i powiedz Hagenbachowi, co zamierzam.

Giscard przyglądał mu się ze zrozumiałym zaniepokojeniem. Nie

-widział nigdy, by Branson zachowywał się równie nerwowo, mówił nieskładnie i "powtarzał to samo dwa razy. Ale też Giscard nie spędził ostatnich dwudziestu czterech godzin na moście.

Zanim Branson zdążył zeskoczyć na jezdnię, spadły dwie kolejne bomby. Chmura gęstego dymu, który przesłaniał już całkiem południową wieżę, znajdowała się najwyżej pięćdziesiąt metrów od niego.

Podbiegł do autobusu prezydenta, chwycił za klamkę w drzwiach i próbował otworzyć je jednym szarpnięciem, ale pozostały zamknięte.

Kolejna bomba eksplodowała tuż obok ostatniego autobusu. Branson walił w szybę kolbą pistoletu i zaglądał do środka. Fotel kierowcy,

na którym powinien siedzieć strażnik Mack, był pusty. Akurat

w chwili, gdy w odległości niecałych dziesięciu metrów nastąpił kolejny wybuch, w drzwiach pojawił się generał Cartland.

Branson krzyknął coś do niego, wskazując na fotel kierowcy.

Zupełnie zapomniał, że generał widzi najwyżej ruchy jego warg, gdyż autobus jest całkowicie dźwiękoszczelny. Cartland wzruszył ramionami.

Branson czterokrotnie strzelił w zamek i ponownie szarpnął za

klamkę, ale autobus prezydenta był tak skonstruowany, by wytrzymać tego rodzaju ataki. Może zresztą Branson dobrze na tym wyszedł.

Wskazujący palec prawej ręki Cartlanda, którą trzymał za plecami, spoczywał na spuście pistoletu z zatrutymi kulami.

Kolejna bomba eksplodowała dokładnie naprzeciwko Bransona

i w ciągu paru sekund otoczył go gęsty, gryzący dym o odrażającej

woni: Jeszcze dwa razy strzelił w kierunku zamka i ponowił próbę

wejścia do środka.

Revson wyjął klucz z drzwi pierwszego autobusu-, zeskoczył na jezdnię, zamknął je i przekręciwszy klucz zostawił go w zamku. W tym momencie tuż obok wybuchła bomba.

Dym nieprzyjemnie podrażniał nozdrza i gardło, ale nie pozbawiał przytomności. Posuwając się po omacku wzdłuż pojazdu prezydenta, Branson dotarł z powrotem do ostatniego autobusu, otworzył drzwi i wszedł do środka, zamykając je za sobą. Wewnątrz powietrze było czyste, paliły się światła i działała klimatyzacja. Giscard trzymał w ręku słuchawkę telefonu.

Branson zdołał opanować kaszel.

–Nie mogłem się tam dostać. Drzwi zamknięte na klucz i ani śladu Macka. Masz coś?›

–Złapałem Hagenbacha. Twierdzi, że nic o tym nie wie. Nie mam pojęcia, czy mu wierzyć. Posłał po wiceprezydenta.

Branson wyrwał mu słuchawkę i w tym właśnie momencie odezwał się w niej głos Richardsa.

–To pan jesteś, Giscard?

–Mówi Branson. – "

–Nie ma i nie będzie żadnego ataku. Czy myśli pan, że postradaliśmy zmysły? Trzyma pan tam na muszce siedmiu zakładników. To armia oszalała, a ściślej biorąc generał Carter. Bóg jeden wie, co miał zamiar osiągnąć. Nie chce podejść do telefonu. Posłałem admirała Newsona, żeby go powstrzymał. W przeciwnym razie koniec z jego

karierą.

Richards odwrócił się, by spojrzeć na Hagenbacha. Obaj byli w wozie łączności.

–Jak to zabrzmiało? – spytał.

Po raz pierwszy w historii ich wieloletnich kontaktów na twarzy Hagenbacha pojawił się wyraz aprobaty dla Richardsa.

–Obraca się pan w niewłaściwym towarzystwie, panie wiceprezydencie. Jest pan równie przewrotny jak ja.

–Wierzy mu pan? – spytał Giscard.

–Bóg raczy wiedzieć. Jest w tym sens i logika. Zostań tutaj. I miej zamknięte drzwi.

Branson zeskoczył na jezdnię. Dym się przerzedzał, ale było go jeszcze na tyle dużo, że powodował łzawienie oczu i nawrót kaszlu. Po przejściu trzech kroków wpadł na jakąś ledwie widoczną we mgle postać.

–Kto to?

–Chrysler. – Chrysler nie potrafił opanować spazmatycznego kaszlu. – Co się, do cholery, dzieje, panie Branson?

–Bóg raczy wiedzieć... Zdaniem Richardsa, nic takiego. Czy widać, że atakują?

–Czy widać... Do diabła, nie widzę nic nawet na metr. W każdym razie nie słyszeć ich.

W chwili gdy to powiedział, nastąpiła w krótkim czasie seria krótkich eksplozji.

–To nie były bomby dymne – zauważył Chrysler.

W ciągu paru sekund stało się jasne, że miał rację. Obaj nie mogli złapać tchu, bezskutecznie łaknąc tlenu. Branson pierwszy domyślił się, w czym rzecz. Wstrzymał oddech, chwycił Chryslera pod ramię i zaciągnął w kierunku ostatniego autobusu. Parę sekund później byli już w środku, za zamkniętymi drzwiami. Chrysler leżał nieprzytomny na podłodze, Branson z trudem trzymał się na nogach.

–Co, na Boga... – zaczął Giscard.

–Klimatyzacja na maksimum! – Branson mówił, boleśnie łapiąc oddech. – Użyli CUB!

W przeciwieństwie do O'Hare, Giscard wiedział, co ten skrót oznacza.

–Bomby duszące?

–Teraz już nie żartują.

Nie żartował też generał Cartland. Trzymając w ręku pistolet maszynowy Macka, otworzył drzwi toalety. Mack obrzucił go złowrogim spojrzeniem, ale nie był w stanie bardziej bezpośrednio uzewnętrznić swoich uczuć, gdyż piętnaście centymetrów od żołądka miał wylot lufy pistoletu.

–Jestem szefem sztabu armii! – powiedział Cartland. – W nagłych wypadkach, jak tym razem, nie odpowiadam przed nikim, nawet przed prezydentem, za swoje postępowanie. Niech pan mi da klucz od drzwi, bo inaczej pana zastrzelę.

W dwie sekundy później Cartland miał klucz w ręku.

–Proszę się odwrócić – rozkazał.

Mack wykonał polecenie i niemal w tej samej chwili upadł na podłogę. Uderzenie kolbą pistoletu maszynowego mogło okazać się zbyt mocne, ale obojętny wyraz twarzy Cartlanda świadczył, że szczególnie się tym przejmował. Zamknął za sobą drzwi od toalety, schował klucz do kieszeni, przeszedł przez autobus, wsunął pistolet maszynowy tak, by nie było go widać, pod fotel dość oszołomionego prezydenta i skierował się do tablicy rozdzielczej naprzeciwko miejsca dla kierowcy. Przycisnął bez rezultatu kilka guzików, pociągnął i przesunął parę dźwigni, po czym odwrócił się gwałtownie, gdy szyba w drzwiach wejściowych zaczęła zjeżdżać w dół. Zrobił dwa kroki do przodu, wciągnął powietrze, zmarszczył nos i szybko wrócił na poprzednie miejsce, żeby ustawić ostatni przełącznik w pierwotne położenie. Szyba podjechała do góry. Raz jeszcze, bardzo ostrożnie, dotknął przełącznika, opuszczając ją o trzy centymetry. Potem podszedł do drzwi, wyrzucił na zewnątrz klucz, wrócił do pulpitu i zakręcił szybę.

W dwie minuty później łagodna zachodnia bryza znad Pacyfiku uniosła rozwiewający się już dym w stronę zatoki. Na moście zapanaował spokój. Branson otworzył drzwi w ostatnim autobusie. Powietrze było upojne, rześkie i czyste. Zeskoczył na jezdnię, spojrzał na leżące na ziemi postacie i zaczął biec. Giscard, Johnson i Bradley ruszyli za nim. Przytomniejący powoli Chrysler usiadł, ale nie ruszał się z miejsca, kręcąc głową na boki-.

Obejrzelili leżących na moście ludzi.

–Wszyscy żyją – stwierdził Giscard. – Są nieprzytomni, całkowicie zamroczeni, ale ciągle oddychają.

–Po CUB? – zdziwił się Branson. – Nic nie rozumiem. Zapakuj ich do swojego śmigłowca, Bradley, i startuj, jak tylko będziesz gotowy.

Branson pobiegł w kierunku autobusu prezydenta i natychmiast spostrzegł leżący na ziemi klucz. Podniósł go i otworzył podziurawione kulami drzwi. Cartland stał obok fotela kierowcy.

–Co tu się stało? – spytał Branson.

–Niech pan mi lepiej powie. Wiem tylko tyle, że pański strażnik zamknął drzwi od zewnątrz i uciekł. Zaraz, gdy tylko dotarł tu dym.

Myślę, że to wcale nie był dym, tylko zasłona dymna, żeby umożliwić następną ucieczkę.

Branson wpatrywał się w niego. Najpierw pokręcił głową, potem przytaknął.

–Proszę tu zostać – powiedział.

Pobiegł do pierwszego autobusu. Zauważył od razu klucz w zamku, przekręcił go i otworzył drzwi. Spojrzał na skurczonego i wyraźnie nieprzytomnego Petersa, wszedł do góry po schodkach i popatrzył w głąb autobusu.

–Gdzie Revson? – zapytał.

–Nie ma go. – Dokładnie poinstruowany i na pozór niczego nie pojmujący Grafton mówił znużonym głosem. – Wiem tylko trzy rzeczy. Rąbnął pańskiego strażnika. Nadawał coś przez jakieś miniaturowe radio. A potem, kiedy dotarł tu ten dym, wyszedł, zamknął drzwi na klucz i uciekł. Niech pan posłucha, Branson. Jesteśmy tylko przypadkowymi świadkami i z pańskiego punktu widzenia osobami cywilnymi. Obiecał nam pan bezpieczeństwo. Co się tam dzieje na zewnątrz?

–Dokąd pobiegł?

–W stronę północnej Wieży. Pewnie już dawno tam dotarł.

Branson milczał przez dłuższą chwilę. Kiedy wreszcie się odezwał, mówił typowym dla siebie, zrównoważonym głosem.

–Zamierzam zniszczyć most. Nie mam zwyczaju zabijać niewinnych ludzi. Czy ktoś z obecnych potrafi prowadzić autobus?

Podniósł się młody dziennikarz.

–Ja.

–Niech pan odjedzie z mostu, i to natychmiast. Przez południową zaporę.

Zamknął drzwi i pobiegł w stronę sanitarki. Kiedy był blisko, w jej tylnych drzwiach ukazał się O'Hare.

–Cóż, trzeba przyznać, że potrafi pan zabawiać swoich gości

–powiedział.

–Niech pan odjeżdża! Natychmiast!

–A po co?

–Proszę zostać, jeśli pan chce. Mam zamiar wysadzić ten cholerny most w powietrze.

Branson oddalił się. Tym razem nie biegł, lecz po prostu szedł szybkim krokiem. Zobaczył, jak oszołomiony Chrysler wyłania się z ostatniego autobusu.

–Zostań koło wozu prezydenta – rozkazał.

Giscard i Johnson stali obok drugiego śmigłowca. Bradley wychylił się przez otwarte okno.

–Leć już – powiedział Branson. – Do zobaczenia na lotnisku.

Bradley gładko podniósł maszynę, zanim jeszcze Branson dotarł do autobusu prezydenta.

Revson, skurczony niewygodnie na podłodze pod tylnym siedzeniem pierwszego śmigłowca, uniósł głowę i rzucił okiem przez okno.

Do maszyny zbliżało się siedmiu zakładników, których eskortowali

Branson, Giscard i Chrysler. Revson powrócił do swojej kryjówki

i wyciągnął z kieszeni radionadajnik.

–Panie Hagenbach? – zaczął.

–Jestem.

–Widzi pan wirnik śmigłowca?

–Widzę. Wszyscy go widzimy. Obserwujemy pana przez lornetki.

–Kiedy tylko wirnik zacznie się obracać, użyjcie lasera.

Najpierw wpuszczono do śmigłowca siedmiu zakładników. Prezy-

dent i król zajęli dwa miejsca z przodu po lewej stronie, księżę

i Cartland po prawej. Za nimi usiedli burmistrz, Muir i szejk. Giscard

i Chrysler siedzieli osobno w trzecim rzędzie. Obaj byli uzbrojeni.

Sanitarka zbliżała się właśnie do południowej wieży, gdy O'Hare

zastukał w okno kabiny kierowcy. Szyba opadła w dół.

–Wracaj na środek mostu – powiedział.

–Wracać?! Boże, doktorku, on zaraz wysadzi ten cholerny most!

–Zdarzy się pewien wypadek, ale nie taki, jak myślisz. Zawracaj.

Johnson wszedł ostatni do śmigłowca. Kiedy zajął miejsce, Branson

powiedział:

. – Dobra. Startuj.

Rozległ się charakterystyczny, ogłuszający warkot, który szybko

zmienił się w ryk, typowy odgłos silnika pracującego na zbyt wysokich

obrotach. Nawet to jednak nie zdołało zagłuszyć przerażającego

łoskotu na zewnątrz. Johnson wychylił się i nagle hałas ucichł.

–O co chodzi? – dopytywał się Branson. – Co się stało?

Johnson popatrzył przed siebie, po czym odezwał się cicho:

–Obawiam się, że miał pan rację co do tego lasera, panie Branson.

Wirnik właśnie wpadł do cieśniny.

Branson zareagował błyskawicznie. Podniósł słuchawkę i przycisnął

guzik.

–Bradley?

–Słucham, panie Branson.

–Mamy kłopoty. Wracaj na most i zabierz nas.

–Niestety, nie mogę. Sam jestem w opałach. Mam na karku dwa phantomy. Muszę lądować na międzynarodowym lotnisku. Podobno ma tam być "komitet powitalny.

Revson podniósł się bezszelestnie, trzymając w ręku biały flamaster. Nacisnął dwukrotnie guzik. Dwaj mężczyźni niemal w tym samym momencie osunęli się bezwładnie do przodu, a następnie, całkiem nieoczekiwanie i ku jego przerażeniu, runęli z łoskotem między fotele. Ich broń upadła z brzękiem na metalową podłogę.

Branson odwrócił się. W ręku trzymał pistolet. Był poza zasięgiem obezwładniających igieł Revsona. Starannie wycelował i zaczął powoli, równomiernie naciskać spust. Nagle krzyknął z bólu, gdy laska prezydenta smagnęła go po policzku. Revson rzucił się na podłogę, zaciskając prawą dłoń na kolbie pistoletu Giscarda. Zanim Branson wyrwał prezydentowi laskę i ponownie się odwrócił, Revson był już gotowy. Widział tylko głowę Bransona, ale był gotowy.

Prezydent, wiceprezydent, siedmiu decydentów i Revson stali obok siebie kilkanaście metrów od sanitarki. Revson obejmował mocno April Wednesday. Stali i patrzyli w milczeniu, jak ze śmigłowca wyciągano okryte płótnem nosze i niesiono je przez tłum uzbrojonych policjantów i żołnierzy do czekającej sanitarki. Nikt nie miał nic do

powiedzenia. Nie było o czym mówić.

–Jak tam nasi szlachetnie urodzeni przyjaciele? – spytał prezydent.

–Nie mogą się doczekać jutrzejszej wizyty w San Rafael – odparł Richards. – Potraktowali cały incydent ze stoickim spokojem. Są wręcz zadowoleni. Nie dość, że cała sprawa okazała się potężnym ciosem dla Ameryki, to jeszcze z nich uczyni narodowych bohaterów.

–Chodźmy lepiej z nimi pomówić – zaproponował prezydent.

Miał właśnie zamiar odejść razem z Richardsem, gdy Revson powiedział:

–Dziękuję, sir.

Prezydent spojrział na niego z niedowierzaniem.

–Mnie? Pan mnie dziękuje? To ja panu dziękowałem już ze sto razy!

–Tak, sir. W zasadzie nie lubię długów wdzięczności, ale uratowanie życia to dla mnie dość ważna sprawa.

Prezydent uśmiechnął się, odwrócił i odszedł w towarzystwie Richardsa.

–No cóż, chodźmy do biura. Napisze pan szczegółowy raport

–powiedział do Revsona Hagenbach.

–A, o to chodzi. Jaka kara grozi za niewykonanie polecenia szefa

FBI?

–Straci pan pracę.

–Szkoda. Polubiłem nawet swoją robotę. Proponuję takie rozwiązanie: wezmę teraz prysznic, ogolę się, przebiorę, zaproszę pannę Wednesday na obiad, a p o t e m, po południu, napiszę raport. Czyba jest mi pan winien przynajmniej tyle?

Hagenbach zastanawiał się chwilę, po -czym skinął głową.

–Czyba tak.

Jeden z wyższych urzędników oddalonej o ponad trzy tysiące kilometrów centrali FBI stał się w tym momencie posiadaczem okrągłej sumki.

Hagenbach uśmiechnął się.

Koniec

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/